



Carla Neggers



Tessa z Somerville

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Owego dnia, kiedy Dce Grantham zniknęła, był umówiony z Tessą Haviland, wziętą bostońską graphiczką i jedną z niewielu kobiet odpornych na jego wdzięki. Owszem, lubiła go, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Jasnowłosość, przystojny, kochający ryzyko, wiecznie szukający towarzystwa innych ludzi bez względu na ich status i pochodzenie, czynił wszystko, by uciec przed stereotypem dziedzica nowoangielskiej fortuny, czyli kogoś, kto z namaszczeniem traktuje własną osobę i publiczne powinności. Nie miał wobec społeczeństwa żadnych długów, nie miał też żadnych ambicji i Tessa nieraz się zastanawiała, czy ma jakiegokolwiek zasady moralne. Szczególnie kiedy szło o kobiety.

Ona jedna była tu wyjątkiem.

- Tessa - zwykł mawiać - wokół ciebie kręci się za dużo facetów ze spluwami. Dziękuję bardzo.

Nie kręcili się wokół niej "żadni", faceci ze spluwami", choć mogło się tak wydawać, bo wyrosła w robotniczej dzielnicy, gdzie jej ojciec miał pub. Jak widać, Dce nie był jednak całkiem wolny od stereotypów.

Mniej więcej w rok po zniknięciu znowu zaczął pojawiać się w jej myślach, lecz wcale nie dlatego, że przepadł jak kamień w wodę i nie odezwał się przez cały ten czas słowem, tylko dlatego, że dostała wezwanie do opłacenia podatku od nieruchomości, czyli wozowni. Ike przepisał ją kiedyś na nią jako zapłatę za jakiś projekt. I tak została właścicielką małej szopy z 1868 roku, stojącej niemal nad samym oceanem, na skraju najładniejszej bodaj wioski na North Shore. Sama wozownia nie była niczym nadzwyczajnym, lecz jej położenie owszem, co odbijało się na jej wartości, a więc i na wysokości podatku.

Tessa spoglądała przez okno na cmentarzyk Old Granary, usytuowany, jak jej biuro, przy Beacon Street. Patrzyła na stare

tabliczki nagrobne pochylone w różne strony, turystów krążących po alejkach i na drzewa, które wreszcie zazieleniły się po ostrej bostońskiej zimie.

A zima była rzeczywiście ciężka, i to pod wieloma względami. Tuż przed tym jak Ike zniknął, czyli na początku minionego roku, Tessa zrezygnowała z pracy w dużej korporacji i zaczęła działać na własny rachunek. Ike już taki był, że zniknął i nagle znów się pojawiał. Gnany niespokojnym wiatrem niósł z sobą morowe powietrze, które zagrażało innym ludziom i zmuszało ich do gwałtownych działań. Tak było również z Tessą. Podjęta przed rokiem z powodu tego faceta decyzja zmuszała ją teraz do kolejnego „morowego” posunięcia.

Na boku zaczęła realizować dla Dce'a zamówienie, związane z działalnością fundacji Ratujmy Zabytki Beaconu, i zanim się zorientowała, już pracowała pod własnym szyldem. Początkowo w swoim mieszkaniu, lecz jesienią postanowiły z Susanną Galway otworzyć biuro w dziewiętnastowiecznym domu na Beacon Street. Adres był prestiżowy, lecz lokal niewielki, zaledwie jednopokojowy. Za to okna wychodziły na najsłynniejszy cmentarz Bostonu.

Odwróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę. Wysoka, wiotka i w przeciwieństwie do Tessy ciemnowłosa Susanna miała porcelanową cerę i oczy zielone jak trawa na Old Granary. Miała też zmysł finansowy. Tessa właśnie powiedziała jej o żądaniach fiskusa, położyła wezwanie na klawiaturze komputera i od czasu do czasu wydawała ciężkie westchnienia.

- Właśnie dlatego jesteś artystką - oznajmiła w końcu Susi. - Do diabła, Tesso, zawsze żądaj zapłaty w gotówce. To Zasada Pierwsza. Myślisz, że gdybym mogła doradzać Indianom, pozwoliłabym im przyjąć koraliki za Manhattan? Nie.

- Mogę ją sprzedać.

- Kto ci kupi tę budę? Jest poza rejestrem zabytków. Nic się z tym nie zrobi. Stoi na splechietku, który nakryjesz chusteczką do nosa. - Okręciła się gwałtownie na swoim drogim

ergonomicznym fotelu i wbiła w przyjaciółkę zielone oczy. - W dodatku to miejsce, dodam od siebie, jest nawiedzone.

- Gadanie.

- Nawiedzone, i to wcale nie przez Duszka Caspra, tylko przez mordercę i skazańca.

Tessa usiadła ciężko przed komputerem. Wykonywała na nim większość projektów, ale nie wszystkie. Ciągłe jeszcze używała pasteli, ołówków i akwareli. Lubiła fizyczny kontakt z tym, co robi. Komputer był teraz wyłączony, ekran ciemny, nieruchomy, za to całe biurko zasłane próbkami, fakturami i realizowanymi właśnie pracami. Natomiast na biurku Susanny panował doskonały porządek. Tessa często powtarzała przyjaciołom, że są z Susi jak jin i jang*, dlatego mogą pracować w jednym pokoju i nie zamordować się nawzajem.

- To był tylko pojedynek, a nie żadne morderstwo - powiedziała Tessa. - Benjamin Morse wyzwał Jedidiaha Thorne'a po tym, jak Jedidiah oskarżył go, że znęca się nad swoją żoną Adelaide. Jedidiah zabił i poszedł siedzieć, bo traf chciał, że pojedynki były w Massachusetts karane. Gdyby to Benjamin zabił Jedidiaha, on trafiłby za kratki.

- Daj spokój, bawisz się w kazuistykę. Morderstwo to morderstwo.

Jin i jang - dwie zasady w tradycyjnej kosmologii chińskiej, przeciwstawne sobie i zarazem nierozłącznie splecione ze sobą. Jin: żeńska, negatywna, zawarta w takich cechach przyrody jak bierność, ciemność, zimno, wilgoć, | głębiny. Jang: męska, pozytywna, zawarta w takich cechach przyrody jak aktywność, jasność, ciepło, suchość, wyżyny (przyp. red.)

Jakkolwiek było, zdarzyło się w wozowni w kilka tygodni po jej ukończeniu i nieszczęsny Jedidiah nigdy nie zamieszkał w swojej nowej posiadłości w Beaconbythe-Sea. Thorne'owie osiedlili się na North Shore przed kilkoma wiekami i parali się żeglarstwem, ale to on pierwszy doszedł do jakichś pieniędzy w okresie morskiej prosperity po wojnie secesyjnej.

Odsiedziawszy pięć lat za zabicie Morse'a, ruszył na zachód i dopiero przed samą śmiercią powrócił w rodzinne strony, gdzie po dokonaniu żywota zajął się nawiedzaniem wozowni, co czynił jakoby po dziś dzień. Tak powiadano: tu zabił człowieka i tu jego duch straszy.

- Nie wierzę w duchy - oznajmiła Tessa. Susanna odchyliła się w fotelu. Ubrana w wążutkie

spodnie, w top, z manikiurem i wypracowanym makijażem, była ucieleśnieniem kobiety zadbanej. Minionego lata przeniosła się z San Antonio do Bostonu, by zamieszkać z dwoma córeczkami u swojej babki, w pobliżu rodzinnego domu Tessy. W Teksasie zostawiła byłego czy też za moment byłego męża. Nie lubiła o nim mówić.

- Ujmijmy to tak - zaczęła. - Masz dwa wyjścia: albo zapłacić podatek, albo niech miasto bierze sobie wozownię. No i trzecie: spróbuj ją sprzedać. Kiedy chodzi o stare domy, mieszkańcy Nowej Anglii dostają świra i może ktoś kupi tę twoją... hm... rezydencję.

- Ale ja nie wiem, czy chcę ją sprzedać.

- Tesso! Dostałaś tę wozownię ponad rok temu i twoja noga ani razu tam nie postąpiła.

- Bo ciągle mi się wydawało, że Dce się pojawi i zechce ją odzyskać, a jeżeli nie on, to jego siostra. Lauren Montague ciągnie tę całą fundację Ratujmy Zabytki Beaconu. Nie wiem, czy Dce jej mówił o swoich zamiarach.

- Mógł sporządzić akt darowizny bez jej wiedzy?

- Widocznie mógł. Obiecałam, że w zamian za wozownię dostanie ode mnie kilka dodatkowych projektów. Mieliśmy omówić szczegóły właśnie w tym dniu, w którym zniknął.

- Myślisz, że nie żyje?

Tessa skrzywiła się na tak bez ogródek postawione pytanie i znowu podeszła do okna z widokiem na cmentarz. Na Old Granary leżało więcej ludzi, niż było tablic nagrobnych. Gardło się jej ścisnęło na myśl o Dce'u. Miał czterdzieści kilka lat i był

pelen życia, więc jak uwierzyć w jego śmierć? Taka jednak panowała ogólna opinia: zginął wskutek własnej lekkomyślności. Spadł ze skały, wypadł za burtę jachtu, pożarł go grizzly. Ale na pewno nie popełnił samobójstwa.

- Nic nikomu nie mówiąc, zniknął na całe miesiące. Policja nie uznała go za zaginionego. Nie słyszałam, żeby Lauren wszczyła szczególny alarm. - Tessa spojrzała na Susanne. - Nie chciałam tej wozowni.

- Żywy czy umarły, przepisał ją na ciebie, a twój księgowy włączył darowiznę do zeznania rocznego i teraz fiskus dobrał ci się do skóry. Nie uciekniesz od rzeczywistości. Wozownia jest twoja i musisz coś z tym fantem zrobić.

- Od kiedy pamiętam, marzyłam, żeby mieć lokum w Beaconbythe-Sea - powiedziała Tessa, obserwując dwoje nastolatków stojących przy płycie nagrobnej Sama Adamsa, osiemnastowiecznego bohatera niepodległościowego. Na Old Granary leżeli też między innymi: John Hancock, wsławiony tym, że jako pierwszy złożył podpis pod Deklaracją Niepodległości w pamiętnym roku 1776, rodzice Benjamina Franklina, uczonego i polityka, jednego z twórców niepodległości Stanów Zjednoczonych, jak również ofiary Masakry Bostońskiej, czyli zamordowani przez Anglików w 1770 roku demonstranci protestujący przeciwko cłom importowym. Miała też tu swój „grób” Mother Goose, czyli Mama Gąska, od ponad dwóch wieków uwielbiana przez dzieci bohaterka niezliczonych wierszyków i opowiadań. - Jeździłam tam z rodzicami i urządzaliśmy sobie pikniki na plaży. Mama opowiadała mi o starych domach w Beaconie. Kochała historię Ameryki.

Susanna stanęła obok przyjaciółki.

- Koniec końców wszystkie decyzje finansowe wynikają z emocji - powiedziała z obojętnym uśmiechem. - Spójrzmy na to tak: stara, rozpadająca się wozownia, którą nawiedza duch mordercy, to całkiem ciekawy plan na weekend.

Tessa postanowiła pojechać do Beaconbythe-Sea jeszcze tego popołudnia i wreszcie obejrzeć swoją nie ruchomość. Dojechała do drogi prowadzącej wzdłuż oceanu i znalazła się na samym koniuszku Przylądka Ann. Atlantyck, tak samo jak przed laty, skrzył się i połyskiwał w majowym słońcu. Jechała wtedy koło ojca z przodu, a mama, owinięta kocami, mościła się z tyłu i opowiadała historie o wielorybach i zbłąkanych statkach, aż wreszcie zapadała w błogi sen.

Kiedy Ike Grantham nie pojawił się na spotkaniu, i Tessa kilka razy przyjechała do Beaconbythe-Sea, lecz nie odnalazła go. Jego siostra nie okazywała zaniepokojenia, więc dlaczego Tessa miałaby się martwić? Dce wiele razy ruszał w nieznaną, nikogo nie uprzedzając, bowiem z natury był niewrażliwym sobie pankiem i nie przejmował się innymi.

Żeby dostać się do wozowni, musiała wziąć klucze z biura fundacji Ratujmy Zabytki Beaconu, które mieściło się kilka kroków od portu, w osiemnastowiecznym, odrestaurowanym przez fundację domu. Wzorowana na znanej fundacji Doris Duke w Newport na Rhode Island, fundacja Ratujmy Zabytki Beaconu, ukochane dziecko Dce'a, wykupywała historyczne domy i zabudowania gospodarcze na całym North Shore, przeprowadzała rzetelne prace konserwatorskie, po czym wydierżawiała je starannie dobranym osobom. Często działalność fundacji inspirowała lokalne społeczności do dalszych robót renowacyjnych.

Kiedy Tessa zaczęła przyjmować zlecenia od Dce'a, sama była bliska wydierżawienia jakiegoś osiemnastowiecznego domku. I właśnie wtedy dostała wozownię wybudowaną w 1868 roku, a więc znajdującą się poza zainteresowaniami fundacji, która skupiała się na zabytkach sprzed 1850 roku, jak twierdził Dce. Tessa nigdy nie zrozumiała jego intencji, bowiem tak postawiona granica czasowa nie miała ani historycznego, ani architektonicznego uzasadnienia.

Gości fundacji witał wieniec ziołowy na szafranowo-żółtych drzwiach. Wewnątrz panowała atmosfera nieco sennej elegancji, kojarząca się bardziej z domem niż z biurem. W holu stały antyki, ściany pokryte były tapetami o archaicznym wzorze, na podłodze leżał gruby dywan.

Z najbliższego pokoju wyjrzała cienka jak zapalka starsza dama.

- W czym mogę pomóc? - zapytała afektowanym, nosowym głosem.

- Dzień dobry, pani Cookson - uśmiechnęła się Tessa.

- Ach, panna Haviland. Ogromnie przepraszam, ale nie poznałam pani. Słucham, słucham?

- Czy mogę prosić o klucz do wozowni Thorne'a? Chciałabym ją obejrzeć, zanim zdecyduję, co dalej. - Na widok zaambarasowanej miny Muriel Cookson dodała szybko: - Dce mówił mi, że klucz jest w biurze.

- Do wozowni Thorne'a? Nie rozumiem...

- Wszystko w porządku. - Do pokoju weszła uśmiechnięta Lauren Grantham Montague. Była podobna do brata, choć mniej subtelne oko łatwo mogło to przeoczyć. - Miło cię widzieć, Tesso. Dawno powinnam była się do ciebie odezwać. Ja mam klucz do wozowni, pani Cookson. Dam go Tessie.

- Czy panna Haviland pracuje dla nas?

Lauren nie przedstawiała się uśmiechać, ale w jej oczach pojawił się chłód, jakby walczyła z jakimiś skrytymi emocjami.

- Nie. Przypuszczam, że chce po prostu obejrzeć swoją wozownię. Czy tak, Tesso?

- Muszę coś zdecydować - potwierdziła. Natomiast Muriel Cookson najwyraźniej nic z tego nie rozumiała.

- Dce przed wyjazdem przeniósł własność na Tessę - wyjaśniła Lauren. - Powinnam była pani o tym powiedzieć, ale jakoś się nie złożyło.

Starsza pani pobladła, ale nic nie powiedziała. Przy eleganckiej i bezpośredniej Lauren razila sztucznością, wręcz

odstręczała. Dce nie znosił Muriel Cookson, ale sam przyznawał, że jest nieoceniona dla fundacji, natomiast Tessa nie mogła się nadziwić, że fundacja w ogóle go interesowała. Ale uwielbiał być nieodzowny i nieoceniony. Jeśli już pomagał ludziom, to nie z sympatii, ale z głębokiego przekonania, że sam najlepiej wie, co jest dla nich dobre. Zapatrzony w siebie arogant miał jednak urok, energię, głód życia i ryzyka, i zarażał tym innych.

- Muriel umrze przy swoim biurku - mówił - za to Lauren grzecznie wyzionie ducha w łóżku, byle tylko na jej nagrobku napisano: „Wizjonerka i filantropka”.

Powiedział to z wielkim jadem. Stało się to w tym samym dniu, w którym jego siostra ogłosiła swoje zaręczyny z Richardem Montague'em, ekspertem od spraw terroryzmu w Północno-auantycznym Instytucie Badań Strategicznych. Kiedy Dce przepadł tydzień później, Tessa wśród innych spekulacji dopuszczała również taki wariant, że stało się tak wskutek śmiertelnej obrazy. Rozdęte do niewyobrażalnych granic ego Dce'a zaprotestowało. Jak Lauren śmiała podjąć taką decyzję, nie zapytawszy wcześniej brata, czy życzy sobie Richarda za szwagra?

Tak więc Dce przepadł jak kamień w wodę. Jego siostra wyszła za mąż, lecz nadal zajmowała się fundacją. Była bez reszty oddana tej inicjatywie, której zamierzała nadać nowy kierunek, a demonstracyjne zniknięcie brata zostawiło jej w tej sprawie wolne pole.

Tessa czekała w towarzystwie Muriel, aż Lauren znajdzie klucz. Starsza pani wrogo milczała. Bez jej wiedzy fundacja pozbyła się jednej z nieruchomości, co odebrała jako policzek. Nieważne, że wozownia, którą Dce nabył przed pięciu laty, nie mieściła się w planach inwestycyjnych fundacji i faktycznie była kulą u nogi. Ważne było to, że nie raczono o tej transakcji poinformować Muriel. Lauren wróciła z szarą kopertą.

- Tu są dwa klucze, oba do bocznych wejść, do głównego niestety nie ma.

- Dziękuję.

- Drobiazg. Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała naszej pomocy. Mamy trochę archiwalnych materiałów na temat tego budynku.

Tessa czuła przez papier kształt kluczy. Jej klucze, jej wozownia. Zdumiał ją ten nagły przyływ podekscytowania. Gdyby teraz pojawił się Ike i oznajmił, że to wszystko pomyłka, jak by się zachowała?

Wyszła na ulicę rozświetloną zachodzącym majowym słońcem. W sklepiku po drugiej stronie ulicy nęciły przechodnia polichromowane meble, w sąsiednim czekoladki. W oddali otwierał się widok na port z łodziami. Wciągnęła w płuca bryzę idącą od oceanu i uśmiechnęła się. Przez ostatni rok nie śmiała wierzyć, że wozownia należy naprawdę do niej. Może dokumenty są nieważne w świetle prawa, może Lauren, jako szefowa fundacji, rozpocznie prawną kampanię, by unieważnić darowiznę? W końcu Tessa przyrzekła Dce'owi, że wykona dodatkowe zlecenia. W miarę jak mijały tygodnie, jak wkładała każdą chwilę i każdego centa w swoją jednoosobową firmę, paraliżowała ją myśl, co ma począć z wozownią.

Lecz teraz poczuła się właścicielką.

Wsiadła do auta i mszyła drogą wzdłuż oceanu. Na końcu wąskiego cypla znajdowała się posiadłość Thorne'ów, z okładanym malowanymi na niebiesko deskami domem otoczonym sękatymi jabłoniąmi, dębami i orzechami. Tu kończyła się szosa, dalej do wozowni wiodła wąska droga.

Wozownia również pomalowana była na niebiesko. Tessa zatrzymała się na zwirowanym podjeździe. Obok rosła piękna jabłoń, a gęste pachnące bzy osłaniały boczne elewacje i tyły budynku, wydzielając go z dawnej posiadłości.

Tessa zamknęła oczy. W porządku, ten dom jest nawiedzony. I co z tego? Przy swojej wyobraźni mogłaby wywołać własnego ducha. A tak nie musi.

Niech będzie: Eke Grantham dał jej wozownię, a ona ją przyjęła.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Andrew Thorne nie był szczęśliwym człowiekiem. Usiłował przekonać o tym swojego kuzyna, Harleya Becketta, jedyne go człowieka, któremu na całym bożym świecie powierzyłby swe życie, oczywiście o ile pierwiej by go nie zabił.

- Nie ma jej w domku na drzewie - powiedział Andrew.

- No to goni za tym cholernym kotem - mruknął Harl, jakby odpędzał się od natręta.

Leżał na plecach pod biurkiem z lat dwudziestych, takim z żaluzjowo zamykanym blatem. Harl był najlepszym renowatorem mebli na North Shore, może nawet w całej Nowej Anglii, lecz znacznie gorszym nadzorcą Dolly, sześciolatniej córki Andrew Thorne'a. Kiedy Andrew wrócił do domu po męczącym dniu w pracy, gdzie wszystko szło nie tak jak trzeba, nie zastał dziecka, tylko Harla całkowicie pochłoniętego swoimi zajęciami.

Harl wysunął się spod biurka i usiadł na niepokalanej sosnowej podłodze pawiloniku, w którym pracował i mieszkał. Miał obsesję czystości. Jedna plamka błota, jeden psi kłak, dowodził, mogą zniweczyć całą robotę. Ten weteran z Wietnamu i emerytowany policjant nigdy nie spróbował zaprzyjaźnić się z nikim w Beaconbythe-Sea. Andrew też nie miał żadnych przyjaciół, ale był bardziej przystępny dla ludzi. Oczywiście „bardziej” nie znaczy „bardzo”, lecz jedynie „nieco”. Ale to i tak wiele w porównaniu z Harleyem.

Harl wy dostał siwy kucyk spod koszulki z napisem: „POW-MJA”. Pod nim widniała scena walki w buszu oraz czarno-biały profil mężczyzny i wieża strażnicza. Na dole umieszczone były słowa: „You are not for-gotten**”.

Nawiązywał w ten sposób do swej wietnamskiej przeszłości. Miał siwą brodę, szramy po granacie, brak stawów przy dwóch palcach i sposób bycia, który w najlepszych dniach można by

określić jako burkliwy. Pół sekundy taksował Andrew, wreszcie westchnął.

- Miała nie wychodzić poza obejście. Wie o tym.

- Nie mogła odejść daleko - powiedział Andrew z niezłomnym przekonaniem, nie bacząc na ogarniającą go panikę. Nienawidził chwil, w których nie wiedział, gdzie się podziwia jego córka.

Harl podniósł się. Też był zdenerwowany.

- Chodźmy, Andrew. Ta mała potrafi szybciej nabroić, niż człowiek pomyśli, ale nigdy nie wypuszczała się poza dom. - Pokiwał głową wyraźnie zde gustowany samym sobą. - Pięć minut nie minęło, jak jej mówiłem, żeby siedziała w ogrodzie, przysięgam.

* POW-MIA - prisoner of war-missing in action (ang.), jeniec wojenny-zaginiony w akcji (przyp. tłum.)

**You are not forgotten (ang.) - nie jesteś zapomniany (przyp. tłum.)

- Sprawdź od frontu, ja poszukam tutaj - powiedział Andrew.

- Jeśli jej nie znajdziemy zaraz, zwołamy sąsiadów do pomocy.

Andrew spojrział na ocean po drugiej stronie drogi i żołądek mu się wywrócił. Skinął głową i obaj ruszyli na poszukiwanie.

Jej sąsiedzi, kimkolwiek byli, naprawdę posiadali; żywopłot z bżów. Tessa przypomniała sobie, że Dce zwrócił jej na to uwagę. Wyciągnęła dłoń i musnęła; kiść drobnych, dopiero otwierających się, ciemno-fioletowych kwiatów. Chyba nic się nie stanie, jeśli zerwie kilka gałązek na bukiet. Żywopłot wyglądał na zaniedbany, krzewy domagały się rozrzedzenia i przycięcia, pojawiło się między nimi nawet kilka młodziaczków.

- Kici, kici. Wracaj, kocie.

Z gąszczu krzewów doszedł wysoki, nawołujący głos dziewczynki. Musiała być kilka kroków od Tessy, bo po chwili pojawiła się w wąskim prześwicie zarośniętym zielskiem i

znalazła się po stronie wozowni. Nie mogła mieć więcej niż sześć lat. Była mocno zbudowana, miała miedziane warkocze, piegi i niebieskie oczy, które teraz przymrużyła i wsparła się pod boki. Nie dostrzegła jeszcze Tessy.

- Wracaj, Ogoniasta. - Tupnęła nogą. - Nic ci nie zrobię, przecież przyjaźnię się z tobą.

Tessa zauważyła coś we włosach małej. No tak, nosiła bogatą koronę wysadzaną drogimi kamieniami, a do tego dzinsowe ogrodniczki i koszulkę Red Soksów. Tessa ubrana była w kostium, który miała na sobie w pracy i który sugerował wolny, kreatywny zawód, nie był jednak zbyt ekstrawagancki lub nadmiernie swobodny. Unikała jawnie artystowskiego wizerunku, by nie odstraszać klientów.

Dziewczynka wreszcie zobaczyła Tessę, ale nie okazała ani zdziwienia, ani zainteresowania. Miała swoją misję do spełnienia.

- Widziałas mojego kota?

- Nie. Przyjechałam przed chwilą. - Tessa nie wiedziała jak się powinno obchodzić z sześciolatkami. - Jest ktoś z tobą? Mama?

- Mama jest w niebie.

Mała powiedziała to rzeczowo, jakby podawała godzinę. Tessa odgarnęła włosy. Ostatnio męczył ją nadmiar pracy, myśli o Bce'u Granthamie i wozowni, a także o przeciekającym przez palce życiu. Miała trzydzieści cztery lata i choć nie wiedziała, czy poradziłaby sobie w kontaktach z dziećmi, to jednego była pewna: od pewnego czasu z mężczyznami zupełnie jej nie szło.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała.

- Tam, za bzem. - Mała wskazała ręką do tyłu. - Harl mnie pilnuje.

Niezbyt skutecznie, pomyślała Tessa.

- To twój babysitter?

- No.

- Ja mam na imię Tessa. A ty?

- Królowna Dolly. - Machnęła po królewsku warkoczami.

- Naprawdę jesteś królowną?

- No.

Tessa poczuła niejaką ulgę. Z sześciolatką, która uważa się za królownę, można się dogadać.

- Jak to możliwe?

- Harl mówi, że urodziłam się królowną. Kimkolwiek był Harl, na dzieciach zupełnie się nie znał, pomyślała Tessa. A ona? Rozejrzała się po zarośniętej zielskiem piędzi ogrodu otaczającej wozownię. Mnóstwo miejsc, gdzie może schować się mały zwierzak.

- Rozumiem, że uciekł ci kot?

Królowna Dolly, przypomniawszy sobie swoją misję, uniosła ramiona, po czym zwiesiła je w dramatycznym potwierdzeniu.

- Kocica. To Łatka na Ogonie. Łada dzień będzie! miała małe. Harl mówi, że powinnam zostawić ją w spokoju.

Punkt dla Harla, pomyślała Tessa.

- Jak wygląda twoja Łatka? Jeśli ją zobaczę, powiem ci.

Mała chwilę się zastanawiała, zmarszczywszy piegowaty nos.

- Cała szara, tylko ma białą łatkę na ogonie. - Dolly rozchmurzyła się i zachichotała. - Dlatego nazwałam ją Łatka na Ogonie!

- Rozumiem. Biegnij do domu. Harl na pewno się zdenerwował i cię szuka.

Mała przewróciła oczami.

- On zawsze mnie szuka. W to Tessa nie wątpiła.

- Odprowadzę cię do domu...

- Sama pójdę. Mam już sześć lat. - Na dowód pokazała pięć palców i kciuk drugiej dłoni.

Tessa nie zamierzała z tym dyskutować.

- Miło mi było cię poznać, Dolly.

- Królowna Dolly.

- Jak sobie życzysz, Królowno Dolly. Dziewczynka odwróciła się na pięcie i precyzyjnie między bżami.

Królewna Dolly, osoba bardzo niezależna, nie powinna biegać samopas, choćby nawet naprawdę była koronowana. Tessa z kolei powinna zadbać, by jej królewska mość wróciła bezpiecznie do swojego pałacu.

Rozgarnęła gałęzie, żeby coś dojrzeć przez gęste krzewy, gdy nagle usłyszała chrzęst żwiru za sobą i męski głos:

- A pani niby co?

Rzeczywiście. Mogło to wyglądać tak, jakby szpiegowała sąsiadów. Odwróciła się.

- Ja? Nic - powiedziała, przyglądając się uważnie stojącemu przed nią mężczyźnie: wysoki, szczupły, całkiem niczego sobie. Wyraziste rysy, niebieskie oczy i ponure spojrzenie, wypisz wymaluj tak sobie wyobrażała swojego ducha mordercę z epoki wiktoriańskiej. Tyle że ten miał zakurzone buty robocze, dzinsy i dzinsową koszulę, a więc wszystko zdecydowanie współczesne. Dobrze. Królewna w bzach i duch na ścieżce to za dużo jak na jeden dzień.

- Szukam swojej córki - oznajmił mężczyzna z nutą lęku w głosie. - Pobiegła za kotem.

Tessa usiłowała się uśmiechnąć, by ulżyć tak bardzo zaniepokojeniu ojcu.

- Ma pan na myśli Królewnę Dolly i Łatkę na Ogonie, szarą kotkę z białą łatką, która lada dzień będzie miała małe? Była tu przed chwilą. Królewna, nie kotka. Będzie pół minuty, jak odesłałam ją do domu. Przez bzy.

- To ja już pójdę. Dziękuję. - Już miał się odwrócić, ale jeszcze dodał: - To własność prywatna, ale proszę, niech sobie pani zerwie trochę bzu, jeśli po to tu pani przyszła.

- Nie. Nazywam się Tessa Haviland i jestem właścicielką wozowni.

W błękitnych oczach mężczyzny odbiło się zaskoczenie.

- Rozumiem. Andrew Thorne. Sąsiad.

- Thorne?

- Tak, właśnie tak. Jedidiah był moim prapradziadkiem. Owszem.

Odszedł wzdłuż żywopłotu, w przeciwieństwie do swojej córki.

A więc był Thorne'em. Poinformował o tym Tessę z pewnością, jakby to rzecz, przyjemnością.

Niech diabli wezmą Dce'a. Mógł ją uprzedzić. Ale to nie w jego stylu. Przecież nigdy nikogo nie informował, że zamierza iść w góry, spływać rwącymi rzekami, sypiać w hamaku na egzotycznej plaży. Dce żył według własnych zasad i z tego powodu, jak podejrzewała, w końcu go polubiła.

Ale byłoby miło, gdyby powiedział, że jej sąsiedzi są spokrewnieni z duchem.

Posługując się jednym z kluczy otrzymanych od Lauren, bocznym wejściem dostała się do wozowni i znalazła się w kuchni, z całą pewnością urządzonej na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku w obowiązkowym kolorze awokado. Tessa miała nadzieję, że wyposażenie nadal jest na chodzie. Mogłaby działać cuda, posiadając kuchenkę w barwie awokado i taką lodówkę.

Nie, co też jej chodzi po głowie? Przecież nie stać jej na wozownię. Musiałaby ciuć każdy grosz, żeby zapłacić podatek, nie wspominając o kosztach utrzymania i koniecznych naprawach. Rachunki za prąd i gaz zapewne nadal opłacała fundacja, bowiem Tessa ich nie otrzymała. Nowy kłopot: będzie musiała wszystko zwrócić Lauren.

Wahała się przez cały rok i oto jak na tym wyszła. Nie miała ani czasu, ani pieniędzy, żeby zajmować się dziewiętnastowieczną wozownią, lecz teraz wpadła po same uszy. Susanna miała rację: honoraria tylko w gotówce.

Obejrzała kuchnię: szafki pozbawione wysuwanych koszy i witryn, zniszczone blaty, plamy wżarte w linoleum. Trochę mysich bobków. Spróbowała włączyć lodówkę i uśmiechnęła się, słysząc znajome mruczenie. Kuchenka też działała.

Jak dotąd żadnych śladów prapradziadka Andrew Thorne'a, niesławnego Jedidiaha, który zabił tu człowieka. Nieważne, że dokonał tego sto lat temu. Tessa wstrząsnęła się. Z kuchni niewielkim korytarzykiem trafiła do łazienki, z wanną, prysznicem i toaletką. Ciekawe, kiedy wozownia została przerobiona z mieszkania dla koni i bryczek na mieszkanie dla ludzi? Zapewne gdzieś około 1950 roku, jak obliczyła. Zerknęła w górę niknących w mroku schodów.

- Trochę tu niesamowicie - powiedziała na głos i uświadomiła sobie, że stoi na klapie do piwnicy. Odskokczyła z bijącym sercem. A gdyby tak się pod nią zapadła? Przytrzymując się ręką ściany, zaczęła nogą sprawdzać deski. Wytrzymały. Ośmielona przyklękła na podłodze, przesunęła zasuwkę i podniosła klapę.

Pokryta grubym kurzem, okazała się solidniejsza i cięższa niż Tessa przypuszczała. Nie zdziwiła się, gdy nie ujrzała drabiny, tylko ziejącą ciemną dziurę, najpewniej kryjącą piec, rury i pająki.

Gdy rozejrzała się uważniej, dostrzegła jednak drabinę, która wisiała pod sufitem piwnicy. Wystarczyło sięgnąć po nią, umocować w hakach przy brzegu otworu i zejść.

- Mowy nie ma.

Zamknęła klapę i zasunęła zasuwkę. Obejrzy piwnicę innym razem.

Zaczęła obchodzić dom, wdychając woń kurzu, brudu i wilgoci. Całe życie mieszkała w starych budynkach, tyle że znajdowały się w mieście, a nie nad brzegiem oceanu.

- To wspaniały dom - mówił Dce. - Zawsze to czuję, kiedy tam jestem. Jeden z moich ulubionych. Niestety dla nas trochę zbyt młody.

Uśmiechnęła się na myśl, jakim kłębkiem sprzeczności był Ike. Dumny potomek nowoangielskich plutokratów, fanatyk wspinaczek wysokogórskich, uczestnik regat American Cup, leśny włóczęga, tenisista, kajakarz, kobięciarz i... miłośnik

starych domów. Można by przypuszczać, że siedzi teraz w austrijskim interiorze, w Azji Południowo-Wschodniej albo w Afryce Środkowej. Tessa czasami podejrzewała również, że zaszył się w Gloucesterze i obserwuje ich wszystkich.

Ktoś przecież musi wiedzieć, gdzie się podziewa.

Otwarte dwuskrzydłowe drzwi prowadziły z kuchni do długiego, wąskiego pokoju z podłogą z sosnowych desek, oknami o drobnych szybkach, kamiennym kominkiem i głównym wejściem, znacznie mniejszym niż oryginalne dziewiętnastowieczne wrota. Nie było zamka, tylko zasuwa od wewnątrz. Jedną z wielu rzeczy do skorygowania, pomyślała Tessa, zatrzymawszy się na środku pokoju. Stojąc tak w świetle zmierzchu, ujrzała nowe tkaniny, barwy, faktury, usłyszała śmiech przyjaciół, głosy dzieci i muzykę. No cóż, wyobraźnia nieraz płatała jej takie figle. Bywało to niebezpieczne, szczególnie teraz. No cóż, nie stać jej było na wozownię. Dopiero rozkręcała firmę i tylko na tym powinna się skupić.

Jej wzrok padł na ciemną plamę tuż przy progu. Powoli do niej podeszła i przesunęła po wierzchu czubkiem buta. Chyba krew. Nie chyba, ale na pewno krew. Bez dwóch zdań.

Zginął tu człowiek, Benjamin Morse, bogaty damski bokser. Stawał w obronie swojego honoru. Czy taki, co tłucze swoją żonę, może mieć honor? Podług Tessy nie. Może jednak był niewinny? Może Jedidiah Thorne oskarżył go bezpodstawnie? A może swojego oszczerstwa użył jako pretekstu, prowokacji, bo wiedział, że tamten go wyzwie? Może Thome kochał Adelaide Morse?

Tessa nie знаła odpowiedzi.

W drugim końcu domu odkryła dwa niewielkie pokoje. Tessa wreszcie poczuła się jak w domu: maszyna do szycia, półki pełne książek, wygodne fotele, ręcznie tkane chodniki, no i ona wśród tego wszystkiego. Mogłaby tu pracować, zaadaptowałyby dla siebie poddasze, przebiła świetliki, kupiła najnowszy sprzęt potrzebny grafikowi. Tworzyłyby swoje projekty, mając za

oknem Atlantyck zamiast zabytkowego cmentarza. Graficzka i duch Jedidiaha Thorne'a w jednym stali domku...

Czuła, że ponosi ją fantazja. Wróciła do dużego pokoju i stała przez chwilę bez ruchu, nasłuchując, czy nie odezwie się duch.

Nie odezwał się nikt. Nawet kot Królowy Dolly.

- Śmiechu warte - mruknęła i ruszyła do samochodu.

Przypomniawszy Dolly reguły obowiązujące w domu, Andrew zaopatrzył się w dwa piwa i rozsiadł się z Harleyem w starych adirondakach* pod szarym orzechem amerykańskim, pięknym, ogromnym, sadzonym zapewne jeszcze ręką samego Jedidiaha Thorne'a, zanim ten zagustował w pojedynkach.

- Gdzie Dolly? - zainteresował się Harl.

- Buczy w swoim domku na drzewie. - Umieszczony między konarami dębu domek zbudował Harl przy wydatnej pomocy przyszłej właścicielki. Andrew, architekt, nie wtrącał się. Pewne sprawy lepiej było zostawić tej dwójce, choć broń Panie Boże wszystkie.

Adirondaki - popularne w USA, do dziś produkowane drewniane meble ogrodowe w rustykalnym stylu. Również dywany, chodniki i inne przedmioty służące do wystroju wnętrz. Proste, a nawet purytańskie. Nazwa pochodzi od hrabstwa Adirondack w stanie Nowy Jork (przyp. tłum.)

- Uważa, że skoro nie wyszła na drogę, to jakby nie wychodziła z ogrodu. I gadaj tu z taką.

- Zostanie prawnikiem albo politykiem. Zapamiętaj moje słowa.

Andrew zazgrzytał zębami.

- To ten cholerny kot.

- Wiem. Życzę Łatce, żeby znalazła sobie jakiś inny, choć tak samo porąbany dom, gotowy ją przyjąć. To przewrotna dziwka. Podrapała mnie dziś rano. - Zademontrował ślady pazurów na wytatuowanym przedramieniu.

- Powinienem był wrzucić ją do sadzawki.

Harl nigdy by tego nie zrobił. Miękkł przy dzieciach i bezbronych zwierzakach. Łatka była złośliwa, humorzasta i kotna, ale kiedy Dolly ją zobaczyła, przepadło. Harry widział wiele okrucieństw i wiele sam ich popełnił w parszywych dzielnicach Gloucesteru, skąd pochodził, na wojnie, wreszcie w policji, a jednak był najłagodniejszym człowiekiem, jakiego Andrew kiedykolwiek spotkał. Jedyne jego małżeństwo rozpadło się, ale dwie dorosłe już córki uwielbiały ojca.

Andrew przez długi czas zadawał sobie pełne goryczy pytanie, co Joanna by powiedziała na to, że właśnie Harley Beckett opiekuje się jej dzieckiem. Teraz już go to nie nurtowało, bo pogodził się z losem. Z tym, że przed trzema laty jego żonę zabrała lawina na Mount McKinley. Joanna zaczęła chodzić po górach zaledwie rok wcześniej, kiedy Dolly miała dwa lata. Namówił ją Dce Grantham.

- Chce, żebym się sprawdziła - relacjonowała. - Chce, żebym wyszła z bezpiecznego kąta. Boję się zostawiać ciebie i Dolly, ale mnie to tak podnieca. Muszę spróbować, Andrew. To doskonalenie charakteru. Będę lepszym człowiekiem. Lepszą matką.

Może, myślał Andrew. Gdyby przeżyła.

Wspinaczka, nawet w górach północnej Nowej Anglii, dawała Joannie mnóstwo radości, łagodziła niepokoje i stany przygnębienia, które zaczęły się po urodzeniu Dolly. Nie była gotowa na dziecko. Teraz to widział. Czowała się w potrzasku, przykuta do jednego miejsca. Pragnęła mieć coś całkowicie własnego, poczuć zew przygody. A mąż i córka?

- Kocham Dolly z całego serca - tłumaczyła. - I ciebie kocham, Andrew. Kocham też moją pracę. - Była analitykiem w Pómcnoatlantyckim Instytucie Badań Strategicznych. - Nie chodzi o was. To jakiś wewnętrzny niepokój, mój niepokój, z którym nie potrafię sobie poradzić.

Dce Grantham zdawał się rozumieć, albo tylko udawał. Jednak Andrew był kiepski w udawaniu.

- Nie mam romansu z Lidem, Andrew. Nawet nie próbuj tak myśleć.

Andrew jej wierzył. Jak dalej potoczyłoby się ich małżeństwo, gdyby Joanna wróciła z Mount McKinley, nie miało już znaczenia. Nie wróciła i musiał radzić sobie bez niej. Podobnie jak Dolly. Nie obwiniął Eke'a o śmierć Joanny, bo w ten sposób kwestionowałby niezależność jej wyborów, a nawet jej miłość do gór.

Upił trochę piwa i przez chwilę wsłuchiwał się w świergot ptaków dochodzący z gałęzi orzecha.

- Do diabła, Harl, kto to jest Tessa Haviland?

- Nie mam pojęcia. O co chodzi?

- Powiada, że wozownia do niej należy.

- Lauren ją sprzedała?

- Nie przypuszczam. Nie w ostatnim czasie. Coś byśmy słyszeli.

- Niekoniecznie.

Andrew milczał. Znowu zobaczył Tessę Haviland stojącą przy gęstwie bżów. Blondynka, mocno zbudowana, atrakcyjna. Jasnoniebieskie oczy, nuta lekceważenia w uśmiechu i zachowaniu. Trudno powiedzieć, czy była w typie Dce'a Granthama. No tak, większość kobiet była.

Harl chrząknął.

- Tylko tego trzeba, żeby sukinsyn znowu się pojawił. Przez rok był spokój. Lubię spokój.

- Dowiem się, co to za historia. Może Dce nie ma nic wspólnego z tą Haviland?

Czuł, że Harl nie jest przekonany. On też nie był. Kiedy krótko po śmierci Joanny prawie cała posiadłość Thorne'a została wystawiona na sprzedaż, nabył ją Andrew. Próbował też kupić wozownię. Wprawdzie miała plugawą historię, jednak integralnie należała do całości, co dla Andrew, było nie było

architekta, miało istotne znaczenie, ale uznał wyłączenie budynku za głupie. Poza tym wolałby sam decydować, kto będzie mieszkał za gęstwiną bżów.

Dokończył piwo i postanowił przygotować kolację. Harl czasami z nimi jadał, ale nie zawsze. Bywało, że podgrzewał sobie fasolkę z puszki albo chowder, czyli gęstą zupę na mleku z ziemniakami, mięsem lub rybą, i siadał z talerzem na ogrodowym fotelu. Ale bywało i tak, że w ogóle zapominał o jedzeniu.

- Kiedy odbierałem dzisiaj po południu Dolly ze szkoły, zaczepiła mnie jej nauczycielka - oznajmił nagle Harl.

- I co?

- Martwi ją, jak to powiedziała, „aktywna wyobraźnia” Dolly. Andrew skrzywił się. Wiedział, co usłyszy.

- Nie pozwoliłeś jej chyba pójść w koronie do szkoły?

- Lubi swoje korony. Mówiłem jej, że powinna zostawiać je w domu, ale przemyciła jedną w pudełku na drugie śniadanie. Tę najbardziej ulubioną. Co miałem robić? Rewidować sześciolatkę?

Andrew poczuł, jak krew pulsuje mu skroniach. Jego córka miała żywy umysł i ciągle wpadała w tarapaty. Nie miał pojęcia, jak powinno zachowywać się sześciolatne dziecko, co jest normą, a co poza nią wykracza. Harl w tych sprawach ekspertem również nie był. Obaj wyrastali w podłej dzielnicy Gloucesteru, gdzie każdy problem rozstrzygały pięści. Czy to na morzu, na wojnie, na ulicy czy w barze, Thorne'owie byli pierwsi do bitki. Wszystko jedno z kim.

I tacy ludzie mieli wychowywać Dolly? W Beaconbythe-Sea wzbudzało to poważne wątpliwości.

- Ona myśli, że jest królową - powiedział Harl.

- Tak się przedstawiła Tessie Haviland. Kąciki ust Harla drgnęły mimowolnie.

- Królowa musi mieć koronę.

- Chryste, Harl. Co ci powiedziała "pani Perez? Harl wzruszył ramionami.

- Żeby się to więcej nie powtórzyło.

- I?

- Prosiła, żebyś przyszedł do szkoły.

- Cholera jasna, Harl!

- Jesteś ojcem, ja tylko jej pilnuję. - Ziewnął, jakby chciał powiedzieć, że ma większe zmartwienia niż korona na głowie sześciolatki. - Skąd jest ta Tessa Haviland?

- Przyjechała wozem na znakach Massachusetts.

- Jakim?

- Zardzewiałą hondą.

- Zagraniczny, czyli wielkie miasto i wolny zawód - zawyrokował Harl z przenikliwością starego socjologa.

Andrew obserwował, jak Dolly schodziła po drabinie. A więc postanowiła opuścić swój domek. Wreszcie zeskoczyła na ziemię, a jej korona się przekrzywiła. Dziewczynka zerwała się z trawy, wydała wielki okrzyk i w jednej chwili znalazła się u ojca na kolanach. Pachniała potem swoich przygód, we włosach miała okruchy liści, kawałki gałązek przyczepiły się do skarpetek. Korona nie spadła jej z głowy tylko dlatego, że była przyszpilona do włosów tysiącem spinek. Dolly i Harl wykonali ją wspólnie w jego pracowni. Sama królowa Anglii nie miała godniejszego klejnotu, nawet jeśli zdobiące go szlachetne kamienie nie były tak całkiem szlachetne.

- I co, pyzo?

- Nie mogę znaleźć Łatki. Schowała się gdzieś i nie chce wyjść.

Andrew pomyślał, że gdyby on był kotem przy nadziei, też by nie wyszedł.

- Wołałaś ją ładnie?

Dolly z namaszczeniem skinęła głową. Sprawa była poważna.

- Po domowemu, choć byłam na dworze. O tak. - Zniżyła głos do dramatycznego szeptu. - Kici, kici, chodź tutaj.

- A ona nie przyszła?

- Nie.

- I co zrobiłaś? - zapytał Harl.

- Zaczęłam klaskać. O tak. - Energicznie uderzyła w dłonie tuż nad uchem Andrew.

- Pewnie ją wystraszyłaś, Dolly.

- Królowna Dolly - oburzyła się z monarszym majestatem.

Andrew postawił ją na trawie. Należało zająć się iście królewskim problemem.

- Czy wszystkim każesz nazywać się królowną?

- Ja jestem królowną.

- To znaczy że wszyscy muszą nazywać cię królowną...

- Tak.

- Ale nie każesz im dygać przed sobą ani składać pokłonów? - Harl zaczął drapać kącik "ust.

Dolly wysunęła wyzywająco brodę.

- Jestem królowną, Harl. Sam mówiłeś, że dziewczynki muszą dygać, a chłopcy bić pokłony. Powinni tak robić, kiedy widzą królownę.

Andrew wreszcie zrozumiał, dlaczego został wezwany do szkoły. Nie chodziło tylko o korony. Spojrzał na Harla.

- Ty to zaczęłaś, ty skończ. Pójdiesz na spotkanie z panią Perez.

- Słucham? - Harl nie przejął się ani trochę. - Ona ma dopiero sześć lat i bardzo... hm... „aktywną wyobraźnię”. W tym wieku to nic dziwnego.

- Sześciolatki nie każą innym dzieciom dygać i kłaniać się na swój widok.

- Ja im nie każę - poprawiła ojca Dolly.

Harl nie potrafił ukryć rozbawienia. Był w pełni odpowiedzialnym opiekunem, ale za bardzo pobleżał fantazjom Dolly. Co tam pobleżał, wręcz zachęcał, a nawet w nich uczestniczył, co wcale nie wychodziło małej na dobre. Andrew wstał.

- Pójdę się przejść przed kolacją. Chcesz iść ze mną, Dolly? Niech Harl trochę popracuje w spokoju.

- Może poszukamy Łatki?

- Spróbujemy.

Dolly w podskokach popędziła do wyjścia z ogrodu. Andrew stał jeszcze chwilę, wspominając dawnego Harla, jakim go zapamiętał z pierwszych miesięcy po powrocie z Wietnamu. Milczący, hermetycznie zamknięty w sobie facet. Wszyscy się bali, że popełni samobójstwo albo kogoś zabije. Andrew był wtedy jeszcze smarkaczem i nie miał zielonego pojęcia o polityce, więc nie rozumiał, że Harlowi dano niewielki wybór, a zarazem z góry skazano na klęskę. Jednak wbrew powszechnym oczekiwaniom Harl został policjantem, a potem znakomitym renowatorem mebli i opiekunem sześciolatniej Dolly Thorne.

Podobnie Andrew na przekór oczekiwaniom zaczął pracę w budownictwie, powściągnął krewki charakter, skończył z burdami i włóczęństwem się po barach, poznał Joannę, został architektem i szefem firmy budowlanej. Ani on, ani Harl nigdy nie należeli do elity North Shore, co więcej nigdy nie zostaliby do niej dopuszczeni. Lecz wcale im na tym nie zależało.

- Nie zostawimy kociąt, Harl. Chcę, żebyśmy to sobie wyjaśnili.

- Nie znoszę kotów, Andrew.

Co wcale nie oznaczało, że nie pozwoli Dolly zatrzymać małych. Harl postępował według siebie tylko znanej logiki. Nie znosił kotów, ale przygarnął złośliwą, humorzastą kocicę z wielkim brzuchem.

- Tato, chodź wreszcie! - rozległo się niecierpliwe wołanie Dolly.

Andrew ruszył przez trawnik, wdychając zapach soli i bżów. Jeśli spotkanie z Tessą Haviland miało oznaczać, że Dce Grantham wrócił, trudno, niech i tak będzie. Ważne, że Dolly jest szczęśliwa, zdrowa i tak bardzo pewna własnej wartości, że nosi koronę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lauren od dłuższej chwili nie mogła zapiąć naszyjnika. Bolał ją kark i zaczynała tracić cierpliwość. Najchętniej cisnęłaby perłami o podłogę.

Dce przywiózł je z jednej ze swoich wypraw i ofiarował siostrze.

- Następnym razem powinnaś pojechać ze mną. Beaconbythe-Sea da sobie radę bez ciebie, fundacja też. Pociesz się trochę życiem.

Zamknęła oczy, walcząc z napływającymi łzami. Za dużo wina. Wypiła dwa kieliszki na pusty żołądek i nie wiedziała, jak przetrzyma kolację. Richard wybrał mroczną, hałaśliwą restaurację w miasteczku. Lauren nie pozostanie nic innego, jak zaszyć się w kącie i dalej pić wino, gdy tymczasem on będzie grał eksperta od terroryzmu i męża dziedziczki z North Shore.

Boże, co się z nią dzieje?

Otworzyła oczy i jeszcze raz spróbowała zapiąć naszyjnik. Richard nigdy nie ofiarowywał jej klejnotów, wyłącznie książki, bilety na koncerty i do teatru, zabierał ją na wernisaże. Nigdy kwiatów, biżuterii, apaszek, seksownej bielizny, niczego, co cieszyłoby oko i sprawiałoby przyjemność.

Dce nie mógł zrozumieć, co jego siostra widziała w Richardzie. Był bardzo opiekuńczym bratem, pewnie dlatego, że przed dwudziestu laty zostali zupełnie sami, gdy ich rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Zawsze bardziej kochali Dce'a. Jak wszyscy. On każdego potrafił oczarować i okręcić sobie wokół palca.

- Richard Montague, Lauren? Nie mówisz chyba poważnie! - Dce ze złości tupnęła nogą. - Mózgowiec, któremu nie staje, ale myśli, że z niego super facet, bo wie o kilku świrach produkujących domowe bomby.

- Gra w squasha i racquetballa, biega maratony - dowodziła.

Lecz na bracie nie zrobiło to wrażenia.

- Tak? - skwitował sucho.

Dla Dce'a Richard był przeciwieństwem tego wszystkiego, co on sam uosabiał. Dce nie skończył Harvardu, Richard zrobił tam doktorat. Dce nie zajmował się niczym na serio, nawet swoją ukochaną fundacją Ratujmy Zabytki Beaconu, natomiast Richard do wszystkiego podchodził ze śmiertelną powagą. Ike żył dla czystej przyjemności życia, natomiast Richard narodził się po to, by wciąż się doskonalić, mieć lepsze kontakty, osiągać kolejne cele.

Ślub z Lauren nie był niczym innym. Służył jego osobistemu dobru. Zona stanowiła świetną lokatę. Miała pieniądze, dobre nazwisko, „pochodzenie”, jak raz mu się wypsnęło i zaraz pokrył błąd uśmiechem. Wcale to jednak nie znaczyło, by Richard jej nie kochał. Kochał, ona też go kochała. Była to miłość rozważna i po tysiącokroć przemyślana. Nie każdy działa pod wpływem chwili, jak Ike. Bo Dce był spontaniczny, uwielbiał się bawić, żył przygodą, ale nie wiedział, czym jest prawdziwa miłość i oddanie.

- Och, Dce.

Zapięcie wreszcie się zatrzasnęło.

Nie może płakać. Żadnych łez, bo musiałyby zaczynać cały makijaż od nowa. Przesunęła leciutko palcami po perłach i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wciąż była szczupła i pomimo czterdziestki nadal chciała zachować ładną sylwetkę.

Dce pokpiwał z niej w urodziny.

- Wchodzisz w smugę cienia, dziewczyno, i popatrz na siebie, nic dotąd nie przeżyłaś.

Miała za sobą pierwsze nieudane małżeństwo, córkę w szkole z internatem i na barkach wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem spraw rodziny Granthamów. Nawet fundacja, która początkowo była oczkiem w głowie Dce'a, zaistniała tak naprawdę dzięki niej. To Lauren pilnowała wszystkich szczegółów i pojawiała się na spotkaniach, jeśli Dce miał

ciekawsze zajęcia. A zwykle miał. To dzięki niej mógł żyć tak, jak lubił.

Wiedział o tym. Mówił jej, jak bardzo docenia to, co dla niego robiła, lecz zarazem pokpiwał, że dla niej największym ryzykiem jest wyprawić się z przyjaciółmi w morze jachtem w trzaskający mróz albo śmiać za głośno na przyjęciu.

- Dce. Och, Dce - szepnęła.

On nie żyje. Wiesz, że nie żyje.

Nie wiedziała. Nie na pewno.

Tessa Haviland nie zatrzyma wozowni. Przez rok się nie pokazała, by choć rzucić na nią okiem. Dce zrobił głupio, że przepisał na tę projektantkę prawo własności, ale tak właśnie działał: chwilowy kaprys, zachcianka.

Jeśli Tessa wystawi wozownię na sprzedaż, Lauren natychmiast ją kupi. Może uda im się załatwić transakcję między sobą, bez udziału pośrednictwa agencji. Musi tylko bardzo tego chcieć, a rzecz się uda.

Do garderoby wpadły trzy pudle miniaturki i zaczęły się łaścić do pani.

- Wy podłe lenie, cały dzień przespałyście na moim łóżku, a teraz chcecie, żebym się wami zajmowała? Niedoczekanie! Gdzie byłyście, kiedy to ja się chciałam z wami bawić?

Dce ostrzegął ją przed pudłami.

- To takie banalne, Lauren. Spraw sobie rottweilera albo dobermana.

Zagroziła, że wydzierga dla nich sweterki.

Poczuła, że nagle nie ma czym oddychać. Pobiegła do sypialni, stanęła przy szeroko otwartym oknie i wciągnęła w płuca haust wiosennego powietrza, uciszając napad paniki. Nie chciała myśleć o swoim bracie. Nie będzie o nim myśleć. Zbyt długo dominował nad jej życiem. Był samolubny, niefrasobliwy, złośliwy. Nie lubił Richarda, bo Richard czegoś dokonał w swoim życiu, natomiast Dce niczego. Taka była prawda.

Wzięła na ręce pudle, które w ślad za nią pojawiły się w sypialni, i opadła na biały fotel przy oknie. Słońce już zachodziło, ale ogrody rezydencji nadal pyszniły się wspaniałymi barwami. W tym domu dorastali z Dciem. Zbudował go ich dziadek w 1923 roku na skale nad oceanem. Lauren wołała swój pokój z widokiem na ogrody.

Tutaj umrę, myślała, głaszcząc pudelki. Za pięćdziesiąt lat będzie siedziała w tym samym fotelu, być może z późnymi potomkami piesków, które wierciły się teraz na jej kolanach, ale poza tym zupełnie opuszczona. Nie będzie już Dce'a ani Richarda. To jej przeznaczenie, nie ma od niego ucieczki.

Richard Montague wiedział, że zirytował żonę. Nalała sobie drugi kieliszek wina i odeszła. Oczywiście nie skomentowała ani słowem, jak bardzo jest niezadowolona, bo jej mąż miał gościa. Niezapowiedzianego, niespodziewanego gościa. Dlatego w ostatniej chwili kolacja musiała zostać odwołana. Tak więc Richard wiedział, że Lauren jest zła, nie rozumiał jednak dlaczego. Przecież wcale nie cieszyła się z powodu tego wypadu do restauracji.

- Szklaneczkę whisky? - zwrócił się Richard do gościa.

Szef biura senatora z Massachusetts grzecznie odmówił. Jeremy Carver był niezwykle ostrożnym człowiekiem. Richard zauważył to już przy ich pierwszym spotkaniu na Kapitolu. Ostrożny, dyskretny, podejrzliwy i bez zmrżenia oka gotowy zniszczyć doktora filozofii Richarda Montague'a, jeśli tylko ten dałby mu najłżejszy ku temu powód.

- Proszę mi wybaczyć, że nie uprzedziłem o swojej wizycie.

- Doprawdy drobiazg. Nie mieliśmy z Lauren żadnych specjalnych planów. Wybieraliśmy się na kolację we dwoje, ot, dla spędzenia wieczoru.

Rozmowa toczyła się w gabinecie Richarda, kiedyś należącym do jego teścia. Richard lubił myśleć, że jest kontynuatorem tradycji, nawet jeśli nie była to jego własna

tradycja. Sam nie mógł legitymować się żadną poza guzami na głowie.

Jeremy Carver rozsiadł się w klubowym skórzanym fotelu niby we własnym, choć Richard wiedział, że jego gość jest takim samym jak on parweniuszem. Południowy Boston, nędzna dzielnica, sześciu braci, sześć siostr, studia tylko dzięki stypendium na waszyngtońskim Georgetown University.

Miał wrodzony talent do polityki i wiele do powiedzenia w Senacie. Przysadzisty, siwowłosy, mniej więcej dziesięć lat starszy od Richarda, zawsze pewny siebie, teraz też zachowywał się jak ważna persona, oczekiwana i zasługująca na należną estymę.

Richard taksował go uważnym spojrzeniem. Był w dużo lepszej kondycji niż Carver, bo regularnie ćwiczył. Nie uważał się za zbyt przystojnego, ale przynajmniej nie miał mięsistego nochała i odstręczającej jak jego gość fizjonomii. Był lepiej wykształcony i pracował w instytucji najwyższego zaufania publicznego. Miał dostęp do najbardziej poufnych informacji o fanatykach, amoralnych szaleńcach i politycznych socjopatach, czyli w skrócie mówiąc o terrorystach. Chociaż w skrócie nic tu się nie dawało powiedzieć, bowiem materia była zbyt skomplikowana. Miał do czynienia z wszelkim intelektualnym błotem, rodzącym się w chorych umysłach. Z prawdami religijnymi i z żelaznymi, racjonalnymi wywodami, z wizjami politycznymi i futurologicznymi, które objaśniały wszystko co było, jest i będzie. Na co dzień stykał się z niezliczoną wręcz liczbą punktów widzenia i uzasadnień, służących tylko jednemu: usprawiedliwieniu zbrodni popełnianych na Bogu ducha winnych ludziach. Jednym słowem rozpracowywał i zwalczał najgroźniejsze aberracje umysłowe.

A jednak, pomimo całej swojej wiedzy i doświadczenia, czuł się w towarzystwie Carvera jak żalosne nic. Jakby nigdy nie wy dobył się z anonimowej masy klasy średniej, z szarzyzny społecznego otoczenia zachodniego Bostonu, gdzie wyrastał.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął Carver. - Senator uważa, że powinien pan przejść do Pentagonu.

Richard poderwał głowę jak sztabak. Oczywiście że senator chciałby go mieć w Pentagonie. Dlaczego nie? W końcu jest najlepszy.

- Cieszę się - powiedział krótko.

- Zanim senator pana popchnie, musi wiedzieć, czy nie ma pan nic za skórą, żeby potem nie było kaszany. Zrozumiano?

- Oczywiście.

W pokoju zaległa cisza. Wysokie stanowisko w Pentagonie to dopiero początek. Sekretarz obrony, szef CIA, a może nawet sekretarz stanu? Richard miał pięćdziesiąt lat i prawdziwa kariera była dopiero przed nim. Wierzył w to święcie.

- A teraz - Jeremy Carver potarł delikatną skórę oparcia fotela - niech mi pan wszystko opowie o Ike'u Granthamie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W „Jim's Place” serwowano tego wieczoru chowder. Ledwie Tessa zdążyła się usadowić na stołku barowym, ojciec podsunął jej talerz firmowej wersji dania, z której sływał jego bar, czyli chowder z małżami.

- Nie dostaniesz dzisiaj piwa, córko - oznajmił. - Wyglądasz na wykończoną.

- Jestem wykończona. Miałam ciężki tydzień. Chowder był gęsty i dymiący. Przyrządzając go, Jim

Haviland nie skąpił małży i nigdy nie używał puszkowych. Tessa patrzyła, jak drobina omasty roztapia się w mleku. Proste, smaczne dania, niegdysiejsza atmosfera, staroświeckie drewniane wnętrza z rzędami barowego szkła, taki właśnie był „Jim's Place”. Pub z minionych dni przyciągał rozmaitych klientów, od robotników budowlanych i strażaków po studentów i informatyków. W wyniku spekulacji na rynku nieruchomości Somerville powoli zmieniał się w tak zwaną dobrą dzielnicę, jednak lokal Jima Havilanda opierał się tym zmianom.

- Za ciężko pracujesz.

- Dlatego przyszedłam dzisiaj do ciebie na kolację.

- Akurat.

Spojrzał jej w oczy i to wystarczyło, by zrozumiała, że ojciec wie o wozowni. Wszędzie miał swoich szpiegów, nawet Susanna Galway była jego donosicielką. Mieszkała na tej samej ulicy i kochała dobry chowder. Tessa mogła sobie wyobrazić, jak się to odbyło. Bywały w pubie razem, ilekroć Jim serwował swoją specjalność. Gdy Susi pojawiła się sama, zapytał, gdzie się podziewa Tessa, na co przyjaciółka, niewiele myśląc, musiała palnąć:

- Och, Tessa? Pojechała do Beaconbythe-Sea do tej swojej cholernej wozowni.

Tessa nie przyznała się ojcu, że Dce Grantham zapłacił jej za projekt starą, zrujnowaną budą sprzed ponad stu lat. Jim Haviland też lubił gotówkę.

- Przyszłaś, żeby się wyzalić. Na litość boską, Tesso, jakaś rozpadająca się wozownia na North Shore?

Opuściła plecak na podłogę.

- Susanna?

- Nie. Nie mogłem wycisnąć z niej słowa, ale czułem, że coś się dzieje.

- Davey.

Jim milczał. Tessa jęknęła. Powinna była się tego spodziewać. Davey Aheam siedział w drugim końcu baru. Dwukrotnie rozwiedziony hydraulik, przyjaciel jej ojca od niepamiętnych czasów, był wiecznym utrapieniem Tessy. Od początku zbyt poważnie traktował swoją rolę ojca chrzestnego.

Teraz doskonale słyszał każde słowo z rozmowy.

- Cholerni hydraulicy. Lepiej pilnowaliby własnych spraw i nie mieszały się w cudze.

- Co mówisz o hydraulikach? - zainteresował się Davey.

Tessa wymierzyła w niego łyżkę.

- Mówię, że bez potrzeby mieście jęzorem.

- A co ma gadanie do naszego fachu? Bozia wszystkim dała po języku, grzech go nie używać.

Jasne, grzech. Susanna musiała wygadać się Daveyowi, a on powtórzył ojcu. Albo powiedziała swojej babci i to wystarczyło, by wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. W tej dzielnicy nic nie dało się ukryć. Zanim po powrocie z Beaconbythe-Sea zdążyła dotrzeć do pubu, ojciec już wiedział, gdzie i po co jeździła.

- Ktoś przecież musiał powiedzieć Jimmy'emu, co się dzieje - dodał jeszcze Davey.

- Ktoś mógł dać mi cień szansy, żebym sama mu powiedziała.

- Cięższymi - przyznał Davey, potężny mężczyzna o przysypanych siwizną włosach. - Masz tę buzię już od roku, więc nie opowiadaj mi o cieniach.

Na to Tessa nic już nie mogła odpowiedzieć, dlatego w milczeniu wróciła do swojej zupy. Sprawa była beznadziejna. Ojciec i Davey od trzydziestu czterech lat prześcigali się w traktowaniu jej jak smarkatej, więc musiała im odpuścić. Na razie.

- Nie miała baba kłopotu, to kupiła sobie stodołę - ciągnął Davey. - Wiesz, co jest w stodołach, Tesso? W stodołach są węże.

- To zażytkowa wozownia. Ojciec wycelował w nią palec.

- Nie ruszaj się stąd. Muszę obsłużyć klienta.

- Nigdzie się nie ruszam. Jem zupę. I guzik mnie obchodzi, co obaj mówicie.

- Słowa prawdy płyną z twoich ust.

Tessa pochłaniała tłuszciki mięczaki, omaszczone masłem mleko, ziemniaki. Innego dnia wzdrygałaby się przed tyloma kaloriami. W telewizji nadawano mecz Red Soksów przeciwko Yankeesom, rozgrywany na bostońskim boisku Soksów, Fenway Park, istniejącym od 1912 roku, równie starym jak sama drużyna. Historyczne boisko miało zostać zburzone i ustąpić miejsca nowemu. Goście w barze wściekali się, komentując decyzję magistratu. Wszystko się zmienia, myślała Tessa z przygnębieniem. Ale taka jest już natura rzeczy. Zmienia się dzielnica, w której się urodziła. Zmienia się ona sama.

Przy stoliku tuż za jej plecami kilku mężczyzn kłóciło się, który z prezydentów dwudziestego wieku był najwybitniejszy.

- Ronnie Reagan. - Jakiś młody robotnik w kombinezonie budowlanym uniósł kufel w pełnym namaszczenia toaście. - Pochylajcie głowy, kiedy wymawiacie jego imię.

- Nie gadaj. Franklin Delano Roosevelt, to dopiero był prezydent.

- Harry Truman.

Davey pokręcił głową i powiódł wzrokiem po dyskutujących, młodszych od niego o całe pokolenie.

- Adlai Stevenson - stwierdził obojętnym tonem.

- Spadaj. Nigdy nie był prezydentem.

- A szkoda - powiedział Davey.

- Co to za jeden, ten Adlai Stevenson? - zapytał chłopak w roboczym kombinezonie.

- Ignorant - uśmiechnął się jego kumpel, który optował za Reaganem. - To był ten, no... cholera, kto to właściwie był?

Davey westchnął i nie wdawał się w dalszą rozmowę. Za bar wrócił Jim.

- Kraj się kończy, Jimmy. Twoja córka uparła się mieć stodołę, a ci durnie nie wiedzą, kim był Adlai Stevenson.

Rozmowa zvekslowała na baseball, temat w Bostonie jeszcze bardziej niebezpieczny niż polityka. Kiedy indziej Tessa wtrąciłaby swoje trzy grosze. Dobre jedzenie i dobra dyskusja tworzyły atmosferę pubu ojca. Szkoda, że Jim nie doceniał dzisiaj ani jednego, ani drugiego.

- Tato, to nie jest stodoła - zaczęła. - I wcale nie

byłam taka głupia, że nie wzięłam gotówki. To była prawdziwa okazja. Nigdy nie byłoby mnie stać na zakup takiego miejsca. Nad samym oceanem. Wymaga tylko trochę pracy.

*** Adlai Ewing Stevenson (1835-1914) - demokrata, w latach 1893-1897 wiceprezydent USA w administracji Grovera Clevelanda (przyp. tłum.)**

Jim pozornie całkowicie był pochłonięty przygotowywaniem martini. Ale tylko pozornie. Przez tyle lat sam wychowywał Tessę, że bez trudu rozpoznawała, kiedy ojciec przełącza się na automatycznego pilota. Miała mnóstwo okazji, żeby powiedzieć mu o wozowni, a jednak nie powiedziała. Oboje o tym wiedzieli.

Matka umarła, kiedy Tessa miała sześć lat. Odtąd była córeczką ojca i nawet kiedy już dorosła, o wszystkim mu mówiła. On zresztą też. Mówili sobie o wszystkim, niezależnie od tego, czy drugie miało akurat ochotę słuchać, oraz co tak naprawdę mieli sobie do powiedzenia. Lub do wygarnięcia.

Tym razem stało się inaczej.

Tessa skończyła zupeł. Ojciec udawał, że nic go nie obchodzi poza przyrządzaniem drinka. Tak naprawdę nie potrzebowała jego aprobaty. Od dawna sama podejmowała decyzje, ale z błogosławieństwem Jima było jej lżej na duszy.

- Trochę, to znaczy ile? - odezwał się wreszcie.

- Dużo pracy - powiedział Davey.

Jim posłał mu ostrzegawcze spojrzenie i Davey, wzruszywszy ramionami, dopił swoje piwo.

Tessa otworzyła małą paczuszkę krakersów ostrygowych. Nigdy nie jadła ich razem z zupą, zawsze po.

- Sporo.

Ojciec skinął głową. Dom, który wymaga remontu, to mógł zrozumieć.

- Chcesz zatrzymać tę rudere?

- Nie wiem. Chyba tak. Kiedy dzisiaj ją oglądałam, przychodziły mi do głowy różne pomysły. Wyobraźnia zaczęła pracować.

To też potrafił zrozumieć. Wyobraźnia córki nieraz dawała mu się we znaki. Chrząknął.

- No cóż, jeśli chcesz zatrzymać chałupę, niektórzy z tych smarkaczy - skinął na salę - którzy bęcwałą się przy stołach, mają wobec mnie długi wdzięczności.

- Wezmę to pod uwagę. - Ugryzła kawałek krakersa. - Ale tyle, ile będę mogła, chcę zrobić sama. Jeśli w ogóle.

Davey jęknął.

- Nie ma co, to lubię najbardziej. Poprawiać po takich majsterklepkach.

- Odczep się ode mnie, Davey, dobra? Usiłuję porozmawiać z ojcem. To dla mnie ważne.

- Prawdziwe wyznanie. Spóźniłaś się o dzionek, Tesso - dogadywał dalej Davey.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Mam zdjęcia, tato. Chcesz zobaczyć? Dce Grantham dał mi je, kiedy przepisywał na mnie akt własności.

- Dce Grantham - pogardliwie parsknął Jim Haviland. - Też mi ktoś.

- Tato...

- Pokaż te zdjęcia.

Tessa zsunęła się ze stołka i podniosła plecaczek. Z bocznej kieszonki wyjęła dwa najlepsze zdjęcia z całej rolki wypstrykanej przez Dce'a. Był wtedy okropnie dumny.

- To naprawdę wspaniały dom, Tesso. Wiem, że mogę ci go powierzyć.

Podąła fotografie ojcu. Jim nałożył okulary.

- O Jezu, Tesso! Toż to jest stodoła.

- Mówilem przecież - wtrącił Davey. - Z węzami.

Davey zaczynał irytować Tessę. Była już bliska powiedzenia mu, że w dodatku nawiedzona przez ducha mordercy, którego potomkowie mieszkają w sąsiednim domu, a najmłodsza z rodu uważa się za królową. Przemilczała to jednak, bo sprzeczki z Daveyem Ahearnem tylko go rozochocąły do dalszego dogadywania.

- To w Beaconbythe-Sea, tato. Pamiętasz, jak urządzaliśmy tam pikniki na plaży?

- Owszem, pamiętam. - Zdjął okulary i oddał córce zdjęcia. - Daleko będziesz musiała dojeżdżać.

- Minie trochę czasu, zanim się przeprowadzę. Jeśli nasza firma się utrzyma, będę wpadała tam tylko na weekendy.

- W tej starej ruderze - ciągnął niczym niezrażony Davey - jest pewnie kupa azbestu, aluminiowe rury, farby ołowiowe.

- No i co z tego? Nie muszę specjalnie szukać, żeby ci pokazać nowe domy z aluminiowymi rurami i azbestem.

Davey zsunął się ze stołka.

- Dlaczego nie kupisz czegoś tutaj, gdzie wszyscy znają cię od dziecka? Ale nie, ty oczywiście bierzesz tę rudę, bo ci ją dał jakiś pieprznie ty milioner. Po cholere ci mieszkać w jakiejś wypindrzonej wiosce na North Shore, gdzie nikt cię nie zna i nigdy nie będzie chciał znać.

- To czyste uprzedzenia, Davey, poza tym zapracowałam na tę wozownię. Nikt mi jej nie „dał”. - Tyle tylko, że nie do końca odpracowała darowiznę, chociaż w dokumentach nie było słowa na ten temat. Z formalnego punktu widzenia wozownia była jej. Musiała tylko zapłacić podatek.

- Wiesz, że mówię prawdę. - Davey stanął obok niej, zawsze ten sam potężny Davey, którego znała od kołyski. Jej ojciec chrzestny. - Zapomniałaś, kimś jesteś i skąd się wywodzisz.

- Davey, siedzę tutaj i jem chowder w pubie mojego ojca. O niczym nie zapomniałam.

Prychnął, ale pocałował ją w policzek, łaskocząc przy tym wąsami.

- Dziecinko, jak będziesz potrzebowała hydraulika w tej swojej stodole, to do mnie zadzwoń. Zobaczę, co da się zrobić. Jeśli się okaże, że sprawa jest beznadziejna, przywiozę zapalki, a ty odbierzesz sobie ubezpieczenie.

Tessa powściągnęła uśmiech.

- Jesteś niemożliwy, Davey.

- I kto to mówi?

Chłopacy przy stoliku obok zaczęli pokpiwać z jego łąsinki. Pokazał im środkowy palec i wyszedł.

- Masz trzydzieści cztery lata, Tesso. - Jim westchnął, jakby zaskoczyły go własne słowa. - Nie mogę ci mówić, co masz robić.

- Nie to mnie martwiło. Bałam się, żebyś nie próbował mi mówić, czego mam nie robić, zanim sama będę wiedziała, czy tego chcę.

- Kiedyś tak zrobiłem?

- Mogłeś dzisiaj.

- Chcesz zatrzymać ten dom?

- Myślę o tym poważnie, tato.

- To zatrzymaj. Zjesz kawałek ciasta?

- A jakie masz?

- Beżowe z kremem cytrynowym. Tessa uśmiechnęła się.

- Pycha.

Davey Ahearn siedział na stopniach swojego domu naprzeciwko pubu i palił papierosa, kiedy Tessa wychodziła z pubu. Podszedł do niej.

- Wracasz metrem? - Rzucił niedopałek na chodnik. - Odprowadzę cię.

Nie było sensu mówić, że sama dotrze do stacji. I tak by z nią poszedł.

- Dzięki.

Kiedy dochodzili do rogu, zerknął na nią spod oka.

- Nie powiedziałaś mu o duchu?

Tessa poprawiła paski przewieszzonego przez ramię plecaczka.

- Nie wierzę w duchy.

- Tesso.

- Nie, nie powiedziałam mu, w porządku? Na litość boską, jestem już dorosła. Nie muszę opowiadać ani ojcu, ani tobie, że kilka osób o wybujałej wyobraźni głądzi coś o duchu, który straszy w wozowni.

- Nie kilka osób. Piszą o tym w przewodnikach.

- A ty skąd o tym wiesz? Davey uśmiechnął się szeroko.

- Ja wiem wszystko.

- Jeśli będę chciała urządzić tam pensjonat, duch będzie dobrą reklamą.

- Nie ten.

Tessa nie odpowiedziała.

- Nic dziwnego, że twój ojciec nie może przez ciebie sypiać. Chciałby przyglądać się, jak jego wnuki grają w baseballa, a ma córkę, która uparła się mieszkać w stodole nawiedzonej przez mordercę.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować, Davey. Tylko na to czekasz.

Szli ruchliwą ulicą skąpaną w ostatnim świetle zmierzchu, a Tessa myślała, jak cicho i spokojnie musi być teraz w Beaconbythe-Sea.

Davey rozprostował plecy.

- Rób, jak uważasz, Tesso. Jesteś mądra. Sama się połapiesz, kiedy napytasz sobie biedy.

Uśmiechnęła się do niego.

- A ty i tata będziecie ze mną. Nie myśl, że o tym nie wiem.

- O nie. Ja nie będę po tobie sprzątał.

Tessa roześmiała się. Ani trochę nie wierzyła w słowa Daveya.

- Zaproszę cię tam któreś niedzieli, zgoda?

- Obwieszę się czosnkiem.

- Czosnek to na wampiry. Davey wzruszył ramionami.

- Niewielka różnica.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Susanna twierdziła uparcie, że nie ma pojęcia, w jaki sposób Davey Ahearn dowiedział się o wozowni.

- Jeśli chodzi o twoją osobę, Davey i twój ojciec przejawiają zdolności nadprzyrodzone. - Usadowiła się przed komputerem z kubkiem kawy w dłoni. Zaparzała ją zawsze sama. Kiedyś wyliczyła, ile oszczędzą, jeśli nie będą kupowały kawy w barach. - Nie wiem, czy chciałabym wiedzieć aż tyle o swoich dzieciach.

Tessa zaczęła wyjmować zawartość plecaczka na biurko.

- Tata i Davey nic o mnie nie wiedzą.

- Nic nie rozumieją, ale wiedzą wszystko. Susanna zaczęła wypytywać o szczegóły wizyty w Beaconbythe-Sea, począwszy od wyposażenia kuchni, a na plamie krwi kończąc.

- Brzmi jak całkiem zgrabny horror - na koniec podsumowała Susi.

- Ten dom ma duży potencjał.

- Tak mówimy w Teksasie, kiedy coś trzeba zburzyć i postawić w tym miejscu coś innego.

Tessa nigdy nie wiedziała, kiedy Susanna mówi serio, opowiadając o Teksasie. Czasami wydawało się, że traktuje Boston jak miejsce zesłania, kiedy indziej sprawiała wrażenie zadowolonej, że wyjechała z San Antonio.

- Moim sąsiadem jest Thorne - powiedziała Tessa.

- Jak Jedidiah Thome od plamy krwi na podłodze?

- Tak twierdzi.

- Jak wygląda?

Tessa pomyślała o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu.

- Jak dziewiętnastowieczny amator pojedynków.

- Przywiązany do swojej tradycji Jankes?

- Jeśli tak chcesz to ująć.

Susanna odchyliła się w fotelu i upiła łyk kawy.

- Będzie ci ciężko. Czynnosc za mieszkanie, za wynajem biura i jeszcze ta wozownia. Niech to, musisz poszukać dobrego księgowego...

- Mój obecny jest naprawdę dobry. Nie wiem, Susi, ale czuję, że ta wozownia powinna być moja. Może to właśnie Ike próbował mi powiedzieć.

- Wątpię. Myślę, że zdejmuję właśnie swoje bagaże z białego słonia.

Tessa miała spotkania od południa do trzeciej, co uwolniło ją, przynajmniej na jakiś czas, od sceptycyzmu Susanny. Zbiegła po schodach, unikając staroświeckiej windy, w której czuła się jak szczur w klatce. Susi uwielbiała stary dom, w którym mieściło się ich biuro, więc dlaczego tak nastawała na wozownię?

Tessa wybrała drogę przez Old Granary i na poły podświadomie zaczęła szukać na nagrobkach nazwiska Thorne. Jej przodkowie nie spoczywali na tym starym cmentarzu, bowiem Havilandowie wylądowali na brzegach Massachusetts dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, o tyle później niż Pielgrzymi.

Nagle serce zabiło jej żywiej. Thankful Thorne, urodzona 1733, zmarła 1754. Krótki żywot. Czy była krewną mężczyzny, którego Tessa wczoraj poznała, i jego sześćioletniej córki w koronie na głowie? A jak umarła żona Andrew Thorne'a? Z reakcji Dolly mogła wnosić, że stało się to już jakiś czas temu, ale reakcje sześćioletniej dziewczynki nie muszą być miarodajne. Pamiętała, że po śmierci swej matki długo nie rozumiała, że to, co się stało, jest nieodwracalne.

Wyszła z cmentarza na zatłoczone ulice. Korki, smród spalin, jedna wielka tortura. Dlaczego zatem koniecznie chce mieć stodołę o godzinę drogi od Bostonu i męczyć się dojazdami?

Pierwsze spotkanie udało się. Mili, zaangażowani w swoją pracę ludzie. Podobało się im to, co robiła Tessa i obiecali dużo zleceń. Za to następní klienci okazali się z piekła rodem. Nic im

się nie podobało, nie wiedzieli, czego chcą, i rozmowa skończyła się niczym. Nie przejęła się tym specjalnie. Nie wszystkim musiał podobać się jej styl, a na niefachowe i ordynarne opinie o swej pracy była impregnowana.

* Pielgrzymi - Ojcowie Pielgrzymi (ang. Pilgrim Fathers), purytanie, którzy uciekając z Anglii przed prześladowaniami, w liczbie stu dwóch pod wodzą Johna Bradforda wyruszyli z Plymouth na statku „Mayflower” i w listopadzie 1620 roku dotarli na wybrzeże obecnego stanu Massachusetts, gdzie założyli pierwszą w Nowej Anglii, a drugą w Ameryce Płn. kolonię nazwaną Plymouth. Ich potomkowie stanowią snobistyczną elitę amerykańską (przyp. red.)

Po powrocie do biura zastała Susannę jak zwykle przy komputerze.

- Mam pomysł - oznajmiła Tessa. - Spędzę weekend w wozowni. Wezmę śpiwór, trochę jedzenia. Tylko tak przekonam się, czego naprawdę chcę, sprzedać czy zatrzymać wozownię.

Susanna kilka razy uderzyła w klawisze i skrzywiła się, jakby nie mogła oderwać się od pracy. Była planistą finansowym, ale też „inwestorem”, co mogło oznaczać wiele lub nic. Odgarnęła włosy.

- Weź ze sobą telefon komórkowy. Masz moje numery? Jeśli o północy spod podłogi wylezie duch, dzwoń na 911, a zaraz potem do mnie.

- Dzięki, Susi.

- Nie dziękuj. Jak tylko stąd wyjdiesz, wyszukam adresy wszystkich szpitali psychiatrycznych na North Shore. Znajdę ci jakiś przytulny.

Tessa puściła mimo uszu serdeczne zapewnienie.

- Zapowiadają wspaniałą pogodę na weekend. Zrzuciła plecak na ramię i wyszła, by wkrótce dotrzeć do swojego maleńkiego mieszkania na Beacon Hill. Wynajęła je osiem lat

temu mimo zdecydowanych obiekcji ojca i Daveya. Za te same pieniądze mogłaby wynająć znacznie większe w innej, skromniejszej dzielnicy. Davey pokpiwał, że chce udawać dziewczynę z bostońskiej elity. Nie wierzył, że Tessa po prostu uwielbia Beacon Hill, stare domy, stare latarnie, brukowane cegłą chodniki, przesyconą historią atmosferę uliczek wzgórza.

Szybko się spakowała, a do ojca zadzwoniła już z samochodu.

- Spędzę weekend na North Shore. Odezwę się do ciebie jutro.

- Jedziesz sama? - W głosie Jima słychać było dezaprobatę.

- A dlaczego by nie?

- Bo to czyste wariactwo, dlatego. Nie znoszę tego Dce'a Granthama. A propos, gdzie on się podziewa przez tyle miesięcy? - Ojciec zaczerpnął powietrza. - Pewnie nie masz pojęcia? - Ojciec wyraźnie coś sugerował.

- Dce jest tylko moim klientem. Nic więcej. Nie musi mnie informować o swoich planach.

- Nie podoba mi się to wszystko - stwierdził Jim Haviland.

- Nie musi. Kocham cię, tato. Pozdrów Daweya. Miłego weekendu.

- Byłby miłszy, gdybym mógł zobaczyć, jak moje wnuki grają w basebada - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Tessa coś mruknęła. Ojciec nigdy nie odpuści. Jego wyobrażenia o roli mężczyzny, kobiety, małżeństwie i rodzinie były tyleż staroświeckie, co niereformowalne. Zastanawiała się, czy gdyby matka żyła albo gdyby ożenił się ponownie, nadal byłby tak uparty i nieznośny?

Prawdopodobnie, przesądziła i Storrow Drive skierowała się na północ.

- Wygląda na to, że ta Haviland zjechała na weekend - powiedział Harl. - Widziałem, jak wnosi do wozowni kosz z jedzeniem i śpiwór.

- A ty co, szpiegujesz? - skrzywił się Andrew. Harl zerwał zeschnięte liście z nędnego kwiatka na parapecie kuchennym.

- Szukałem tego przeklętego kota.

- Przedstawiłeś się?

- Nie. Nie zobaczyła mnie.

Andrew uśmiechnął się i usiadł przy stole. Harl z własnej woli nie zagadnąłby do nikogo.

Tego wieczoru jadł kolację z Andrew i Dolly i uparł się, że pozmywa naczynia. Dolly siedziała w bawialni przed telewizorem, oplakując kotkę, która, jak przypuszczał Andrew, nie zamierzała wrócić.

- Miałaś szczęście, że nie wypatrzyła cię w krzakach i nie wezwała policji.

Harl chrząknął.

- I mądrze by zrobiła. Kobieta, która spędza weekend w nawiedzanej wozowni na pustkowiu...

- Do wioski zaledwie półtora kilometra.

- Aż półtora kilometra.

- Przecież my tu mieszkamy. Nie jest to żadne odludzie, jakaś dzika kraina.

- Ale nasz prapradziadek nie uśmiercił nikogo w naszej bawialni. - Harl pokręcił energicznie głową. - Coś dziwnego weszę. Dowiedziałeś się, jakim sposobem tu wylądowała?

- Nie. Nie pytałem.

- To popytaj.

Harl poszedł do swojej pracowni, a Andrew położył Dolly do łóżka. Przed snem przeczytał jej „Hobbita”, ale dziewczynkę obchodziła wyłącznie kotka.

- Może Łatka ruszyła na poszukiwanie przygód, jak Bilbo - powiedział Andrew.

Dolly pokręciła głową, a w wielkich oczach pojawiły się łzy. Przygarnęła do siebie trzy pluszowe koty z wielkiej kolekcji, która zapełniała całe łóżko, niewiele pozostawiając miejsca dla Andrew.

- Ona nie żyje, tatusiu. Wiem, że nie żyje. Andrew wciągnął głęboko powietrze. Sześciolatki nie powinny wiedzieć zbyt wiele o śmierci.

- Łatka na pewno sobie poradzi. To dzielna kotka. Zaufaj jej. Kotki często chowają się, kiedy mają mieć dzieci.

- Nie Łatka.

- Ona też.

- Harl powiedział, że moglibyśmy napisać ogłoszenie. Ja narysuję Łatkę i jak ktoś by ją zobaczył, to by zadzwonił i byśmy po nią pojechali. - Pociągnęła nosem. - Myślisz, że moglibyśmy, tato?

Jak na kogoś, kto nienawidzi kotów, Harl okazał wiele inicjatywy.

- Oczywiście, Dolly. Rano rozwiesimy ogłoszenia. Pokiwała energicznie głową i natychmiast poprawił się jej nastrój. Miała plan. Zaraz jednak powiedziała z urazą:

- Jak Łatka śmiała uciec? Jestem królową. Powinna mnie słuchać.

- Koty nie słuchają nikogo, bo taka już ich kocia natura.

Wtuliła głowę w poduszkę, przytuliła do policzka białoczarnego pluszowego kota, a na rzęsach znowu zalśniły łzy.

- Poczytaj mi jeszcze trochę.

Andrew czytał „Hobbita”, dopóki nie zasnęła, po czym zamknął wielki, ciężki tom. Nie miał pojęcia, ile Dolly rozumie z opowieści Tolkiena, ale lubił jej czytać, w przeciwieństwie do Harla, który nie znosił tego zajęcia. Siedział teraz w swojej pracowni i odnawiał jakiś stary mebel. Czasami pracował do świtu.

Ciekawe, co porabia Tessa Haviland, pomyślał Andrew. W wozowni nie było mebli, od dawna nikt nie sprawdzał instalacji elektrycznej. Czy była jedną z kobiet Dce'a? Andrew przez cały dzień był zbyt zajęty, żeby popytać w wiosce. Zresztą jeśli ktoś coś wiedział, była to Lauren Montague, ostatnia osoba, którą Andrew chciałby pytać o cokolwiek. Lauren uważała, że jej brat był winien śmierci Joanny, chociaż Andrew wielokrotnie tłumaczył jej, że o żadnej winie nie ma mowy. Owszem, Dce ją

zachęcał, ale Joanna chciała wejść na McKinley i uczyniła to z własnej woli.

Zszedł na dół, zbierając po drodze buty Dolly i porzuconą zabawkę. Nigdy nie był mistrzem porządków. Usiadł w bawialni w fotelu i zaczął oglądać mecz piłki nożnej. Wiatr od morza uderzał w wysokie stare okna. Pierwsza noc Tessy Haviland na cyplu nie będzie najmiłsza, pomyślał z rozbawieniem.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Okolo dziesiątej Tessa była gotowa zrezygnować i wrócić do miasta, ale po sandwiczu z brie i ogórkiem, dwóch kieliszkach wina i kilku biskwitach czuła się zbyt śpiąca, żeby usiąść za kierownicą. . Korciło ją, żeby wynająć pokój w hotelu.

Wiatr zawodził, gwizdał, hurkotał drzwiami, uderzał w szyby, a awokadowa lodówka wydawała dziwne odgłosy. Świat spowijały ciemności, a ona przywykła do światła latarni.

Brakowało tylko nietoperzy.

Albo ducha.

- Przestań - powiedziała do siebie i głos odbił się echem w dużym, pustym pokoju. Siedziała po turecku na śpiworze. Obóz rozbiła przy drzwiach do kuchni, w pobliżu łazienki i bocznego wejścia, zabezpieczając sobie w ten sposób szybką drogę ewakuacji w kierunku samochodu.

Zaopatrzyła się w latarkę, którą Davey podarował jej na któreś urodziny, karimatę i symulator dźwięków z różnymi odgłosami: oceanu, delfinów, wielorybów, deszczu tropikalnego, górskiego strumienia. Nawet nie próbowała go włączyć, bo wiatr zagłuszyłby wszystko.

Zmieniła pozycję i po ścianach przesunęły się dramatyczne cienie. Nie przywykła do pustych, dużych przestrzeni. Poczowała się jak w podziemnej grocie.

Chciała zostawić włączone światło w kuchni, ale migotało, a kuchenka i lodówka rzucały upiorną zielonkawą poświatę. Myślała, że zaparzy sobie herbatę rumiankową i poczyta przed snem, a kiedy oczy zaczną się zamykać, zanurkuje do śpiwora i jakoś przetrwa do rana.

Czuła coraz większą urazę do Dce'a, który śmiał uznać to miejsce za odpowiednie dla niej. Susanna miała rację. Podobnie ojciec i Davey. De mogłaby dostać za wozownię?

Usłyszała jakiś dźwięk, blisko, tuż-tuż. Odstawiła kubek z herbatą na podłogę i cała zamieniła się w słuch. Co teraz?

„W stodołach są węże...”.

To pewnie wiewiórka albo skunks buszujący w bzach. Zerwała duży bukiet i umieściła go w kamionkowym wazonie, który znalazła w szafce. Czuła się lekko, beztrosko. Właścicielka Dca malowniczej wozowni. Ale to było przed zachodem słońca.

W porządku. Nie jest w mieście i nie zna odgłosów natury. Za szkolnych czasów nie jeździła na letnie obozy pod namiotem, co najwyżej w niedzielę do Fenway Park albo na wciąż zatłoczoną plażę, tę po drugiej stronie drogi. Tak w rozumieniu ojca wyglądały wyprawy na łono natury.

Znowu. Tessa wypuściła powietrze. Rozpoznała tajemniczy dźwięk. Miauczenie. Dochodziło z piwnicy.

Kotka Dolly Thorne. To musiała być Łatka.

Tessa początkowo zamierzała zignorować miauczenia, ale rozległo się znowu, przeciągłe, płaczliwe. Biedny kot najwyraźniej potrzebował pomocy. A nawet jeśli nie, gotów przeszkadzać całą noc.

Jęknęła cicho, podniosła się z ociąganiem, ponownie włączyła światło w kuchni i podeszła do klapy prowadzącej do piwnicy.

- Kici?

Żadnego miauknięcia w odpowiedzi.

- Kici, kici. - Uklękła na podłodze koło klapy, ale nie miała najmniejszego zamiaru jej unosić i zaglądać w ziejącą ciemność.

- Łatka, jesteś tam?

Spod desek doszło dojmujące „jniauuu!!!”. Kot. Z całą pewnością. Żaden szanujący się jankeski duch nie pozwoliłby sobie na wydawanie podobnych odgłosów.

Tessa zaklęła cicho. Nie miała wyboru. Mogła zostawić Łatkę samej sobie, ale jeśli zwierzę naprawdę potrzebuje pomocy? Jak wytłumaczyć się z martwego kota królowi Dolly?

Jakim trzeba być tchórzem, żeby pozwolić tkwić kotu w mrocznej, wilgotnej piwnicy?

Tessa usiadła na polowym pościaniu, wzięła buty, wzięła latarkę i ruszyła do drzwi. O podnoszeniu klapy nie było mowy. Gdyby spadła z drabiny, gdyby załamał się pod nią któryś szczebel, umarłaby na dole pochwycona w potrzask niby szczur.

Na myśl o nagłej i niespodziewanej śmierci przezornie zabrała jeszcze telefon komórkowy.

Nadal dął wiatr, niebo zasnuwały czarne chmury, przez które nie przebijał się choćby najśłabszy promień księżyca. Tessa próbowała nie myśleć o pogodzie ani o zwierzętach wychodzących nocą na żer. O dziesiątej wieczorem w mieście po ulicach chodzą ludzie. Tutaj absolutnie nie było wiadomo, czego się spodziewać.

Rozważała, czy ma dzwonić na policję, czy iść do domu Andrew Thorne'a. Nie. Jeśli w piwnicy nie znajdą ciężarnej kotki Dolly, zrobi z siebie idiotkę.

- Niech to będzie Łatka - mruknęła, wołąc nie rozważać innych możliwości.

Zapaliła latarkę i snop światła padł na żwirową ścieżkę. Słodki zapach bzów dodał Tessie otuchy.

Dasz sobie radę.

Zeszła ze ścieżki na trawę, w której mogły kryć się węże Daveya, i podeszła do pomalowanych na szaro drzwiczek prowadzących do piwnicy od strony podwórka. Kot musiał dostać się tędy, bo obok, tuż nad ziemią, zobaczyła okienko z brakującą szybą.

Odsunęła zasuwkę, z trudem otworzyła dawno nie otwierane drzwiczki i oświetliła betonowe schodki wiodące w dół.

Pajęczyny. Ścisnął się jej żołądek. Nie, nie boi się pajaków, ale czy każdy krok podczas tej wyprawy musi nastęrczać tyle trudności?

Przemknęło jej przez myśl, co też by zrobiła, gdyby nie wiedziała, że sześciolatnia Dolly poszukuje swojej ciężarnej kotki. Prawdopodobnie pojechałaby do hotelu albo wróciła

prosto na Beacon Hill pomimo wypitych dwóch kieliszków wina.

Mocno dzierżąc latarkę w dłoni, zaczęła schodzić po stromych stopniach. Na dole stanęła przed metalowymi drzwiami. Najpierw oświetliła samą siebie, by upewnić się, że nie zabrała po drodze żadnego pająka ani innego paskudztwa, po czym pchnęła drzwi i znalazła się w niewielkim pomieszczeniu. Normalne ściany, betonowa podłoga, półki, drewniane skrzynki, pralka i suszarka. To dało się wytrzymać. Ale kto by tu prał? Schodzić z koszem pełnym brudów po stromych betonowych stopniach z przybudówki od podwórza czy po drabinie z kuchni? Nie brała żadnej z tych możliwości pod uwagę.

Koło drzwi dojrzała przełącznik światła. Przekręciła go i pod sufitem zapaliły się trzy jarzeniówki. Wnętrze było czyste, ale pełne kurzu i wilgotne.

Tessa odchrząknęła.

- Kici? Gdzie jesteś, kotku?

Nic.

- Łatka?

Smutne „miau” odpowiedziało jej z głębi piwnicy.

Tessa podeszła do drzwi prowadzących do kolejnego pomieszczenia, stanowiącego, jak się okazało, składowisko rozmaitych śmieci i płataninę rur.

- Niech cię, kocie. Chcesz tutaj zostać? Zrobiła kilka kroków, cały czas przyświecając sobie latarką. Nie było tu już tynkowanych ścian, tylko kamienne fundamenty, a zamiast betonowej podłogi goła, śliska ziemia. Jeszcze kilka kroków i dojrzała nad głową zarys klapy prowadzącej do piwnicy z wnętrza domu, światło w kuchni sączące się przez szczeliny między deskami i drabinę zawieszoną pod sufitem pomieszczenia.

I naga, zakurzona żarówkę w oprawie ze sznurkiem. Pociągnęła za sznurek, zrywając przy okazji gęstą pajęczynę, i żarówka zajarzyła się słabym, żółtawym światłem.

Płatanina rur, przewodów, piec, pompa, sterta połamanych mebli, jakieś wiadra, stare miotły. Paskudnie. Kot znowu miauknął.

- Obyś okazał się kotem. - Tessa dotknęła telefonu na biodrze dla dodania sobie pewności. - Zdecyduj się wreszcie, Łatka, i pokaż się. Pora iść spać.

Miała trzy wyjścia. Albo pomknąć do śpiwora i spróbować zasnąć, włączając przedtem symulator, albo zwrócić się po pomoc do sąsiadów, albo dalej szukać kota.

Przynajmniej nie musiała obawiać się spotkania z Jedidiahem Thorne'em. Gdyby sama była duchem, wybrałaby sobie przyjemniejsze pomieszkowanie niż to.

Uderzyła się w gołeń o zardzewiałe wiadro.

- Auuu! Cholera.

Natychmiast się opanowała i zmieniła ton, nie chciała przecież wystraszyć kota.

- Chodź tu, kiciuniu - odezwała się przymilnie. Czuła się idiotycznie. Nigdy nie miała kota, ale jeden z jej byłych chłopaków tak właśnie przemawiał do swojej syjamki, więc musiał być to jakiś sposób.

- Masz już małe? Nie mogłaś znaleźć sobie przyjemniejszego miejsca? Przecież to loch, Łatka. Jak Boga kocham.

Miała wrażenie, że kurz i wilgoć przenikają do oczu, do nosa, do gardła. Przemagając wstręt, przeszła dalej, gdzie prawie nie docierało mdłe światło żarówki.

- Niech cię diabli, Łatka. Zostaniesz tutaj. - Zgasiła żarówkę. Postanowiła wrócić do domu.

W odpowiedzi kotka miauknęła żałośnie. Tessa postanowiła spróbować jeszcze raz. Zwierzak musiał być gdzieś tuż obok. Z westchnieniem skierowała światło latarki w kąt piwnicy, gdzie piętrzyła się sterta starych mebli: jakieś krzesła, stół kuchenny z blaszanym blatem, dwie szafki nocne, zdezelowane łoże, same graty niewarte uwagi. Może z wyjątkiem metalowej ramy łóżka,

która do czegoś jeszcze by się nadawała, gdyby Tessa zdecydowała się zatrzymać wozownię i zaczęła ją urządzać.

W świetle latarki zabłyśły złociste ślepia.

- Tu jesteś.

Kotka była na tyle daleko, między starymi chodnikami, że Tessa nie potrafiła powiedzieć, czy już się okociła. Przechyliła się ostrożnie nad szafką nocną, by coś dojrzeć, uważając, by światłem latarki nie wystraszyć zwierzaka.

Raptem szafka się przewróciła, Tessa straciła równowagę i wypuściła z ręki latarkę, która wylądowała na podłodze. Jej właścicielka uderzyła o ramę łóżka i podzieliła ten sam los, padając jak długa na plecy.

- Niech to cholera!

Do tego bolesna cholera, bo Tessa walnęła biodrem w ramę. Złorzeczając, na czworakach dosięgnęła latarki. Próbowała nie myśleć, na czym klęczy. Na pajęczynach czy zwierzęcych odchodach?

Przemagając ból w biodrze, wstała i skierowała snop światła na powrót w ten sam punkt.

Kotka zniknęła. Zamieszanie musiało ją wystraszyć.

Tessa miała już dość.

- No, mała, dla mnie to też nie była przyjemność. - Dotknęła biodra. Chyba nie rozcięła skóry, najwyżej zostanie siniak. Ból powoli ustępował. - Łatka?

Nie miała telefonu. Zgubiła go przy upadku. Zaczęła powoli wodzić latarką w poszukiwaniu kota i komórki.

Dostrzegła telefon pod ramą łóżka. Kot natomiast przepadł.

Nie zamierzała go szukać bez komórki. Uniosła ramę i nachyliła się.

- Tylko nie próbuj myśleć - mruknęła.

Coś dojrzała. Nie była pewna, co to było. Zareagowała instynktownie, bez udziału rozumu. Poczowała uderzenie adrenaliny i gwałtowne napięcie mięśni. Każdy nerw, każde włókienko ciała popędzały ją do ucieczki.

Kości.

Wreszcie do mózgu dotarło to, co zobaczyły oczy. Kości.

Żadne tam szurze kości. Ludzkie.

Nie, to niemożliwe. Upadła i teraz ma zwidy.

Jeszcze raz przyświeciła latarką.

Chryste!

Ludzki szkielet. Czaszka pod samą ramą. Podczas upadku Tessa musiała naruszyć płytki grób.

Nie, to nie może być prawdziwy szkielet. W wozowni musiał mieszkać szalony doktor albo naukowiec, szurnięty amator makabrycznych zabaw.

Czaszka wyglądała zbyt autentycznie.

- Biedny Joriku . - Jej szept zabrzmiał dziwnym skrzekiem. Nie mogła oddychać, zrobiło się jej niedobrze. - Cholera, cholera.

** Tessa parodiuje scenę z „Hamleta” Williama Szekspira, w której Hamlet na cmentarzu wygłasza słynną, zabarwioną czarną ironią, apostrofę do czaszki królewskiego błazna: „Ach, biedny Jorik!” (przyp. red.)*

Serce biło jej jak oszalałe. Zrobiła krok do tyłu, jeszcze jeden, po czym odwróciła się i runęła do panicznej ucieczki.

Dopiero kiedy dobiegła do pralni, krzyknęła. Bez opamiętania, bez zahamowań, jakby chciała się oczyścić, wyrzucić z siebie to, co zobaczyła. Po chwili zamilkła.

- Do diabła.

Trzęsąc się, zgasiła światło i zaczęła wspinać się po betonowych stopniach. Ledwie mogła utrzymać latarkę w dłoni.

Niech to szlag.

Kotka z kociećtami. Pajęczyny. Mroczna, zateęchlą, stara piwnica. I szkielet.

- Mój Boże.

Wydostała się na zewnątrz, zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła zasuwkę tak pospiesznie, jakby szkielet ją gonił.

Wciągnęła głęboko powietrze przesycone smakiem morskiej soli i zapachem bzów.

- Dce, Chryste, co to, do diabła, było?

Nie miała pojęcia, co robić. Zawiadomić policję? Dzwonić do ojca? Do Daveya? Co wiedziała o policjantach z Beaconbythe-Sea? Była sama, w obcym miasteczku, w środku nocy. Susanna przyjechałaby natychmiast. Jej eksmaż był teksańskim rangerem, oboje rodzice pracowali w aparacie ścigania.

Nie. Tessa pokręciła głową. Oddychała teraz wolniej i głębiej. Musiało się jej przywidzieć. Wzięła coś, czego nie rozpoznała, za czaszkę. Wozownia przez pięć lat była w rękach fundacji, zanim Ike przepisał ją na nią. Ktoś zauważyłby przecież szkielet w piwnicy.

Może to szkielet psa lub szopa. Nie człowieka.

Ike.

Nic nie rozumiała. Jej umysł odmawiał posłuszeństwa. Nie była w stanie formułować myśli. To stary dom. Cokolwiek znajdowało się w piwnicy, mogło znajdować się w niej od stu albo i więcej lat.

Może to żart Ike'a. Przejaw swoistego, zwyrodniałego poczucia humoru.

Próbowała się opanować i skupić na czymś innym. Choćby na kocie i na tym, czy sąsiedzi usłyszeli jej przeraźliwy krzyk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Harl pojawił się w drzwiach kuchennych z kijem baseballowym. Było dobrze po dziesiątej.

- Słyszałeś? Andrew skinął głową.

- To nie wiatr.

- Nie. - Harl obracał kij w dłoniach. - Potrafię rozpoznać krzyk. Chcesz zadzwonić na policję?

Andrew pomyślał o tym w pierwszym odruchu, ale szybko zmienił zdanie.

- Co im powiemy? Zajrzę do niej. Ty zostań tutaj z Dolly. Już śpi.

- Uważaj.

- Nasza nowa sąsiadka pewnie potknęła się po ciemku. Zobaczę, co się tam dzieje.

Andrew wyszedł z latarką na ganek. Zastanawiał się, czy nie wziąć ze sobą broni, ale zrezygnował z tego pomysłu, choć krzyk sugerował, że w wozowni dokonana się krwawa zbrodnia.

- Będę tu czekał na ciebie - obiecał Harl i uniósł kij. - W razie czego wołaj, przybiegnę.

- Pod żadnym pozorem nie waż się zostawiać Dolly samej.

Harl skinął głową.

- Dobra.

Andrew bez zapalania latarki dotarł do bzów. Dolly była na tyle drobna, że bez trudu przechodziła między krzewami, on musiał iść naokoło, wzdłuż żywopłotu, aż do podjazdu przed wozownią.

Usłyszał głośny oddech, jakby ktoś resztkami sił łapczywie chwycił powietrze w płuca.

- Tessa? - Oświetlił stopnie przed wejściem kuchennym, po czym skierował latarkę ku bzom. — Jesteś tam?

Wreszcie odnalazł ją snopem światła. Stała w wysokiej trawie po drugiej stronie podjazdu. Oślepiona zamrugła i Andrew szybko opuścił latarkę.

- To ty - zaczęła, dygocąc i zacinając się. - Dzięki Bogu. Myślałam, że ktoś obcy się tu kręci. Słyszałeś mój krzyk?

Andrew skinął głową.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko w porządku.

Podeszła chwiejnie do stopni przed wejściem i ciężko usiadła, kładąc dłoń na piersi, jakby chciała uspokoić rozszalałe serce. Drugą dłonią machinalnie przeczesła włosy. Nie patrzyła na niego. W ogóle nic w tej chwili nie widziała.

Andrew zgasił latarkę. Padające przez otwarte kuchenne drzwi światło w zupełności wystarczało.

- Co się stało?

- Przestraszyłam się i zaczęłam krzyczeć. Prawdę mówiąc, wrzeszczałam jak opętana. - Uśmiechnęła się słabo. - Znalazłam waszego kota.

- Znalazłaś Łatkę? - Zrobił kilka kroków w jej stronę. Widział doskonale, że nadal jest przerażona. - Dolly się ucieszy.

Tessa pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że moje wrzaski jej nie obudziły. Dopiero teraz dojrzał, jak bardzo jest blada. Biała jak kreda. Miała zadrapanie na nadgarstku, rozorany policzek, pajęczyny we włosach i na bluzie. Podszedł i uniósł lekko jej brodę.

- To kot cię tak urządził? Pokręciła głową.

- Nie, nie - powiedziała schrypniętym głosem. Cokolwiek się wydarzyło, ta kobieta była nadal w szoku. Cała drżała i szczękała zębami. Zdawało się, że lada chwila wyskoczy ze skóry. - Upadłam. Idiotyczna historia. Usłyszałam kota w piwnicy i poszłam go szukać.

- W nocy? Jesteś odważniejsza niż ja. Pozwoliłbym Łatce czekać do rana.

- Pomyślałam, że już się okociła. Słyszałam ją przez podłogę. Okropnie miauczała. - Tessa ponownie przeczesła włosy. Długie, delikatne palce. Palce artystki, pomyślał Andrew bezwiednie. - To stary dom. Wszystko w nim słychać.

- Rozumiem.

Podniosła wzrok i po raz pierwszy spojrzała na niego. Uśmiechnęła się, ciągle jeszcze niepewnie, ale szczerze. Robiła wrażenie odrobinę spokojniejszej.

- Znam historię wozowni, ale nie dałam się zastraszyć. Kiedy usłyszałam miauczenie, poszłam do piwnicy. - Wskazała w kierunku zewnętrznego zejścia, jakby chciała przypomnieć sobie własne postępowanie i poukładać w głowie to, co robiła. - Uznałam, że schodzenie po drabinie może być zbyt niebezpieczne.

- Też nie ryzykowałbym tego. - Andrew usiadł koło Tessy. - Ale zejście z przybudówki też nie wygląda bezpiecznie.

Grymas na twarzy Tessy w zamierzeniu miał być uśmiechem.

- Zdążyłam się przekonać. Łatka ulokowała się gdzieś pod kuchnią, w głębi piwnicy, w tym pomieszczeniu bez podłogi. Potknęłam się o jakiś rupieć i upadłam.

- I wtedy zaczęłaś tak krzyczeć?

Odwróciła wzrok, zamrugowała kilka razy, jakby zobaczyła tamtą scenę, i uśmiechnęła się.

- Tak. Pomyślałam o węzach. Idiotyzm.

Nie taki znowu idiotyzm, kiedy człowiek znajdzie się nocą w starej, zatęchłej piwnicy. Andrew uznał jednak, że Tessa nie oczekuje po nim, by potwierdzał jej najgorsze podejrzenia.

- Nie zrobiłaś sobie krzywdy?

- Nie, ale wystraszyłam waszego kota. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

- Nie okociła się jeszcze? Tessa pokręciła głową.

- Nie. Chyba nie. Postąpiłam głupio. Następnym razem dam jej spokój.

- Łatka jest twarda. Poradzi sobie.

- Mam nadzieję.

Wstała. Była już spokojniejsza, ale ciągle blada jak płótno. Andrew podszedł za nią do drzwi. Przy samym wejściu skrzywiła się i chwyciła go za ramię.

- Przepraszam. - Trzymała go mocno, więc Andrew stał bez ruchu. Czekał, aż odzyska równowagę. - Stłukłam sobie biodro.

- Może powinnaś pójść do nas. - Andrew mówił spokojnie, nie chciał niczego dyktować. Tessa Haviland wyglądała na osobę, której lepiej nie narzucać się z pomocą. - Zrobię ci herbaty, a ty upewnisz się, czy nie masz innych stłuczeń.

- Rąbnęłam jak długa, ale już wszystko dobrze. Zaparzę sobie rumianek. Do rana przejdzie. - Uśmiechnęła się znowu.

- Jak uważasz, ale nie byłbym sąsiadem, gdybym tak cię teraz zostawił. Wejść z tobą i przygotuję ci ten rumianek.

Puściła jego ramię i skinęła głową. Chyba była mu naprawdę wdzięczna za tę propozycję.

Kiedy weszli do kuchni, zobaczył, jak strasznie jest blada i wstrząśnięta. Musiało się jej przydarzyć coś więcej niż upadek w ciemnej piwnicy. Duch? Nie wyglądała na osobę, która uznałaby tajemnicze cienie za ducha, a teraz ze wstydu to przemilczała. Już raczej utrzymywałyby, że widziała najprawdziwszego upióra.

Wyjęła telefon z kieszeni dresu, drżącą dłonią położyła na blacie kuchennym i przeszła do łazienki, zostawiając otwarte drzwi, tak że Andrew mógł słyszeć szum wody i ciche przekleństwa. Ta kobieta miała ikrę. Niech to diabli, za nic nie zszedłby po nocy do piwnicy szukać kota.

Napełnił biwakowy saganek wodą i postawił na kuchence.

- Pozwolisz, że skorzystam z twojego telefonu? Muszę zadzwonić do Harla i powiedzieć mu, co się dzieje, zanim wezwie posiłki.

- Oczywiście. Bardzo proszę.

Tessa wyszła z łazienki umyta, z wilgotnymi włosami. Nie była już taka blada, oczy nabrały blasku.

- Myśląc o posiadaniu dziewiętnastowiecznej wozowni, nie uwzględniłaś chyba zmywania pajączyn z twarzy?

- Nie myślałam o posiadaniu dziewiętnastowiecznej wozowni. Dce'owi wydawało się, że wyświadcza mi przysługę. Proszę, dzwoni do Harla.

Andrew na moment zapomniał o kuzynie.

- Dce'owi? Tessa westchnęła.

- Myślałam, że wiesz. Mieszkasz w końcu obok. Zrobiłam kilka projektów dla fundacji Ratujmy Zabytki Beaconu. Zlecenia dostałam od Dce'a. Jestem grafikiem, pracuję w Bostonie. Zamiast mi zapłacić w dolarach, przepisał na mnie wozownię. Może to był tylko kaprys, nie wiem. Wkrótce potem zniknął i więcej się do mnie nie odezwał. - Ciężko oparła się o blat. - Zadzwoń do Harla, będzie się martwił.

- Wszystko w porządku? - natychmiast rzucił w słuchawkę Harl.

- Tak. Chciała złapać Łatkę i przewróciła się w piwnicy.

- Przeklęty kot. - Na tym Harl skończył rozmowę.

- Krótka gadka - zauważyła Tessa.

- Harl nienawidzi telefonów.

Woda się zagotowała. Andrew nalał wrzątku do kubka, wrzucił pachnącą torebkę i podał napar Tessie.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. - Uśmiechnęła się znad kubka.

Andrew omiół spojrzeniem biwak, który rozbiła. Rzeczywiście miała tu polowe warunki i bukiet w kamionkowym wazonie nie poprawiał sprawy.

- Mam kilka pustych pokoi w domu. Jesteś poobijana. Po co masz spać tutaj, na zimnej podłodze?

- Dzięki, jakoś sobie poradzę. Prawdę powiedziawszy, jeszcze nie zdecydowałam, czy zatrzymam wozownię, dlatego chcę tu spędzić weekend. Wtedy łatwiej podejmę decyzję.

- Co nie znaczy, że musisz uganiać się za naszym kotem. Przepraszam cię za Łatkę. Przygarnęliśmy ją niedawno, jest trochę dzika. Jeśli wróci dzisiaj do domu, spróbuję ją zamknąć.

Tessa usiłowała zażartować:

- Nic się nie stało. W Bostonie mieszkam w suterenie. Nie masz pojęcia, co paraduje pod moimi oknami.

Upiła łyk. Wyglądała na spokojniejszą i śmiertelnie zmęczoną.

Andrew doszedł do wniosku, że nic tu po nim.

- Dokończ swoją herbatę. - Nachylił się na śpiworem i podniósł książkę, którą czytała. Zauważył pióro i symulator dźwięków. Uśmiechnął się. Być może Tessa Haviland bardziej bała się duchów, niż chciałaby przyznać. - Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, koniecznie zadzwoń.

Zapisał swój numer, po czym odłożył książkę i pióro na podłogę. Tessa nadal stała oparta o blat.

- Dzięki. - Upiła kolejny łyk. Andrew zauważył, że już się nie trzęsie. - Jeśli zatrzymam ten dom, będę miała pełne ręce roboty. Piwnica bez podłogi, myszy, pająki. Bóg jeden wie, co jeszcze.

Andrew uśmiechnął się.

- Powiedziałyby, że myszy i pająki to najmniejszy problem. W każdym razie podtrzymuję propozycję, masz u mnie pokój gościnny.

- Ona kłamie.

Harl otworzył dwa piwa. Siedzieli przy stole kuchennym. Zaraz po powrocie z wozowni Andrew sprawdził, czy Dolly nie zakopała się pod kołdrą, jak często robiła w czasie burzy, ale nie, spała smacznie. Harl bez słowa wysłuchał relacji, jak Tessa znalazła kota w piwnicy. Wiadomo było, jak to skomentuje. Harl nie wierzył nikomu.

- Skąd wiesz, że kłamie?

- To nie był krzyk osoby, która rąbnęła tyłkiem o podłogę. To był wrzask kogoś śmiertelnie wystraszonego. Potrafię odróżnić jedno od drugiego.

- Mówiła, że boi się węży.

Harl pokiwał głową z politowaniem.

- To nie to.

- W takim razie co?

Harl upił solidny łyk drogiego piwa warzonego w lokalnym browarze. Nie pił go nigdy, chyba że korzystał z zapasów Andrew. Postawił butelkę na stole.

- Duchy.

- Mogła sobie wyobrazić...

- Nic sobie nie wyobraziła. Widziała.

- Daj spokój. - Andrew chciał zbyć słowa kuzyna, ale Harl mówił zupełnie poważnie. - Nie wierzysz przecież w duchy. Ja też nie.

- Co nie znaczy, że Haviland nie widziała ducha.

- Więc jednak coś się jej przywidziało.

- Nie.

Andrew nie nadążał za kuzynem.

- Naprawdę myślisz, że zobaczyła w piwnicy prawdziwego ducha?

Harl wzruszył ramionami.

- Dlaczego by nie?

Andrew przypomniał sobie bladą twarz Tessy, nieobecne spojrzenie, drżenie całego ciała. Sama przypominała upiora. No cóż, wybrała się nocą do zamkniętej od lat piwnicy i wyobraźnia ją poniosła. Wiedział jednak, że nie ma sensu sprzeczać się z Harlem.

- Jest coś jeszcze, co dotyczy wozowni. - Andrew powtórzył, co Tessa powiedziała mu o swojej znajomości z Ikiem Granthamem.

- Cholera - mruknął Harl. - To jakiś absurd.

- Dce jest ekscentryczny i impulsywny, ale ot tak oddać wozownię... - Andrew pokręcił głową. - Tessa pracowała dla niego. To musiało być coś ważnego, skoro przepisał prawo własności.

- Była jego dziewczyną?

- Nie pytałem.

- Dce nie zszedłby do piwnicy szukać Łatki, to pewne. Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, gdzie ten sukinsyn się

podziewa. - Harl był bardziej skory oskarżać Dce'a o śmierć Joanny niż Andrew. Uważał, że Grantham gra na psychice kobiet i bawi się ich problemami dla zaspokojenia własnego ego.

- Robi się późno - stwierdził Andrew. Harl nawet nie drgnął. Upił łyk piwa.

- Nie zastanowiło cię, dlaczego Haviland nie powiedziała ci prawdy?

- Harl, gdybym ja zobaczył ducha, to niezależnie od tego, czy uznałbym to za psikus wyobraźni, czy za koszarne doświadczenie, też nikomu nic bym nie powiedział.

- Ach... - Harl rozsiadł się wygodnie. - Grzech przemilczenia to nie to samo co grzech kłamstwa.

Andrew westchnął. Harl po jednym piwie bez trudu przyprawił go o ból głowy.

- Nie nasza sprawa.

- Kłamała. Gdybyśmy nie słyszeli jej krzyku, albo gdybyś jutro spotkał ją przy żywopłocie, a ona nie zająknęłaby się słowem o nocnej przygodzie, byłby to grzech przemilczenia. Natomiast wmawianie, że krzyczała, bo boi się węży, to kłamstwo. Najzwyczajniejsze w świecie kłamstwo.

- Wiesz co, Harl? Wszystko mi jedno. Jeśli widziała ducha, niech jej będzie. Mnie nic do tego.

- A jeśli to był duch Jedidiaha?

- A co mnie obchodzi Jedidiah? Albo ciebie? - Andrew przepłukał butelkę po piwie wodą z kranu. - Ja chcę tylko znaleźć Łatkę ze względu na Dolly. Reszta naprawdę mnie nie obchodzi.

- A ja przeciwnie, chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym duchu. - Harl wstał zza stołu i wyszedł, zabierając ze sobą kij baseballowy.

Andrew nie zamierzał rozmyślać nad tym, co Tessa mogła zobaczyć w piwnicy. Bardziej martwiło go to, co zrobi, jeśli Tessa przyjmie propozycję i zdecyduje się spędzić noc pod jego

dachem. Łóżka w pokojach gościnnych nie były posłane. Niebezpieczne myśli.

Wyobraził ją sobie skuloną na karimacie, z książką i latarką obok. Czy pójdzie spać w pokrytych pajęczyną rzeczach? Czy uśnie?

Jeszcze bardziej niebezpieczne myśli.

Przeszedł przez pusty dom do pokoju Dolly. Spała, tuląc w ramionach pluszowego kota, z koroną w Miedziano-rudych włosach. Jego kochana córka o zbyt bujnej wyobraźni. Był gotów zrobić dla niej wszystko.

Dla swojej sześćioletniej sąsiadki Tessa Haviland gotowa była zejść do piwnicy i nie jest istotne, dlaczego krzyczała. .

A jednak słowa Harla zapadły mu w umysł. Tessa najpewniej coś ukrywała. Andrew to czuł i teraz zastanawiał się, co zataiła i dlaczego nie chciała powiedzieć mu prawdy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tessa nie spała, w każdym razie trudno by to było nazwać spaniem. We śnie czy na jawie, ciągle zwidywały się jej duchy i szkielety, miauczące koty, jacyś tajemniczy mężczyźni wyłaniający się z mroku. Jeden wielki, koszmarny spektakl. Do tego Tessa była zupełnie sama. Oczywiście mogła przyjąć zaproszenie Andrew Thorne'a i przenocować w jego domu, ale co wiedziała o nim i o tym jego Harlu?

O piątej rano chciała zadzwonić na policję, ale zawahała się po wystukaniu dwóch pierwszych cyfr. Powinna najpierw zejść raz jeszcze do piwnicy i upewnić się, co właściwie widziała, a dopiero potem dzwonić. Beaconbythe-Sea to małe miasteczko i jeśli okaże się, że w piwnicy znajdował się plastikowy kościotrup, albo, co gorsza, Tessa padła ofiarą własnej imaginali, wiadomość natychmiast się rozejdzie i z całej historii pozostanie tylko drwiący śmiech.

- Do diabła, niech gliny same sobie sprawdzą piwnicę - mruknęła.

Nie zejdzie jeszcze raz na dół.

Ale też nie zadzwoniła.

O siódmej była gotowa sprzedać wozownię. Nie wspomni o szkielecie. Czy Ike zająknął się na jego temat? Nigdy nie pozbędzie się tego domu, jeśli teraz narobi szumu. Przyjedzie policja, lekarze sądowi, historycy, egzorcyci. Bóg jeden wie kto jeszcze.

Jeśli rzeczywiście widziała ludzki szkielet, musiały być to szczątki jakiegoś dziewiętnastowiecznego złodzieja koni albo innego bandziora. W każdym razie kogoś anonimowego, a nie Jedidaha Thorne'a i nie Ike'a.

O ósmej, cała zeszytniała, wyczołgała się ze śpiwora. Za oknem świeciło majowe słońce. Skąd ludzka czaszka w jej piwnicy? Śmieszne. W najgorszym razie mieszkający w domu

duch splątał jej figła, w najlepszym - padła ofiarą własnej wyobraźni.

Andrew Thorne nie uwierzył w historyjkę o strachu przed węzami, była tego pewna. Powinna była powiedzieć, że naprawdę zobaczyła węża. Długiego na metr, z zygzakami na grzbiecie, pełzającego między rurami centralnego ogrzewania. To zgasiłoby niedowierzanie w tych przenikliwych niebieskich oczach.

Wzięła gorący prysznic, który złagodził trochę ból w biodrze, ale nie pomógł Tessie w podjęciu jednoznacznej decyzji, co robić dalej. Włożyła ulubione dżinsy, dżinsową koszulę, adidasy, zaparzyła earl greya, podgrzała mufinkę i przeniosła się na stopnie przed drzwiami kuchennymi.

Po śniadaniu zeszła skalistą ścieżką na plażę. Wiał rześki wiatr, w powietrzu czuło się sól, zapach oceanu. Trwał odpływ. Jakiś wodorost owinał się wokół jej buta. Słońce połyskiwało na horyzoncie, skrząc fale. Łodzie wypłynęły już w morze.

Wróciła do wozowni z silnym postanowieniem, że ponownie zejdzie do piwnicy i upewni się, czy rzeczywiście w nocy zobaczyła czaszkę. Musiała tylko zdecydować, kiedy to zrobić: przed lunchem w wiosce, czy po?

Po. Jeśli zejdzie do piwnicy przed wyprawą do wsi i przekona się, że widziała to, co myślała, że widziała, będzie musiała zawiadomić policję, może także Lauren Montague i sąsiadów. A wtedy nie będzie już miała czasu, by przejść się po sklepach i zjeść pyszny chowder w jakiejś miłej knajpcie z obrusami w biało-czerwona kratę.

- Cześć, Tesso, mogę przejść na twoją stronę? Omal nie krzyknęła, ale szybko się opanowała na

widok główki Dolly Thorne wychylającej się zza krzaków bzu.

- Tata i Harl nie będą się gniewać?

- Nie będą.

Tessa nie była tego taka pewna.

- Lepiej idź zapytać. Mała przewróciła oczami.

- Naprawdę nie będą się gniewać.

Tessa podeszła do krzewów. Formalnie Dolly była nadal w swoim ogrodzie. Miała dzisiaj na głowie koronę z połyskliwymi czerwonymi sercami i koszulkę w podobny wzór.

- Czy Łatka wróciła wczoraj do domu?

Dolly pokręciła głową i wydała z siebie dramatyczne westchnienie.

- Zgubiła się. Nie wiem, czemu nie chce wrócić do domu.

- Ja też nie wiem. Czasami koty już takie są. Tata mówił ci, że widziałam ją wczoraj wieczorem? Wystraszyła się mnie, a ja jej. Nie mogła uciec daleko.

- Zdarza się - stwierdziła Dolly filozoficznie.

- Może jest gdzieś tutaj. Zawołaj ją, zna twój głos. Dolly przykucnęła między krzewami.

- Kici, kici...

Odpowiedziało jej miauczenie dochodzące z wozowni, ale tym razem nie z piwnicy, tylko z całą pewnością z kuchni.

Tessa nie wierzyła własnym uszom.

Dolly podskoczyła i pisnęła.

- Jejku!

- Chodź, zapytamy tatę i Harla, czy możesz pójść ze mną do wozowni i sprawdzić, czy to rzeczywiście Łatka.

- To ona. Wiem, że to ona. Ucieknie nam... Tessa była nieubłagana.

- Nie ucieknie, ale musimy się pospieszyć.

Nie chciała, żeby Dolly urządziła jej scenę rozpacz, ale nie zamierzała zabierać jej do wozowni bez pozwolenia dorosłych, szczególnie po przygodach ostatniej nocy.

Dolly ze zwieszoną głową wycofała się na swoją stronę, a Tessa nie bez trudu przecisnęła się za nią między gałęziami, pniami i korzeniami.

Kiedy wreszcie pokonała żywopłot, znalazła się w prawdziwej oazie, przynajmniej w porównaniu z jej własnym

spłachetkiem ziemi. Soczyście zielony trawnik, rozkwitające rododendrony, przemyślnie posadzone, cieniste drzewa. Nie mogła zrozumieć, co kazało Jedidiahowi Thorne'owi narażać życie w takim otoczeniu. Po co się pojedynkował, będąc właścicielem tak cudownego rajy?

Dolly podbiegła do siwowłosego mężczyzny, który kręcił się koło niewielkiego pawilonu. Obok na trawie leżały starannie rozłożone pędzle i różne puszki.

- Harl! - zawołała mała bez tchu. - Harl, znalazłam Łatkę! Znalazłam ją!

- Żartujesz. Gdzie jest?

- U Tessy w domu.

Tessa uśmiechnęła się niepewnie. Cały czas miała w pamięci ostatni wieczór. Nie chciała wyjść na strachajkę. W swojej pracy też często musiała udawać spokój i pogodę ducha wbrew okolicznościom.

Harl podszedł kilka kroków w jej stronę. Dopiero z bliska dostrzegła bliznę na twarzy i tatuaż na przedramieniu. Miał na sobie koszulkę POW-MIA, brakowało mu stawów u przynajmniej dwóch palców.

- Harl Beckett. Jestem kuzynem Andrew.

- Tessa Haviland. Miło mi. Łatka jest chyba u mnie w domu. Słyszałyśmy miauczenie.

Harl poprawił Dolly koronę na głowie i Tessa zauważyła, że mała natychmiast się uspokoiła. Harl Beckett pewnie działał tak na wszystkich wokół siebie: milkli w jego towarzystwie.

- Przepraszam. Ma pani ciągle kłopoty przez tego jej kota.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Tessa.

- Ostatnia noc nie należała, zdaje się, do najprzyjemniejszych.

Powiedział to zupełnie zwyczajnie, z obojętnym wyrazem twarzy, ale było jasne, że, podobnie jak Thorne, nie wierzy ani trochę w jej historyjkę o węzach. Powściągnęła gwałtowną chęć rejterady i pogodnie się uśmiechnęła.

- Owszem. Miałam głupią przygodę, ale dostałam nauczkę. Teraz już wiem, że Łatka może sobie radzić bez mojej pomocy.

- Jak się dostała do wozowni?

- W piwnicznym oknie nie ma szyby. Słyszał pan mój krzyk? Potknęłam się o jakiś stary mebel i wyłożyłam jak długa na gołej ziemi. Wyobraziłam sobie, że zaraz z jakiegoś kąta wypełźnie wąż.

Harl Beckett zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- I tej wersji będzie się pani trzymała?

- Przepraszam?

Harl zwrócił się do zniecierpliwionej bezsensowną dla niej rozmową Dolly:

- Biegnij do taty i powiedz mu, gdzie idziemy. - Najwyraźniej nie chciał powierzyć małej opiece Tessy choćby na kilka minut.

- Szybciutko.

Dolly rzuciła się w kierunku domu, nawołując ojca.

- Panie Beckett... - zaczęła Tessa z wahaniem.

- Harl.

- Nie rozumiem, co miałeś na myśli.

- Nic nie miałem na myśli.

- Nie wierzysz mi.

- Nie. Nie będziesz przez to spała po nocach? Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Upadłam i pomyślałam o węzach. Harl uniósł brew.

- I o czym jeszcze? Wzruszyła ramionami.

- O duchach.

- Teraz zaczynamy rozmawiać.

Przybiegła zadyszana Dolly. Policzki miała zaróżowione.

- Tata mówi, żebyśmy szli. On też zaraz przyjdzie. Chodźcie, chodźcie!

- Idź z Tessą, Dolly. Ja za wami.

Dolly natychmiast zaczęła przeciskać się przez żywoplot. Zanim Tessa ją dogoniła, mała czekała już na stopniach kuchennych.

- Uwważaj, Dolly. Jeśli Łatka ma już małe, może się wystraszyć.

Dolly ledwie mogła opanować podniecenie, ale położyła palec na wargach.

- Ciii.

Tessa pchnęła siatkowe drzwi i obejrzała się. Harl dał znak, żeby wchodziły. Dolly wsunęła się do kuchni pod jej ramieniem i stanęła zachwycona, zasłaniając rączkami usta. Tessa stanęła obok niej.

Na środku śpiwora leżała kosmata mama z nowo narodzonymi kociakami. Cztery maleńkie szaro-biało-czarne kluski.

Jakim sposobem kotka znalazła się na jej śpiworze? Tessa nie mogła się nadziwić.

Albo Łatka wśliznęła się za nią do domu ostatniej nocy, albo skorzystała z okazji, kiedy Tessa poszła rano na spacer na plażę.

W każdym razie okazała wiele kociej roztropności, w krytycznej chwili moszcząc się na jedynym w miarę miękkim, ciepłym miejscu, jakie dało się znaleźć w całym domu. Nie miała zamiaru rodzić w wilgotnej, ciemnej piwnicy.

W kuchni zamiast Harla pojawił się Andrew. Dolly gestem nakazała ojcu milczenie, a ten uśmiechnął się. Beztrasko.

- To wcale nie jest zabawne - szepnęła Tessa.

- To jest zabawne, Tesso.

Usiłowała obudzić w sobie wielkoduszość, ale kocia rodzina okupowała jedyny „mebel”, jaki posiadała. Jej śpiwór, jej łóżko.

Andrew stał tuż obok. Pachniał mydłem. Na jego brodzie dostrzegła małą bliznę. Ciekawe, po czym to ślad, przemknęło jej przez głowę. Uśmiechnął się.

- Nie wiem, jak zrekompensuję kłopoty, których przysparza ci ta kotka.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Andrew nie próbował nawet udawać, że jest zaam-
barasowany sytuacją. Dolly na palcach podeszła do śpiwora i
ostrożnie uklękła, cicha jak mysz. Kotka drzemała, jeszcze
oszołomiona, zwinięta między poduszką i Tshirtem, w którym
Tessa spała ostatniej nocy. Kociaki prawie się nie poruszały,
tylko ssały matkę.

Andrew nachylił się nad córką.

- Przyjrzyj się, ale nie dotykaj ich.

Dolly podniosła na ojca błyszczące radością oczy.

- Kiedy będę mogła je wziąć na ręce?

- Za kilka dni. Gdybyś zrobiła to teraz, Łatka mogłaby się
zdenerwować i przestałaby opiekować się dziećmi. - Spojrzał na
Tessę. - To tylko kilka dni. Wytrzymasz?

Jakby miała jakiś wybór! Nie mogła przecież wyeksmitować
kotki z przychówkiem.

- Jasne.

- Podtrzymuję propozycję. Przenieś się do nas. Łatka wlepiła
w Tessę złote ślepie, jakby wiedziała, jak bardzo skomplikowała
jej życie. Odpłacała za to, że Tessa wystraszyła ją ostatniej
nocy. Prawdopodobnie zamierzała urodzić w piwnicy,
tymczasem obca kobieta wpada tam po nocy, robi raban i usiłuje
ją ratować.

Andrew dotknął ramienia córki. Dolly podniosła się, wzięła
go za rękę i wyszli bez słowa. Tessa dołączyła do nich. Nie
miała nic do roboty w kuchni, chyba żeby chciała znowu
wystraszyć biedną Łatkę.

Przed domem Dolly mogła wreszcie dać upust swojemu
entuzjazmowi. Zaczęła podskakiwać i klaskać, kręcąc się w
kółko.

- Jakie one śliczne! Widziałeś, tatusiu? Muszę wymyślić dla
nich imiona.

Harley obserwował całą scenę z odległości kilku kroków.

- Harl, Harl, musisz je zobaczyć! O mój Boże! Andrew skrzywił się.

- Dolly, musisz się oduczyć tego „O mój Boże”. Mała skinęła głową, chociaż na pewno nie słyszała, co powiedział ojciec.

- Mogę pokazać Harlowi?

Harl nie palił się do oglądania kotów, ale Dolly pociągnęła go za rękę. Akurat na nią indochiński weteran nie działał onieśmielająco.

Andrew spojrział na Tessę. Słońce zagrało w ciemnych włosach, wydobywając srebrne nitki.

- Widzę, że przetrwałaś jakoś noc.

Tylko odrobinę zręczniejsz niż Harl ukrywał niedowierzanie w drażliwej kwestii węży.

- Dziękuję.

- Przepraszam za Łatkę.

- Nie twoja wina.

Jak do tej pory nic w czasie tego weekendu nie układało się po jej myśli. Co gorsza zdała sobie sprawę, że Andrew Thorne zaczyna się jej podobać. Pech.

Była ciekawa, czy zauważył, jaki odcień mają jej niebieskie oczy, bo ona, owszem, zdążyła już zwrócić uwagę, jak bardzo błękitne są jego. Czy zapamiętał, jak trzymała się jego ramienia poprzedniego wieczoru? Nie przypuszczała, by pamiętał, tylko tak się zastanawiała. To było najgorsze w mężczyznach, rozmyślała. Człowiek nigdy nie wiedział z góry, czy warto się danym egzemplarzem zainteresować i wydatkować energię. No cóż, Tessa już taka była, że się angażowała.

To nie znaczy, że brała pod uwagę bliższą znajomość z Andrew Thorne'em, która wykraczałaby poza sąsiedzkie kontakty. Po prostu chęćka - nie było lepszego określenia - na Thorne'a odwracała jej myśli od szkieletu w piwnicy.

- Tessa?

Spojrzała na niego, podziwiając szczupłą, muskularną sylwetkę. O, o, pomyślała i uśmiechnęła się.

- Przepraszam. Zastanawiałam się właśnie, gdzie jest sklep przemysłowy. Powinnam coś zrobić z oknem w piwnicy. I będę chyba musiała kupić kufkę.

Andrew skinął poważnie głową.

- Pojadę z tobą.

- Nie musisz. Dam sobie radę.

- Nie powiedziałem, że nie dasz sobie rady, tylko że pojadę z tobą - powiedział z ledwie widocznym rozbawieniem. - Sama nie znajdziesz sklepu.

- We wsi są trzy ulice na krzyż, znajdę na pewno. Andrew szedł już w kierunku domu.

- Daj mi dziesięć minut. Zawiozę cię.

- Ja prowadzę! - zawołała za nim.

Obejrzał się, wyczuwając jej panikę. Domyślał się, jak nieokielznane myśli chodzą jej po głowie, kiedy na niego patrzy. To jasne, że chciała prowadzić samochód, by choć jako tako zapanować nad sytuacją. Ta kobieta za wszelką cenę chciała zachować kontrolę. Uśmiechnął się.

- Dobrze, ty prowadzisz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Lauren, zrozum, proszę. - Richard chwycił kubek z kawą, gazetę i zamierzał wyjść z kuchni na taras. - Mam tylko kilka minut czasu. Kiedy już zdobędę to stanowisko, pójdę z tobą na Cape Cod i z powrotem, a potem jeszcze raz, jeśli tak zechcesz.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Dawniej dużo spacerowaliśmy. Pamiętasz?

- Pamiętam. Oczywiście że pamiętam. Mówisz tak, jakby to było całe wieki temu. Przez półtora roku naszego małżeństwa odbyliśmy więcej spacerów niż większość ludzi przez całe życie.

Lauren patrzyła na męża, usiłując nie myśleć o tym, jak bardzo go kocha. Nie dzisiaj. Dzisiaj chciała się na niego podąsać.

- Tylko krótka przechadzka na skały. Nie możesz poświęcić mi pół godziny?

- Nie mogę, kochanie, naprawdę. Jestem wykończony. Nie potrafię w stanie normalnie myśleć. Pozwól mi wypić kawę i przeczytać gazetę, dobrze? - Podeszedł do niej i pocałował w czoło.

- Jeremy Carver powiedział coś ważnego wczoraj wieczorem?

- Tak naprawdę to nic szczególnego. Wszystko idzie dobrze, ale szłoby jeszcze lepiej, gdyby Dce się znalazł.

Lauren machnęła ręką.

- Dla Dce'a to normalne, że co i rusz znika. Powiedz Carverowi, żeby porozmawiał ze mną. Rozwieję jego obawy.

- Już mu powiedziałem. Niech mnie prześwietlają, jeśli mają jakieś wątpliwości. Według instytutu jestem zupełnie czysty. Departament Obrony i biuro senatora Bowlera nie powinni zgłaszać obiekcji.

- Na pewno nie. - Lauren obracała swój kubek w palcach. Nie potrafiła wzbudzić w sobie szczególnego zainteresowania szykującym się stanowiskiem Richarda w Waszyngtonie. Co

zrobi, kiedy go mianują? Zostanie tutaj? Pojedzie z nim i będzie urządzić przyjęcia w stolicy? Otrząsnęła się na tę myśl.

- To ważna praca - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Wiem, Richardzie. Zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Skinął głową.

- Nigdy nie wątpiłem, że mogę na ciebie liczyć.

- Czytaj spokojnie swoją gazetę. Pójdę na spacer z psami.

Zniknął za drzwiami, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

Lauren wylała swoją kawę do zlewu. Olbrzymia wysoka kuchnia z białymi szafkami domagała się zmiany wystroju, ale Lauren nie miała siły zabierać się za przeróbki. Ostatnio czuła się w domu niczym w pustym zajeździe. Może remont tchnie w nią energię. Powinna porozmawiać o tym z Andrew.

Chwilowy zapal opadł równie szybko, jak się pojawił. Lauren przeszła do głównego holu, obojętna na łaszące się jej do nóg psy. Stała przed domem, wystawiając twarz na wiejący od morza wiatr, i objęła wzrokiem roztaczający się stąd widok: skały, kamienisty brzeg, ocean zlewający się hen na wschodzie z linią horyzontu. Rezydencja Granthamów usytuowana była na piaskowym klifie, podmywanym przez fale przyplływów i smaganym wiatrami. Z czasem postępująca erozja zniszczy klif i wtedy dom albo będzie trzeba przenieść, albo pochłonie go morski żywioł.

Zamrugła, walcząc z napływającymi do oczu łzami. To przez ten wiatr, powiedziała sobie. Było jej wszystko jedno, co stanie się z domem. Niech zabierze go Atlantyck. Niech strata rodzinnego gniazda będzie karą za to, że nie potrafiła ukrocić ekscesów brata.

Odpychając od siebie myśli o Dce'u, zeszła ze stopni przed domem tak energicznie, że omal się nie potknęła.

Pobiegła w dół stromą ścieżką. Tyle razy ją przemierzała przez czterdzieści lat swojego życia, że poruszała się automatycznie. Silny powiew wiatru omal jej nie przewrócił, na moment straciła oddech. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że

biegnie, i zwolniła kroku. Gdyby Richard z nią poszedł, spacerowaliby, trzymając się za ręce, rozmawiali, śmiali się. Tak bardzo chciała mu się zwierzyć. Powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy wróciła do domu, zastała na blacie kuchennym kartkę od Richarda.

Kochanie, dzwoniła Muriel. Tessa Haviland zamieszkała w wozowni. ????

Znaki zapytania miały oznaczać, że Richard nie wie, kim jest Tessa.

Lauren poczuła, że robi się jej niedobrze.

Wyszła powoli do ogrodu. Tu było spokojnie. Dom dawał osłonę od wiatru. Musnęła palcem pąk dalii, po czym zaczęła zrywać kwiaty, jeden po drugim, bez planu, bez jednej myśli, bez czucia.

Tessa nigdy nie znalazłaby sklepu przemysłowego. Był ukryty na końcu bocznej uliczki, za tanią jadłodajnią, o jedną przecnicę od centrum wioski. Rodzinne przedsiębiorstwo oferowało wszystko, czego tylko może potrzebować właścicielka wozowni z 1868 roku. Kupiła szkło i kit do okna w piwnicy, obejrzała kilka kompletów narzędzi dla majsterkowiczów. Jeśli zatrzymałaby wozownię, będą jej potrzebne. W czasie studiów dorabiała jako pomocnik stolarza u kolegów ojca, ale nie miała złudzeń co do swoich umiejętności. Była grafikiem, nie majsterklepką. Musiałaby mieć warsztat i jakąś złotą rączkę do pomocy i porady. Oraz teźyznę i łut szczęścia.

Jej wzrok padł na rząd lśniących nowością szpadli. Mogłaby na powrót zakopać szkielec i udawać, że wcale go nie znalazła. Nęcąca myśl... ale niedobra. Musi sprawdzić, co widziała, a potem zawiadomić odpowiednie władze. Identyfikację szczątków i godnym pochówkiem powinny się zająć urzędowe osoby. Muszą też ustalić, w jaki sposób szkielec znalazł się w wozowni Jedidiaha Thorne'a.

Może szkielet był godnie pochowany. Może taka była wola zmarłej osoby. Może chciała spocząć w piwnicy.

Tessa otrząsnęła się. Teraz nie pora o tym myśleć. Wróciła do oglądania narzędzi.

Andrew czuł się w sklepie jak u siebie w domu. Wiedział, do czego służą wszystkie chemikalia, różne śrubki i inne towary. Obsługa zwracała się do niego po imieniu, widać było, że wrósł w tę okolicę.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie jesteś przypadkiem hydraulikiem?

- Architektem. - Pod pachą trzymał sporą kuwetę dla kotów. - Widzę ulgę na twojej twarzy. Masz coś przeciwko hydraulikom? To zacny, ciężki i bardzo potrzebny fach.

- Nie. Nic ważnego. Drobiazg. - Uśmiechnęła się, bo Jim Haviland, Davey Ahearn i ich kompani budowlańcy nie uznawali architektów. - Musimy kupić dodatkową miskę dla Łatki. Jedną powinna mieć u ciebie, drugą u mnie. Andrew wzruszył ramionami.

- Daję jej jeść w pudełku po margarynie.

Dolly, która czuła się w sklepie równie swobodnie jak ojciec, pociągnęła Tessę za rękaw.

- Ja wiem, która miska spodoba się Łatce.

- Na pewno będzie odpowiednia dla kota królowej - stwierdził Andrew z przekąsem. Tessa zaśmiała się.

- Każda będzie lepsza od pudełka po margarynie.

Dolly optowała za ciężką fajansową, ale Tessa wybrała plastikową czerwoną w kształcie serca, pasującą do korony, którą mała miała właśnie na głowie.

- Jesteś szybka, Tesso.

Andrew stał za jej plecami. Jego głos budził w ciele Tessy reakcje, o których wołała nie myśleć. Jest niewyspana, to wszystko stąd. Rozregulowany system nerwowy. Odwróciła się i niechcący dotknęła jego ręki. Do diabła, znowu to samo. Dziwny impuls przenikający całe ciało. Hmm.

- Pracuję z klientami. Musiałam nauczyć się sztuki negocjacji.
- Myślę, że ty i Dolly jesteście pokrewnymi duszami. - Uśmiechnął się, ale nie cofnął nawet o krok.
- Obie lubicie stawiać na swoim.

Załadowali zakupy do samochodu. Dolly zaczęła skakać i domagać się, żeby poszli na chowder do restauracyjki na bulwarze.

- Sama o tym myślałam - zgodziła się Tessa. - Jest tak ładnie, że możemy pójść piechotą. - Zerknęła na Andrew. - Chyba że masz jakieś inne plany.

- Nie. - Tessa nie potrafiła odgadnąć, co Andrew myśli. Denerwowało ją to, bo zwykle nie miała kłopotów z zagładaniem ludziom do głowy. Andrew był dla niej zbyt opanowany. - Nic ważnego.

Dolly zaśmiała się i chwyciła Tessę za rękę, a drugą łapkę wsunęła w dłoń ojca.

- Lubię cię, Tesso.
- Ja też cię lubię, królowno Dolly.

Poszli pieszo na bulwar. Korzystając z pięknej pogody, turyści wyprawiali się w morze. Malowniczy port pełen był jachtów, żaglówek i łodzi rybackich, ale Dolly nie przyszła tutaj, by podziwiać krajobraz, tylko po to, żeby zjeść chowder. Energicznie pociągnęła ojca i Tessę do małej restauracji nad samym oceanem.

Refleksy słońca igrały na wodzie, kolorowe boje kołysały się na fali. Tessa uśmiechnęła się na ten pocztówkowy widok.

- To cudowne dorastać w takim miejscu.
- Tak myślę. Dolly jest chyba tutaj dobrze - przytaknął Andrew.

- A ty? Wychowałeś się w Beaconie?
- W Gloucesterze.

Tessa знаła rozmowniejszych ludzi.

- Przecież twoja rodzina mieszka w tych okolicach od pokoleń...

- Thora'eowie osiedlili się w Nowej Anglii w siedemnastym wieku.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła Tessa, rada zająć czymś myśli.

- O czym tu opowiadać. Jedidiah jest jedynym naszym przodkiem, który zapisał się w historii. Jak wiesz, niezbyt chlubnie. Reszta to trochę łotrów, trochę bohaterów. Kapitanowie statków, rewolucjoniści, żołnierze, rybacy, kilku zacnych mieszczan. - Andrew rozłamał bułkę. - Na każdym starym cmentarzu na North Shore znajdziesz jakiegoś Thorne'a.

- Co stało się z Jedidiahem po tym, jak zabił Benjaminą Morse'a?

- Więzienie. Tessa westchnęła.

- Pytałam, co się z nim działo po wyjściu z więzienia. Wiem, że pojechał na zachód.

- Do San Francisco. Podobno długo tam nie wytrzymał, bo tęsknił za Atlantykiem. Ponoć bez grosza wrócił do domu, pracował w stocznicach, ożenił się, miał dwójkę dzieci. Ludzie prawie zapomnieli o pojedynku. Ci, którzy pamiętali, doszli do przekonania, że Benjamin Morse zasłużył na swój los.

- Takie wyroki pozostawia się sądom, a nie powszechnej opinii. - Tessa zamilkła. Andrew Thorne nie potrzebował jej wykładów. - Co stało się z jego żoną?

Andrew odłożył bułkę na talerzyk.

- Adelaide Morse została bogatą wdową.

Tessa spojrzała na port. Próbowała wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać w połowie dziewiętnastego wieku.

- Jak umarł Jedidiah?

- Pewnego razu nie wrócił z morza. Omal się nie udławiła na tę wiadomość.

- Kiedy?

- Nie wiem dokładnie. Około 1900. roku.

- Nie ma grobu w Beaconie?

- Nie.

- I nie wiadomo dokładnie, co się z nim stało?

- Nie. Wyplłynął sam jeden łodzią rybacką w morze i już nie wrócił. - Andrew wzruszył ramionami. - Myślę, że w ten sposób chciał odejść.

Nie powrócił z morza. Żadnych świadków, żadnych dowodów. Nigdy nie znaleziono ciała. Tessa zauważyła, że Andrew przygląda się jej uważnie spod zmrużonych powiek. Raptem przyszło jej coś do głowy. A może on i Harl dobrze wiedzą, że Tessa ma w swojej piwnicy szkielet? I być może podejrzewają, że to ich niefortunny przodek, i teraz czekają, co Tessa pocznie z tym fantem? Tej ewentualności nie można było wykluczyć. Więcej, była bardzo prawdopodobna.

Zajęła się Dolly, potem zaczęła liczyć boje kołyszące się na wodzie i mewy w porcie. Kiedy na stole pojawił się chowder, Dolly doszła do wniosku, że musi koniecznie iść do toalety. Tessa zaofiarowała się pójść z nią, ale królowna pokręciła głową.

- Mogę iść sama. - Zsunęła się z ławki i poinformowała ojca: - Nie wrzucaj krakersów do mojej zupy. Nie lubię chowderu z krakersami. - I szybko pobiegła do toalety.

- Ma własne zdanie - powiedziała Tessa. - I ogromną wyobraźnię.

Andrew spojrzął w okno na gnane wiatrem fale.

- Niezależność i wyobraźnia to niezbyt bezpieczna kombinacja. Jej życie byłoby mniej skomplikowane, gdyby posiadała tylko jedną z tych cech.

- Wyrośnie na twórczą ryzykantkę.

- Ty taka jesteś?

- Chyba tak. Pracowałam w dziale grafiki w wielkiej korporacji, ale dwa lata temu postanowiłam zacząć działać na własną rękę. I udało się, chociaż bywało ciężko. W każdym razie nie rozłożyłam się na łopatki. - Uśmiechnęła się szeroko. - Na razie.

- Jeśli próbujesz mnie przekonać, że jesteś rozsądną osobą, to ci się nie uda.

- O niczym nie próbuję cię przekonać.

- Na pewno?

Andrew był urodzonym milczkiem, wydawał się wręcz mrukiem, ale kiedy uśmiechnął się, Tessie od razu zrobiło się ciepło na sercu.

- Zgodziłaś się, żeby Ike Grantham zamiast, jak

Bóg przykazał dolarami, zapłacił ci za twoją pracę nawiedzoną wozownią, która pięćdziesiąt lat temu powinna była zostać zrównana z ziemią.

Nie przejmując się słowami Andrew, Tessa doprawiła swój chowder pieprzem. Pachniał prawie tak dobrze jak ten przyrządzany przez jej ojca, chociaż nie pływała w nim maślana omasta.

- Nie szkodzi, że jest nawiedzona. Nie wierzę w duchy.

- Nawet po wczorajszej nocy? Odstawiła młynek do pieprzu.

- Nie widziałam wczoraj ducha.

- Ale myślałaś, że widziałas.

- Nie, ani nie widziałam, ani nie myślałam, że widzę. Nie próbuj mi nic wmawiać. - Kiedy indziej bezpośrednio Andrew mogłaby wydać się Tessie zaletą, ale nie w tej rozmowie. - Wychowałam się wśród mężczyzn, którym się wydaje, że zjedli wszystkie rozумы. Nie zbijesz mnie z pantaląku.

- Nie zbijam cię z pantaląku, stwierdzam tylko fakt. Wiem, że coś widziałas. Twoje oczy mi to mówią.

Tessa prychnęła.

- A co ty wiesz o moich oczach?

- Nie za wiele, to prawda. Poczula dziwną suchość w gardle.

- Więc nie możesz...

- Tessa, nie przestraszyłaś się własnej imaginacji, nie przestraszyłaś się urojonego węża. Przeraziło cię coś, co naprawdę zobaczyłaś.

- Zobaczyłam, tak?

- Tak - przytaknął Andrew z niewzruszonym spokojem.

- Możesz wierzyć w co chcesz, a ja wiem, co widziałam, i wcale nie był to duch.

Omam mu nie powiedziała, że ujrzała szkielet. Powstrzymała ją tylko myśl, że to plastikowa zabawka pozostała po jakimś Halloween. Kpinom nie byłoby końca. Ojciec, Davey i reszta barowej braci, wszyscy dowiedzieliby się o jej wpadce jakimś sobie tylko wiadomym sposobem i odtąd na urodziny, na Gwiazdkę i na Walentynki dostawałaby w prezencie same szkielety. Białe, różowe, niebieskie, fantazyjnie poubierane. Szkielet na szkielecie.

- Myśl sobie, co chcesz. - Uznała, że pora zmienić temat. - Mam zobaczyć, co się dzieje z Dolly?

- Nie. Na pewno wróci za chwilę. Zwykle około sześciu razy myje ręce. Kiedy miała trzy, cztery lata, pójście do łazienki stanowiło kłopot, ale teraz radzi sobie świetnie.

- Jej matka... - Tessa podniosła do ust łyżkę gęstej, zawiesistej zupy. - Nie chcę być wścibska.

- Joanna umarła trzy lata temu. Zginęła pod lawiną na Mount McKinley. - Andrew otworzył torebkę z krakersami ostrygowymi i utkwiał w niej wzrok. - Minęło kilka tygodni, zanim ratownicy zdołali wydobyć jej ciało.

- Straszne. - Przynajmniej wiadomo, pomyślała Tessa ponuro, że to nie szczątki Joanny Thorne widziała wczorajszej nocy w piwnicy.

Wróciła Dolly i zaczęli mówić o łodziach w porcie, różnych gatunkach mew oraz o róży wiatrów. Nie wspominali o matce dziewczynki, która trzy lata wcześniej zginęła pod lawiną w górach.

Po lunchu ruszyli powoli do samochodu. Dolly, ze świeżym zapasem energii, w podskokach popędziła przodem.

- Piękny dzień - powiedziała Tessa.

- Zdecydowałeś już, co zrobisz z wozownią?

- Jeszcze nie.

Dobry nastrój Tessy znikł bez śladu, kiedy wrócili do domu. Wiedziała, że musi zejść do piwnicy. Sama. Nie mogła odkładać tej konfrontacji na później.

Wysiadając z auta, Andrew zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła własną pobladłą twarz.

Czekała ją kolejna upiorna noc. Myśli o Andrew, o jego żonie, która zginęła pod lawiną, o Jedidiahu, który nie wrócił z morza, o trupie w piwnicy. Nad Thorne'ami ciążyła chyba jakaś klątwa.

- Jeśli będziesz chciała, żebyśmy pomogli ci wstawić okno, zawołaj.

W tonie głosu Andrew było coś, co się jej nie spodobało. Udała, że tego nie zauważyła, i zwróciła się do Dolly:

- Zajmę się Łatką i jej dziećmi, królowno Dolly - obiecała.

Mała pokiwała poważnie głową.

- To niemowlaki. Potrzebują spokoju.

Gdy wysiadła z samochodu, Andrew nachylił się jeszcze do okna.

- Pamiętaj, że masz u nas pokój gościnny. Życie byłoby znacznie łatwiejsze, pomyślała Tessa,

gdyby jej sąsiad był paskudnym trollem albo nieużyтым gburem i prostakiem. Uśmiechnęła się, zaciskając dłonie na kierownicy.

- Dzięki. Będę pamiętać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kobieta w towarzystwie Andrew Thorne'a i jego córki to zapewne Tessa Haviland. Richard miał wrażenie, że gdzieś już ją widział. Cała trójka wsiadła do starej hondy i mało brakowało, a pojechałby za nimi. Jednak powstrzymał się. Powinien nad sobą panować i nie ulegać emocjom.

Wrócił do domu, marząc o tym, by usiąść na słońcu ze szklaneczką szkockiej, ale na podjeździe czekał już, oparty o lśniącą czarną limuzynę, Jeremy Carver.

- Możemy zamienić słowo?

- Oczywiście.

Lauren gdzieś wyszła, a że nie zatrudniali stałej służby, Richard sam przygotował dwie szklanki mrożonej herbaty, pokroił cytrynę i napełnił pustą cukiernicę, wyklinając przy okazji płaczące mu się pod nogami pudle żony. Ustawił wszystko na tacy i zaniósł na taras, zatrzaskując psom drzwi przed nosem. Jeden zaskowyczał.

- Przepraszam - mruknął bez specjalnej skruchy.

- Psy pańskiej żony? - zainteresował się Jeremy Carver.

- Tak. Kochane maleństwa zawsze wchodzą człowiekowi pod nogi.

Richard postawił tacę na stoliku odnowionym przez Harla Becketta. Kiedy przeniosą się do Waszyngtonu, będzie nalegał, by zatrudnili służbę. Ten dom niech Lauren prowadzi jak jej się podoba, ale wysoki urzędnik Pentagonu nie może obsługiwać swoich gości. Wcześniej nie był żonaty. Jego doświadczenia z kobietami ograniczały się do przelotnych związków, bo cały swój czas poświęcał pracy. Żeniąc się, myślał, że kocha Lauren, lecz teraz nie był pewien, czy jest zdolny do miłości. W każdym razie nie była czymś istotnym w jego życiu.

Silne popołudniowe słońce złościło starannie utrzymane trawniki i rabaty w ogrodach Lauren, ale na osłoniętym tarasie

panował miły chłód. Jeremy Carver usadowił się na wiklinowej kanapce, jak zwykle władczy i pewny siebie.

Sięgnął po szklankę z mrożoną herbatą i wrzucił plasterek cytryny. Nie słodził.

- Świetna, doktorze Montague. Dzięki.

- Proszę mówić mi Richard. - Wsypał do swojej szklanki dwie łyżeczki cukru i usiadł w wiklinowym bujaku. - Mam nadzieję, że zdążył pan poznać trochę naszą małą wioskę.

- Beacon? Urocze miejsce. Wczoraj wieczorem wróciłem do Bostonu. Moja siostra łąda dzień ma zostać babcią. Doprowadza wszystkich wokół do szaleństwa. - Zaśmiał się. - Kiedy rodziła swoje pierwsze dziecko, myślałem, że już nie może być gorzej. A jednak się myliłem.

- To musi być niezwykle wydarzenie - stwierdził Richard ostrożnie.

- Nie masz dzieci?

- Moja żona ma siedemnastoletnią córkę.

- Shellie Ann. - Carver upił łyk mrożonej herbaty. Miał taką minę, jakby swoją uwagę nie chciał dać nic do zrozumienia poza tym, że zna imię córki Lauren. - Ja mam trzech chłopaków.

- Panie Carver... Uśmiechnął się szeroko.

- Jeremy.

- Na pewno chciałbyś już wrócić do domu. Czym mogę ci służyć?

Carver odstawił szklankę i potarł brodę.

- Przeprowadziłem małe dochodzenie na temat twojego szwagra. Nie obrazisz się, jeśli będę mówił zupełnie otwarcie?

- Skądże.

- To dupek. Takie jest moje prywatne zdanie. Richard uśmiechnął się.

- Nie tylko twoje.

- Miałaś rację. Policja go nie szuka. Twoja żona nie zgłosiła zaginięcia.

- Nie brała nawet pod uwagę takiej możliwości.

- Dlaczego?

- Ją musiałbyś o to zapytać. Przypuszczam, że się tą całą sprawą nie przejmuję.

- To by znaczyło, że się do niej odzywałam, prosząc jednocześnie o milczenie?

- Z tego co wiem, raczej nie.

- Dziwne. - Carver sięgnął ponownie po herbatę, upił duży haust i zapatrzył się w trawnik. - Ładne kwiaty. W Waszyngtonie od połowy czerwca nic mi nie chce kwitnąć. Cholerne upały.

Richard usiłował nie okazywać zniecierpliwienia.

- Moja żona ma rękę do kwiatów.

- Widzę, widzę. Wprawdzie policja w ogóle nie interesuje się Dciem Granthamem - podjął znowu - ale senator owszem. Poczulby się znacznie lepiej, gdyby mógł z nim pogadać.

- Tłumaczyłem ci już, Dce Grantham nie ma ze mną nic wspólnego. Zniknął jeszcze przed moim ślubem z Lauren i prawie się nie znamy. - Richard mówił wyważonym, opanowanym, obojętnym tonem. Nuta obrony wzmogłaby tylko podejrzliwość Carvera. - Wcale mnie zresztą nie zdziwiło, że przepadł jak kamień w wodę. Wiedziałem, że prędzej czy później źle skończy.

- Taka osobowość?

- Tak. Jest lekkomyślny i nieobliczalny. Sam zresztą mogłes się zorientować, skoro się nim interesujesz.

- Ludzie go jednak lubią - zauważył Carver. - Dlaczego?

- Ma charyzmę.

Carver machnął gwałtownie ręką.

- W Waszyngtonie co drugi ma charyzmę. - Zmrużył oczy. Było w nim coś bezwzględne, czego nie należało lekceważyć, i Richard świetnie zdawał sobie z tego sprawę. - Myślisz, że nie żyje?

- Pytasz o moje prywatne zdanie? Tak.

- Jak sądzisz, co mogło się stać?

- Nie mam pojęcia. Znajac Ike'a, moge przypuszczać, że wsiadł na jacht przyjaciela, wypłynął w morze i wypadł za burtę w czasie sztormu, bo zapomniał wcześniej sprawdzić prognozę pogody.

- Dlaczego w takim razie przyjaciel nikogo nie zawiadomił?

Richard wzruszył ramionami.

- Moze Dce pożyczyl łódź, nie pytając o pozwolenie, albo przyjaciel się nie przejął, kiedy Ike nie wrócił? Kto to może wiedzieć? To tylko jedna z możliwości. Moze zasłabł na jakimś pustkowiu i ktoś znajdzie jego szczątki za dwadzieścia lat.

Carver dopił herbatę.

- Nie podejrzewasz, że go zamordowano? Richard zdawał sobie sprawę, że to nie jest towarzyska

pogawędka, tylko przesłuchanie, które Carver prowadzi na zlecenie swojego szefa. W grę wchodziło dobre imię senatora Bowlera. Richard sączył swoją herbatę. Miał ochotę dosypać trzecią łyżeczkę cukru, ale nie chciał wyjść na człowieka łasego na słodycze. Takie drobiazgi miały swoje znaczenie i nie należało ich lekceważyć.

- Skądże - powiedział gładko.

- Też tak myślę. Inaczej już dawno byś zawiadomił policję i domagał się, żeby znaleźli sukinsyna, który to zrobił.

- Właśnie.

Jeremy Carver podniósł się.

- Dzięki za herbatę. Pozwolisz, że przejdę się po ogrodach, zanim wyjdę?

- Czuj się jak u siebie. Szkoda, że nie ma mojej żony, mogłaby cię oprowadzić. Moze ja...

- Nie fatyguj się. Zabrałem ci już dość czasu. Pomóc ci posprzątać?

Richard poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

- Dziękuję. Poradzę sobie.

Kiedy Jeremy Carver skończył obchód ogrodów i jego samochód wreszcie odjechał, Richarda zdjęły gwałtowne

mdłości. Wiedział, że nie zdąży do domu. Pobiegł do herbarium, upadł na klęczki i zwrócił całą zawartość żołądka. Krztusił się jeszcze długo, mimo że wymiotował już wszystko. Całe szczęście, że Lauren tego nie widziała.

Wyczerpany, na miękkich nogach wrócił na taras, wysypał resztki lodu ze swojej szklanki i natarł nim twarz oraz pierś.

„Przysięgam, pierwaj cię zabiję, nim pozwolę, żebyś ożenił się z moją siostrą”.

Słowa Ike'a. Miał szansę. I nie wykorzystał jej.

Richard powinien skupić się na wyznaczonym celu.

Nie wolno mu myśleć o przeszłości, o tym, co się dokonało. Kim jest ta Haviland? Czego chce? Dlaczego pojawiła się właśnie teraz?

Po południu zrobiło się ciepło jak w lecie. Andrew zamiast się czymś zająć, usiadł na ganku ze szklanką lemoniady, którą przygotował wspólnie z Dolly. Przytargała z domu całą armię lalek i pluszowych zwierzaków, i teraz dopominała się, żeby ojciec bawił się z nią w dom. Miał być tatusiem.

Gdyby mogli go teraz zobaczyć chłopacy, z którymi bił się w barach Gloucesteru, pomyślał, kiedy córka pobiegła do swojego pokoju po ostatniego, absolutnie niezbędnego zwierzaka. Reszta pluszowej rodziny leżała na kocu w kącie ganku.

Tessa Haviland nie poprosiła, żeby pomógł jej wstawić szybę w piwnicznym oknie. Najlepiej robi, jeśli nie będzie za wiele myślał o niej i jej niebieskich oczach, jej dłoniach artystki i o tym, dlaczego nie chciała się przyznać, co widziała ostatniej nocy.

Po drugiej stronie drogi Atlantyk zapraszał do wypraw. Andrew zaczął już uczyć Dolly żeglować. Mawiano, że wszyscy Thorne'owie mieli miłość do morza we krwi, lecz Andrew miał co do tego wątpliwości. Byli na to zbyt pragmatyczni. Dla większości z nich morze stanowiło po prostu źródło utrzymania. Zнали je, jak człowiek zna uprawiany przez siebie fach.

Może z wyjątkiem Jedidiaha. Ten miał romantyczną duszę. Oskarżył powszechnie szanowanego obywatela o znęcanie się nad żoną, tchórzostwo i brak honoru. Był outsiderem w Beaconbythe-Sea, nuworyszem, który właśnie kupił niewielką posiadłość na cyplu za wsią. Kimkolwiek był, Jedidiah na pewno kochał morze. Andrew był o tym przekonany.

Na drodze przed domem zatrzymał się kremowy mercedes Lauren Montague. Jeździła jednym ze starszych modeli, zapewne dlatego, by unikać ostentacji. Wsiadła z samochodu i pomachała na powitanie, osłaniając oczy przed słońcem.

Andrew podniósł się i stanął na stopniach ganku. Nie poprosił Lauren, by usiadła. Nie było to uprzejme zachowanie, lecz Lauren nie należała do osób, których wizyty chętnie przyjmował.

Odgarnęła włosy za uszy i ruszyła w jego stronę, omijając leżący na ścieżce rower Dolly.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zajmę ci tylko chwilę.

- Nic się nie stało. O co chodzi? Lauren uśmiechnęła się.

- Wspaniały dzień, prawda?

- Pewnie tak - mruknął.

- Och, Andrew, jesteś takim purytaninem. Nic cię nie cieszy.

Bzdury, pomyślał, zżymając się w duchu.

- Przywiozłam prezent dla Dolly - oznajmiła Lauren radośnie.

Zatrzymała się przed gankiem, niepewna czy ma wejść dalej. Zawsze pogodna, pełna energii, szczególnie po zniknięciu Dce'a, nigdy w rozmowach z Andrew nie wspominała brata. Wiedział, że nadal boleśnie przeżywa udział Dce'a w śmierci Joanny. W końcu to on ją namówił na wyprawę na Mount McKinley. Miała wyrzuty sumienia, że nie zaingerowała w porę i nie powstrzymała Dce'a, zanim zdążył zarazić Joannę pasją do chodzenia po górach. Od czasu do czasu obdarowywała Dolly, jakby prezenty miały zapewnić jej odpuszczenie grzechów.

Andrew powoli zszedł na ścieżkę. Zaczynał się odpływ, w powietrzu niósł się krzyk mew żerujących nad falami.

- Pobiegła na górę po pluszowego zwierzaka.

- Przekaż jej to. - Wyjęła ze skórzanej torby torebkę z przezroczystej folii. Andrew mógł dojrzeć w niej białe i paśowe kwiaty przybrane różową wstążką. - To wianek z kwiatów z mojego ogrodu. Sama go zrobiłam. Miałam nastrój do prac ręcznych. DoUy może go nosić jako koronę. Wiem, że je lubi.

Podawała wianek i szybko się cofnęła, jakby peszyła ją zbyt bliskość z Andrew.

- Dam jej to, kiedy zejdzie na dół.

- Nie każ jej pisać kartek z podziękowaniami, jak ostatnim razem. To było bardzo ujmujące, ale ona ma dopiero sześć lat. Trudno oczekiwać, żeby wysyłała grzecznościowe bileciki.

Ostatnim razem Dolly różowym żelowym pisakiem nagryzmoliła „Dziękuję”, zaś pod spodem umieściła fantazyjny wizerunek kota. Spędziła wiele czasu nad tym rysunkiem.

Andrew wzruszył ramionami.

- Dobrze. Nie będzie bilecików.

Uśmiechnęła się nieznacznie. Stanowiła dziwną mieszankę kontrastów. Elegancka i subtelna, a zarazem często zupełnie pozbawiona taktu. Andrew miał nadzieję, że potrzeba obdarowywania Dolly wkrótce umrze śmiercią naturalną.

Lauren przestąpiła z nogi na nogę i zerknęła na ulicę. Dama, która obraca się w elitarnych kręgach i przywykła do towarzystwa bogatych, wpływowych i dobrze urodzonych ludzi, wobec Andrew i jego sześciolatniej córki czuła się kompletnie bezradna.

- Pojadę już.

- Dziękuję, że wpadłaś. Znowu się uśmiechnęła.

- Zawsze uprzejmy.

Odjechała. Andrew dał wianek Dolly, kiedy wróciła zadyszana na ganek z pluszowym wielorybem. Na moment zaparło jej dech z zachwytu. Kiedy wspólnie otworzyli torebkę, natychmiast włożyła kwiecisty krążek na głowę.

- Jestem królową, tato!

Zaśmiał się, napełnił szklanki lemoniadą i zaczęli bawić się zwierzakami. Dolly próbowała rozkazywać ojcu, chciała, żeby dokładnie wypełniał każde jej polecenie, ale Andrew nie dał się aż tak zawojować.

Po powrocie do domu Lauren zawołała pudle i biegła z nimi tak długo po ogrodzie, aż zaczęła spływać potem. Osunęła się zdyszana na tekową ławkę wśród rododendronów i białych bzów. Psy, równie zdyszane, rozciągnęły się w cieniu pod drzewem. Najchętniej położyłaby się obok nich i pogrzyła w całkowitej nieświadomości.

Nie wiedziała, gdzie jest Richard, ale niewiele ją to obchodziło.

Sama musiała się uporać ze swoim problemem.

W pobliżu cicho szemrała fontanna, nowy dodatek do ogrodów. Kiedy indziej odgłos spływającej po kamieniach wody zapewne miałby kojące działanie, ale dzisiaj wzmagał tylko irytację Lauren. Dzisiaj wszystko ją denerwowało.

Kiedy po pożegnaniu z Andrew wsiadła do samochodu, musiała zawrócić koło wozowni Jedidiaha Thorne'a. Na podjeździe dostrzegła hondę Tessy Haviland. Sama Tessa gdzieś się skryła. Prawdopodobnie obliczała, co się jej bardziej opłaca: sprzedać wozownię w takim stanie, w jakim ją otrzymała, czy przeprowadzić najpierw remont. Lauren nie sprawiało to najmniejszej różnicy, i tak była zdecydowana kupić ten budynek, niezależnie w jakim będzie stanie. Gdyby jednak Tessa zdecydowała się zatrzymać tę nędzną szopę dla siebie, oznaczałoby to katastrofę.

Lauren otarła spływające po policzkach, piekące łzy. Gdyby tylko mogła cofnąć czas o rok i pojawić się w wozowni wcześniej... gdyby zdołała powstrzymać Andrew Thorne'a przed zamordowaniem jej brata.

To musiał być wypadek, działanie w afekcie, wybuch niepohamowanej furii. Boże drogi, czy można go winić? Sam wychowywał małą Dolly, w wieku trzech lat osieroconą przez

matkę. To Dce zaraził Joannę, zaatakował ją niczym wirus, który niszczy system obronny i instynkt samozachowawczy.

Co Andrew teraz myśli, kiedy w sąsiedztwie pojawiła się Tessa?

Dzisiaj po południu, kiedy zawiozła wianek, nie zrobił na Lauren wrażenia szczególnie przejętego. Chociaż wychował się w bandyckiej dzielnicy, był stoikiem. Raz tylko stracił panowanie nad sobą, lecz skutki okazały się tragiczne.

Lauren poderwała się z ławki. Przez całe życie znajdowała się w cieniu brata, robiła wszystko, by go chronić, naprawiała, o ile mogła, jego błędy, przeproszała za lekkomyślne posunięcia, powściągała impulsywność.

Zawsze pilnowała, by swoją nieobliczalnością nie krzywdził innych. Wiedziała, że się nie zmieni, dlatego trwała przy bracie. Kochała go i tęskniła za nim, chociaż był niemożliwy, chociaż myśl o tym, co stało się przed rokiem, przejmowała ją zgrozą.

Jej cudowny, jej okropny brat nie żył.

Powinna myśleć o żywych, o tym, by postępować zgodnie z sumieniem, robić to, co słuszne.

Marcy, jej ulubiona pudlica, przewróciła się na grzbiet. Lauren ze śmiechem uklękła koło suki i zaczęła drapać ją po brzuchu.

- Wiesz, czego mi trzeba, prawda? - Poczowała bicie psiego serca i ogarnęła ją fala zbawczej energii. Marcy dwa lata temu potrafił samochód, a jednak przeżyła.

- Daj mi trochę swojego szczęścia, maleńka. Nie bądź skapiradłem. Będzie mi bardzo potrzebne.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tessa siedziała na stopniach kuchennych. Po wstawieniu szyby bolał ją kark i plecy. Musiała pracować przykucnięta, ale udało się jej naprawić okno bez schodzenia do piwnicy. W tym czasie ułożyła sobie plan działania: pojedzie wieczorem do Bostonu i wróci rano do Beaconu z Susanna. Razem przeszukają piwnicę. Susannie szkielet niestraszny, a jeśli się okaże, że to tylko wytwór imaginali Tessy, nie rozgada wszystkim dookoła. Prowadziła w końcu rozliczenia finansowe na zlecenie różnych firm i potrafiła dochować sekretu.

To dobry plan. Rozsądny.

Tessa wcale nie uważała się za tchórze, mimo że nie chciała sama zejść do piwnicy. W końcu tam była, i to w nocy, czyż nie? Teraz musiała potwierdzić swoje znalezisko. Jeśli popełniono zbrodnię, choćby i sto lat temu, dobrze będzie mieć świadka.

Zobaczyła przeciskającą się między krzewami Dolly i wstała ze stopni.

- Mogę? - upewniła się mała, pozostając nadal, z formalnego punktu widzenia, na swoim terenie. - Harl mówi, że nie powinnam ci się naprzykrzać. Naprzykrzam ci się?

Tessa uśmiechnęła się.

- Królewna nikomu nie może się naprzykrzać. To po prostu niemożliwe.

Dolly wybuchnęła śmiechem, jakby Tessa powiedziała najśmieszniejszą rzecz w świecie. Obejrzała się za siebie i zawołała:

- Tato, ona mówi, że mogę! - Jednym skokiem znalazła się na podwórku wozowni. - On zaraz tu przyjdzie.

Tessa miała wrażenie, że Andrew i Harl nie zostawią Dolly ani na moment samej w towarzystwie nowej sąsiadki, dopóki się nie dowiedzą, co zdarzyło się minionej nocy. Nie dziwiło jej to.

- Przyniosłam Łatce trochę jedzenia. - Dolly wyciągnęła z kieszeni pognicioną torebkę z kocią karmą i wcisnęła Tessie do ręki. - To jej ulubione.

- Chcesz sama wsypać karmę do miseczki? Dolly rozpromieniła się.

- Mogę?

- Oczywiście. Tylko zachowuj się cichutko, żeby nie wystraszyć mamy i małych. Poczekajmy na twojego tatę.

Dolly przewróciła oczami.

- On musi iść naokoło. Mówi, że jest za duży, żeby przeciskać się przez krzaki. Myślisz, że naprawdę jest za duży?

Tessa zaśmiała się.

- Nie, Dolly. Nie myślę, że jest za duży. W tej samej chwili pojawił się Andrew.

- Za duży na co?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Tessa zobaczyła wesołe iskierki w oczach Thorne'a.

- Dolly chciałaby nakarmić Łatkę. Zgodziłam się, ale lepiej nie wchodźmy całą gromadą. Wasza kotka jest płochliwym stworzeniem.

- Ja zaczekam. Idźcie we dwie.

Dolly nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuciła się do drzwi, zamarła i przesadnie cicho zaczęła posuwać się na palcach. Odwróciła się jeszcze do Tessy i zupełnie bez związku szepnęła:

- Ząb mi się rusza, widzisz? Harl mówi, że wyrwie go kombinerkami.

- I uwierzyłaś mu? Dolly pokiwała głową.

- Uhu.

- Dolly - włączył się Andrew - przecież wiesz, że Harl żartuje sobie z siebie.

Dolly zachichotała, a Tessa pomyślała, że mała ma dość niezwykłego opiekuna. Oraz milkliwego ojca. I było jej z tym, zdaje się, zupełnie dobrze. Równie mocno przejmowała się

perspektywą usuwania zęba za pomocą kombinerek, jak Harl miał zamiar wprowadzać swoją obietnicę w czyn.

Otworzyła torebkę i wsypała karmę do nowej miski.

Łatka wysunęła się ze śpiwora, przeciągnęła i podeszła do swojej pani. Dolly pogłaskała ją po grzbiecie.

- Dobrze się czujesz, Łateczko? - zagadnęła pieśczośliwie. - Masz śliczne dzieci. Będiesz dla nich dobra, prawda? Wiem, że będziesz. - Podniosła pełne zachwyty spojrzenie na Tessę. - Łatka jest dobrą mamą, najlepszą, prawda?

Tessa nie była tego taka pewna, zważywszy, że kotka chciała rodzić w piwnicy. No tak, ale co ona wiedziała o kotach?

- Ma instynkt macierzyński.

- Co to jest instynkt?

- Instynkt to coś takiego, kiedy w głębi serca od razu się wie, co powinno się robić.

- Aha. - Dolly podniosła się, przez chwilę obserwowała jedzącą kotkę, potem spojrzała, nie zbliżając się, na cztery kociaki śpiące na śpiworze.

- Powinnyśmy zostawić je same - szepnęła, jakby Tessa o tym nie wiedziała.

Kiedy wybiegła na zewnątrz, Andrew od razu skinął na nią palcem.

- Idziemy, moja panno.

- Czy Tessa mogłaby przyjść do nas na kolację? Tessa zamrugła gwałtownie.

- Chciałabym wrócić na noc do Bostonu, Dolly. Tam mieszkam.

- Proszę!

Andrew oparł się o starą hondę i zaplótł ręce na piersi. Był wyraźnie odprężony, diabelnie pociągający i chyba odrobinę mniej podejrzliwy niż minionego wieczoru i podczas lunchu.

- Zjedz z nami, zanim ruszysz w drogę. Zapraszam.

- Dziękuję, ale...

- Po co jedziesz do Bostonu? - chciała wiedzieć Dolly. - Nie możesz zostać?

Andrew uśmiechnął się pod nosem.

- Dobrze pytanie, Dolly.

- Mam dużo pracy, a tutaj nie mogę nic zrobić. -Kłamstwo było tak oczywiste, że nie przekonało nawet Dolly Thome. Tessa westchnęła. - Wczorajsza przygoda z Łatką trochę dała mi się we znaki. Nie mam ochoty spędzać tu kolejnej nocy.

Dolly zmarszczyła czoło i zaraz się rozpogodziła. Klasnęła w dłonie.

- Ojejku! Kto by chciał spać tutaj? Tu są myszy. Harl tak mówi. - Podskoczyła i pociągnęła ojca za rękę, podniecona swoim pomysłem. - Tessa może przecież spać u nas, prawda, tatusiu?

Andrew pociągnął córkę za warkocz.

- Już jej to proponowałem, brzdącu.

Dolly przyskoczyła do Tessy. Kiedy ta sześciolatka zaczyna działać, człowiek musi mieć się na baczności, pomyślała. A ona nie dość, że kłamie jak najęta, to jeszcze zaczyna się jej podobać ojciec smarkatej.

- Nie wiem. Pozwól mi się zastanowić, dobrze?

Wtem, jak na zamówienie, na podjeździe pojawiła się znajoma brązowa furgonetka, rozstrzygając wszelkie wątpliwości

Tessa zaklęła pod nosem.

- O nie.

- Kto to?

- Mój ojciec i jego przyjaciel. Dolly zafrasowała się.

- A gdzie jest twoja mama?

- Słucham? Moja mama? - Poczowała się tak, jakby otrzymała cios w żołądek, ale spróbowała się uśmiechnąć. - W niebie.

- Umarła?

Tessa pamiętała, jak sama, mając sześć lat, zmagała się z problemem śmierci. Czasami zachowywała się tak, jakby śmierć

nie miała żadnego znaczenia, to znowu popadała w zadumę i snuła dziecięce fantazje. Skinęła głową, starając się dostosować do sposobu myślenia Dolly.

- Tak. Umarła, kiedy byłam małą dziewczynką.

- Jak moja mama.

- Bardzo chorowała, umarła na raka.

- Ojej.

- Dolly, musimy już iść. Tessa ma gości - powiedział Andrew łagodnie.

Dolly zaczęła beztrząsco skakać wokół podjazdu, jakby wymieniła właśnie z Tessą kilka uwag na temat polnych kwiatów.

Davey Ahearn wysiadł ze swojej rozklekotanej furgonetki, z fotela pasażera wygramolił się jego wieloletni przyjaciel. Ojciec chrzestny natychmiast zapalił papierosa.

Tessa pokręciła głową.

- Wykluczone. Na pewno nie będziesz palił w moim domu.

- Nawet nie powiesz dzień dobry, tylko od razu mnie sztorcujesz? Ty i twój ojciec jesteście z jednej sztancy. Przez całą drogę nie dał mi zapalić. Ale z was upierdliwce. - Rzucił papierosa na ziemię i wdeptał go w żwir. - Hm, nie zauważyłem tej małej;

Mała skłoniła majestatycznie głowę.

- Jestem królowa Dolly.

- Naprawdę? A ja jestem Davey Ahearn, człowiek do wszystkiego.

- Pójdziemy już. - Andrew spojrzał na Tessę. - Kolacja o szóstej. Przyjdźcie.

Daveyowi to wystarczyło. Tessa zauważyła, że za-strzygł uszami i zainteresowaniem przyjrzał się Andrew. Postanowiła nie przejmować się nim.

- Przynieść coś? Andrew pokręcił głową.

Powinna ich sobie przedstawić. Jeśliby tego nie zrobiła, pogorszyłaby tylko swoją sytuację. Zza furgonetki wyłonił się właśnie Jim Haviland.

- Tato, Davey, to Andrew Thorne i jego córka, królewna Dolly. Mieszkają w sąsiednim domu. Andrew, to mój ojciec, Jim Haviland i mój ojciec chrzestny, Davey Ahearn.

- Pan architekt? - zapytał Davey. Andrew skinął głową.

- Teraz częściej prowadzę budowy, niż projektuję. Mam firmę.

- Nie wyglądasz pan na takiego dupka jak większość architektów, z którymi pracowałem. - Nagle spojrzął na Dolly i zrobił się czerwony jak burak. - Przepraszam.

Jim Haviland w zamyśleniu taksował Andrew surowym spojrzeniem. Zawsze tak reagował, ilekroć Tessa przedstawiała mu jakiegoś mężczyznę, wszystko jedno, kim był ów nieszczęśnik.

- Miło mi pana poznać - powiedział Jim uprzejmym tonem i uznał, że zawarł znajomość.

Dolly zdążyła się już precyzyjnie między bzmami i wołała Harla, którego najwidoczniej chciała zaangażować w jakieś swoje sprawy. Andrew wycofał się pospiesznie na swoją stronę.

Tessa liczyła sekundy, kiedy Andrew znajdzie się poza zasięgiem słuchu. Wiedziała, że ojciec i Davey dopiero wtedy przemówią.

- No, powiedz teraz - zaczął Davey - wzięłaś tę stodołę zamiast gotówki, zanim sprawdziłaś, kto mieszka obok, czy potem?

- Davey, przysięgam ci, jeśli natychmiast nie przestaniesz się głupkowato uśmiechać, to...

- Słyszałem, że jego żona umarła kilka lat temu.

- Davey.

Ojciec trącił czubkiem buta jakiś kamyk na podjeździe.

- Kolacja, co?

- To zwykła uprzejmość. Kotka jego córki okociła się... - Tessa podniosła ręce w geście desperacji. - Chodźcie, pokaże wam dom i wszystko opowiem. A w ogóle skąd się tu wzięliście? Nie macie numeru mojej komórki? Mogliście zadzwonić.

Tym dwóm facetom nie przyszło nawet do głowy, że należałoby uprzedzić o wizycie. Ojciec omiół wozownię krytycznym spojrzeniem, ale usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, z marnym jednakowoż skutkiem.

Davey podniósł zgniecionego papierosa i zaniósł go do furgonetki.

- W pubie dzisiaj pustki, a dzień wyjątkowo ładny, więc postanowiliśmy z twoim ojcem przyjechać i przekonać się na własne oczy, jak to wygląda. - Kopnął stopień przed drzwiami kuchennymi, jakby chciał sprawdzić, czy się nie rozpadnie pod jego butem. - Trzyma się. Przynajmniej będę mógł wejść do środka, nie lądując na tyłku.

- Ten dom ma swój charakter, nie sądzicie? - Tessa starała się nie myśleć o minionej nocy. Nie miała zamiaru mówić ojcu i Daveyowi, co widziała, nie upewniwszy się wcześniej, że nie uległa omamom. Nie mogła dopuścić, żeby zeszli do piwnicy. - I jak pięknie jest położony. W powietrzu czuje się zapach oceanu.

- Smród śniętych ryb - powiedział Davey. Puściła mimo uszu jego komentarz.

- Wchodźcie, ale musicie zachowywać się cicho, żeby nie przstraszyć Łatki. To kotka Dolly. Dziś rano urodziła kocięta na moim śpiworze.

Ojciec wydał jakiś dziwny, gardłowy odgłos.

- Jezu Chryste miłosierny - jęknął i wszedł za córką i swoim najlepszym przyjacielem do kuchni.

Davey uśmiechnął się szeroko na widok kociej mamy i jej śpiących dzieci.

- A nie mówiłem, że to stodoła. Te małe są teraz rozkoszne, ale tylko poczekaj, jak będziesz miała pełno kocich gówień w całej kuchni. Wtedy przestaną być rozkoszne.

- Teraz też nie są wcale rozkoszne - zawyrokował Jim. - Nie wiem, co ludzie widzą w kotach.

- Przygotowałam w łazience pudełko wysłane ręcznikiem. Mam nadzieję, że Łatka przeniesie tam dzieci i zwolni moje łóżko. W domu będzie im lepiej niż na zewnątrz.

Tessa zaczęła oprowadzać obu panów. Sprawdzali rury, krany, instalację elektryczną, dyskutowali na temat ścian nośnych i działowych, naturalnie we wszystkim doszukując się problemów. Starła się nie zwracać ich uwagi na plamę w bawialni, ale Davey ją dostrzegł i rzucił Tessie spojrzenie, z którego mogła wywnioskować, że doszedł do tego samego wniosku co ona. Duchy, mordercy, przekłete, nawiedzone miejsce.

- Jak ci się spało ostatniej nocy? - zapytał ojciec.

- Dobrze.

- Tak?

- Tak.

- Bzdura. Myślałaś o duchach.

- Wiedziałaś?

- Ze tu straszy? Oczywiście, że wiedziałem. Twoja matka lubiła opowiadać różne mrożące krew w żyłach historie. Ten człowiek zamordował zdaje się jakiegoś sukinsyna, który znęcał się nad własną żoną. - Rozejrzał się po przestronnym, pustym pokoju i pokręcił z dezaprobatą głową. - Pomyślałem: chcesz mieszkać w nawiedzonym domu, twoja sprawa, ja nie będę się do tego mieszał. Poza tym nie dałaś mi nawet szansy, żebym mógł wyrazić swoją opinię.

- Nie wierzę w duchy - oznajmiła Tessa. Davey ryknął donośnym śmiechem.

- Założę się, że ostatniej nocy uwierzyłaś. - Jego wzrok padł na klapę. - Rany, nienawidzę takich zejść do piwnicy.

- Jest jeszcze jedno, od zewnątrz.

- No to chodźmy. Obejrzą rury.

Tessa poprowadziła ojca i Daveya do zewnętrznego zejścia, mówiąc sobie po drodze, że jeśli znajdą szkielet, to rozpęta się piekło, ale przynajmniej będzie wiedziała, że nic się jej nie przywidziało ostatniej nocy.

- Davey - zaczęła, otwierając niskie drzwi prowadzące do pralni i przepuszczając przodem swoich gości - od czterdziestu lat łazisz po różnych piwnicach. Natrafiłeś kiedyś na coś dziwnego?

- Mam jedną zasadę. Nie rozglądam się dookoła, interesują mnie wyłącznie rury i na nich się skupiam.

- Przeszedł przez pralnię i stanął na progu drugiego pomieszczenia, w którym nie było posadzki. - O cholera, nienawidzę piwnic z gołą ziemią.

- Pamiętaj, że to dziewiętnastowieczna wozownia. Nie powinieneś się dziwić, że ta piwnica wygląda tak, jak wygląda.

Davey skrzywił się.

- Może i nie powinienem.

- Przenieś tutaj kota, zamiast stawiać mu pudełka w łazience - poradził ojciec. - To jest dopiero pudło w sam raz dla niego.

- Tak się cieszę, tatusiu, że przyjechałeś. Tylko dlaczego tak długo zwlekałeś? Jestem tutaj już całe dwadzieścia cztery godziny.

Ojciec zignorował zaczepkę i stanął koło Daveya. W sączącym się przez naprawione okienko światło piwnica wyglądała prawie zwyczajnie.

- Czy ludzie zakopują różne rzeczy w piwnicach?

- Co? Myślisz o zwierzakach? Śmierdziałyby. Poczula, że żołądek wywraca się jej na drugą stronę, ale usiłowała niczego nie okazać po sobie. Nie była ekspertem w zakresie rozkładających się trupów i wołała nie rozpatrywać bliżej tego zagadnienia. Nie mogła go jednak zupełnie pominąć. Jeśli w piwnicy zakopano ciało, musiało mieć to miejsce w odległej

przeszłości. Na tyle odległej, że pozostał sam szkielet. Ojciec obserwował ją cały czas spod oka.

- Tessa?

- Zamyśliłam się. Przepraszam. Koło kłapy jest żarówka, ale nie musicie tam iść. Stąd wystarczająco dobrze widać rury.

Davey wyszczerzył zęby.

- Co, masz stracha? - Zawył niczym duch z marnego horroru i roześmiał się, zadowolony z własnego dowcipu. - Odpręż się. Widziałem już gorsze rzeczy.

Tessa stała w progu pralni, a obaj panowie ruszyli w głąb starej piwnicy. Zajęci oglądaniem rur i sprawdzaniem ich stanu nie patrzyli pod nogi. Przygryzła wargę i czekała. Czuła tylko nieznaczne wyrzuty sumienia, że ich nie uprzedziła, na co mogą natrafić. Jeśli nie widać szkieletu, to nie ma szkieletu. Proste.

- Te rury nawet ujdą - powiedział Davey. - Piwnica jest sucha, to dobry znak.

Gardło miała tak ściśnięte, że nie była w stanie wydobyć głosu. Zobaczyła siebie ostatniej nocy, jak się przewraca, jak dostrzega czaszkę, a potem przeraźliwie krzyczy.

Nie mogła tego wytrzymać. Mruknęła, że musi zaczerpnąć powietrza, i uciekła na górę.

Przy drzwiach zderzyła się z Andrew Thorne'em.

- Powoli. - Chwycił ją w pól. - Gdzie tak pędzisz? Zdusiła krzyk narastający w gardle. Miała ochotę wyrwać się i pobiec przed siebie, na plażę, rzucić się w fale, ochłonać w oceanie. Czuła się tak, jakby oplątywały ją pajęczyny. Nie mogła oddychać.

- Zaczęłam się dusić na dole. To chyba alergia na kurz - wymamrotała. - Już mi lepiej.

Usłyszała, że ojciec i Davey wracają z inspekcji. Cofnęła się o krok, uwalniając z uścisku Thorne'a. Przyglądał się jej tym swoim przenikliwym wzrokiem, jakby czytał w jej myślach i widział wyryty w pamięci obraz żółtawej czaszki, która poniewierała się w piwnicy.

- Przyszedłem przypomnieć ci, żebyś przed wyjazdem do Bostonu zostawiła nam klucze od wozowni. Ktoś musi doglądać kotów, kiedy cię nie będzie. - Mówił spokojnie, cicho, ale cały czas przyglądał się jej podejrzliwie spod na wpół przymkniętych powiek.

- Oczywiście. - Tak jakby nie mógł z łatwością wejść do wozowni, nie mając klucza.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Chyba tak. - Kilka razy wciągnęła powietrze przez nos dla potwierdzenia, że chodzi o kurz. - To jakaś reakcja alergiczna - powtórzyła.

Andrew nie odezwał się, wiedział jednak doskonale, a Tessa to wyczuła, że coś przed nim ukrywa. Zaś ona fundowała mu kolejne kłamstwo. Ale co tak naprawdę o nim wiedziała? Jeśli w piwnicy rzeczywiście były ludzkie szczątki, być może nie będzie to dla niego żadną nowiną. On, Harl. Powinna zachować ostrożność.

Davey i ojciec wyszli z piwnicy. Tessa poczuła, że pąsowieje. Andrew znowu był na jej podwórku, więc wyciągnęli swoje wnioski. Zawsze wszystko wiedzieli lepiej.

Andrew odszedł szybko, zachowując jednak pozory kurtuazji.

Tessa spojrzała na swoich troskliwych opiekunów. Z pewnością nie natknęli się na żaden szkielet. Gdyby tak się stało, coś przecież by powiedzieli. Uznała to za dobry znak.

- Napijcie się czegoś zimnego? - zapytała.

Przyniosła wodę mineralną, po czym całą trójką zeszli na dół, na plażę. Był odpływ, wiał łagodny wiatr. Spokojne, ciepłe popołudnie, idealna pora i pogoda na spacer brzegiem oceanu. Tessa z czułością spoglądała na dwóch najważniejszych mężczyzn w jej życiu, niezmiennie takich samych i absolutnie uczciwych. Dwóch samotników, dwóch przyjaciół na śmierć i życie, dwóch ciężko pracujących ludzi, którzy tak niewiele od niej żądali. Ojciec pragnął się doczekać wnuków i kibicować im w czasie rozgrywek baseballowych. Davey grałby z nimi,

uczyłby, jak trzymać kij, jak bronić bazy, tak jak uczył ją, kiedy była dzieckiem.

Problem w tym, że w jej życiu nie było mężczyzny. Ci, których spotykała, albo nie rozumieli Jima i Daveya, albo rozumieli ich aż za dobrze. Nie miała nic przeciwko małżeństwu, ale nie za wszelką cenę, tylko po to, żeby z kimś być. W pojedynkę też było jej zupełnie dobrze. Nie bała się samotności.

Dzieci - to już zupełnie inna sprawa. Była mała, kiedy zmarła jej matka i potem nie pojawił się już nikt, kto stałby się dla niej wzorem matczynej miłości. Nie ufała swojemu instynktowi macierzyńskiemu, nie była nawet pewna, czy go posiada.

- Powinnaś mi była powiedzieć wcześniej o tym domu - odezwał się ojciec. Davey szedł przodem, nad samą wodą, z rękami w kieszeniach.

Tessa pokiwała głową.

- Wiem - przyznała, spoglądając na człowieka, który od tyłu lat nigdy jej nie opuszczał. - Boisz się, że jeśli zatrzymam wozownię, to zapomnę o facetach?

Jim Haviland na swój uparty i staroświecki sposób trwał w przekonaniu, że jeśli kobieta kupuje sobie dom, nieruchomość, posiadłość, jakkolwiek to nazwać, deklaruje tym samym, że nie zamierza się wiązać na stałe z żadnym mężczyzną. Owszem, wdowa czy rozwódka może mieszkać na swoim, to Jim rozumiał, ale żeby wolna kobieta w ten sposób manifestowała swoją niezależność? Toż to rezygnacja, oddawanie szans walkowerem. Powtarzał jej to setki razy.

- Zapomnisz? Akurat. Widziałem tego Thorne'a. Tessa jęknęła.

- Tato, jeśli zatrzymam wozownię, to na pewno nie ze względu na sąsiedztwo.

Jim przez chwilę obserwował dwie mewy kołujące nad wodą, zanim odpowiedział:

- Posłuchaj, Tesso. Nie chcesz chyba skończyć jak ja, sama niby palec, albo jak Davey, któremu byłe żony nie dają spokoju, bo niezależnie od tego, ile by dał, ciągle mało im pieniędzy. Własny dom... no cóż, to wygląda tak, jakbyś mówiła, że rezygnujesz, nie dbasz o to, czy kogoś jeszcze spotkasz w życiu. Mężczyźni natychmiast wyczuwają takie rzeczy.

- Niemożliwe.

- Zapamiętaj sobie moje słowa. - Podniósł muszelkę i rzucił ją w fale. - Przypomnij sobie tego fiuta, z którym ostatnio się spotykałaś. Zostawił cię.

- Wcale mnie nie zostawił. Był bęcwałem. Szliśmy na lunch, a on otwierał gazetę i sprawdzał notowania giełdowe. Już nigdy nie zadam się z żadnym cholernym bankowcem.

Uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że nie zmieni sposobu myślenia ojca. Miał własne i dobrze ugruntowane zdanie o jej związkach z mężczyznami. Chodziło jednak o coś więcej niż staroświeckie poglądy Jima na temat małżeństwa i roli kobiety, ale nigdy nie poruszali tego tematu. Był zbyt bolesny i dla niej, i dla niego. Przerazało ją macierzyństwo, przerazała myśl, że może umrzeć młodo, osierocając dzieci, pozostawiając je na pastwę losu.

Davey odwrócił się, jakby wyczuł, o czym Tessa rozmawia z ojcem.

- Pewnego dnia trafimy obaj do domu starców i będziesz miała wreszcie święty spokój.

- Davey Aheara w domu starców? - zaśmiała się. - Wymień choć jeden w całym Bostonie, który by cię przyjął. Mowy nie ma. Do końca życia będziesz mieszkał na naszej ulicy, a potem pójdiesz prosto do nieba hydraulików.

Kiedy zawrócili, zobaczyła z daleka Andrew i Dolly. Rzucali freesby. Ponad szumem fal i krzykiem mew Tessa słyszała radosny śmiech Dolly. Wyobraziła sobie ich oboje za trzydzieści lat: dojrzałą kobietę i samotnego starzejącego się człowieka, który tak wiele poświęcił dla swojej córki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kolację jedli na ganku od strony ogrodu. Hamburgery z grilla, sałatka, na deser arbuz i ciastka z wiejskiej cukierni. Zaraz po kolacji Tessa miała zamiar wracać do Bostonu. Chciała przemyśleć w spokoju wydarzenia ostatniej doby. Uspokoił ją trochę fakt, że ojciec i Davey nie znaleźli nic podejrzanego w piwnicy. Była coraz bardziej skłonna uznać, że czaszka była tylko przywidzeniem.

Harl nie usiadł z nimi do stołu, tylko zabrał swój talerz do warsztatu, mruknąwszy, że ma pilną pracę. Dolly nachyliła się do Tessy i szepnęła:

- Harl zawsze ma pilną pracę. Tessa roześmiała się. Skądś to znała.

- To chyba dobrze - powiedziała. - Przynajmniej nigdy się nie nudzi.

- Chubby myśli, że on jest groźnym bandytą i napada na banki.

- Kto?

Andrew postawił na stole półmisek z hamburgerami i powiedział:

- Chubby to wymyślona przyjaciółka Dolly. Czasami mówi rzeczy, których nie powinna mówić i Dolly ma z nią wtedy kłopoty.

- Harl był kiedyś policjantem - wyjaśniła Dolly. - Tyle razy mówiłam o tym Chubby, ale ona mnie wcale nie słucha.

Tessa doskonale rozumiała, jak ważną postacią może być wymyślona przyjaciółka. Przysłuchiwała się sprzeczce ojca i córki. Zaciekawiła ją postawa Andrew. Nie próbował tłumaczyć Dolly, że Chubby nie istnieje. Nie narzucał jej swojego sposobu myślenia, nie zmuszał autorytatywnie do określonego postrzegania świata, dlatego dziewczynka mogła swobodnie rozwijać swoją wyobraźnię. Co niekoniecznie musiało się podobać jej nauczycielom. Tessę ujęło to, że Andrew i Dolly

rozmawiają ze sobą tak otwarcie. Nigdy nie lubiła mężczyzn, którzy chcieli rządzić wszystkimi wokół, dominować nad otoczeniem. Co innego ci, którzy mieli własne zdanie. Potrafiła odróżnić facetów o dyktatorskich zapędach od tych, którzy byli wierni swoim poglądom.

Podziwiała Andrew za jego takt i szacunek wobec własnego dziecka, a jednocześnie obserwowała, jak się porusza, jak zmieniają się jego oczy.

Tę swoją nadwrażliwość, wyostrzone postrzeganie przypisała niewyspaniu i nieodległym przeżyciom, w głębi duszy wiedziała jednak, że to coś więcej niż tylko brak snu: I chciała, żeby tak było.

Rozmawiali o remoncie wozowni, o zimowych sztormach, o tym, jakie rośliny powinna posadzić w swoim ogrodzie, a nawet o węzach. Miła, swobodna wymiana zdań, przyprawiana od czasu do czasu bystrymi i zabawnymi komentarzami Dolly.

Na koniec mała uparła się, że pokaże Tessie swój domek na drzewie.

- Idźcie - powiedział Andrew. - Ja tymczasem sprzątnę ze stołu.

Dolly pobiegła w podskokach w stronę dębu i wspięła się po drabince, a Tessa ruszyła za nią bardziej statecznym krokiem.

Precyzyjna konstrukcja domku świadczyła, że budował go ktoś, dla kogo stolarka i ciesielka nie mają tajemnic. Wnętrze było w sam raz na wzrost Dolly i Tessa musiała się schylić w pół, żeby nie uderzyć głową w sufit.

Obejrzała serwis do herbaty ozdobiony rysunkami z „Kubusia Puchatka”, pluszowe zwierzaki, grę elektroniczną, która kiedyś zamokła na deszczu i przestała działać, wreszcie czerwony kapelusz strażacki.

- Bardzo mi się tu podoba - pochwaliła. Dolly westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Przydałyby się okna.

Tessa wybuchnęła śmiechem na tę fachową krytykę.

- Zamierzasz być architektem, jak tata?
- Nie. Ja jestem królowną.
- Nie zaszkodziłoby, gdyby królowna miała jakieś praktyczne zajęcia.

- Będą królowną astronautką.

Dolly, kiedy już pokazała Tessie domek, zaciągnęła ją do swojego pokoju.

- Uważaj, moja córka potrafi zameczyć człowieka - ostrzegł Andrew, na którego natknęły się w kuchni.

Dolly pobiegła na górę pięknie wykończonymi schodami z ciemnego drewna. Dom urządzone był gustownie i bezpretensjonalnie, część wewnątrz Andrew jeszcze remontował.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Dolly zaprezentowała Tessie wszystkie swoje korony, następnie przyszła kolej na lalki i pluszowe zwierzaki. W końcu wskazała stojące koło łóżka zdjęcie.

- To moja mama.

Z fotografii zrobionej na nadmorskich skałach spoglądała uśmiechnięta kobieta. Dolly miała jej Miedziano-rude włosy i ten sam wykrój oczu.

- Wygląda jak najlepsza mama na świecie - powiedziała Tessa.

- Śniła mi się dzisiaj.

- Tak?

Dolly skinęła głową.

- Aha - przytaknęła rzeczowo i zeskoczyła z łóżka. - A ty masz córkę?

- Nie, nie mam dzieci. Męża też nie mam.

- Będiesz mieszkała w wozowni?

- Może tak, ale nie od razu. Najpierw trzeba zrobić remont, wszystko przygotować. Mam małe mieszkanie w Bostonie.

- Mogłabym kiedyś do ciebie przyjechać?

- Nie wiem, może kiedyś - mruknęła pod nosem zakłopotana. Nie mogła niczego obiecywać Dolly, ale nie chciała też sprawić

jej przykrości. To właśnie zbijało ją z tropu w dzieciach. Nigdy nie wiedziała, czego się po nich spodziewać, i dlatego czuła się w ich towarzystwie spięta. Z drugiej strony kontakt z Dolly sprawiał jej przyjemność, w jakiś przedziwny sposób stymulował ją. I pomyśleć, że onieśmielał ją sześćioletni brzdąc. Szybko zmieniła temat.

- Mogę chodzić pieszo do pracy. To bardzo miłe.

- Ja chodzę pieszo do szkoły.

Dolly paplała o wszystkim, co jej ślina na język przyniosła, posłuszna własnej logice. W pewnym momencie zainteresowała ją coś za oknem. Stała bliżej i zasłoniła usta dłońmi w teatralnym geście.

- Harl robi mi okno!

Wybiegła z pokoju jak wywiana wiatrem. Kiedy Tessa odwróciła się, zobaczyła stojącego w progu Andrew i poczuła, że oblewają ją fale gorąca. Dolly zdążyła już zniknąć.

- Od dawna tu jesteś? - zapytała Tessa.

- Na tyle długo, że słyszałem, jak cię zamęcza.

- Potrafię się bronić. Patrzę na Dolly i uświadamiam sobie, jaka byłam mała, kiedy umarła moja matka. Chorowała na białaczkę. - Tessa podniosła kilka pluszowych zwierzaków poniewierających się na podłodze i posadziła je na łóżku. - Ale po co ja to mówię? Moja historia nie ma żadnego związku z tobą i twoją córką.

Andrew wszedł do pokoju i stanął przy oknie. Było już ciemno i chyba nie interesowały go poczynania Harla, wycinającego okno w domku Dolly. Był pochłonięty własnymi myślami.

- Joanna zginęła, robiąc to, co kochała, ale i tak nie mogłem się pogodzić z jej odejściem.

- Trudno pogodzić się z nagłą śmiercią.

- Trudno pogodzić się ze śmiercią, kiedy przychodzi tak wcześnie. Mam nadzieję, że Dolly zrozumie to lepiej, kiedy będzie starsza.

- Ona już to rozumie. - Tessa uśmiechnęła się. - Chubby jej pomaga.

Andrew zaśmiał się.

- Gdyby Chubby nie była tylko wymysłem, wiedziałbym, jak się z tą pannicą rozprawić.

Tessa podniosła szmacianą lalkę i posadziła ją na półce.

- Bardzo mądry pomysł. Też powinnam wymyślić sobie przyjaciółkę. Pisałaby listy do klientów, którzy nie płacą mi za projekty, i mówiła rzeczy, których nie mam odwagi powiedzieć.

- Uważaj, życzenia czasami się spełniają.

- No właśnie. Zawsze chciałam mieć domek nad oceanem i popatrz, jak się to skończyło.

Andrew obserwował, jak Tessa krząta się po dziecinnym pokoju.

- Dce potrafi być bardzo przekonujący.

- Nie żartuj. Kilka razy przejeżdżałam koło wozowni i nawet nie zwróciłam na nią uwagi. Nigdy moja stopa nie postąpiła w środku.

Andrew uśmiechnął się.

- Czy to przykład twórczego ryzyka?

- Raczej głupoty.

Zatrzymała się na środku pokoju z opuszczonymi rękami, nie bardzo mając czym się zająć. Poczuli się trochę dziwnie. Musiała przejść koło Andrew, który znowu stał w progu oparty o futrynę.

- Nie lubisz Dce'a? - zapytała.

- Nie.

- Urodził się tutaj, w Beaconie...

- A ja w nędznej dzielnicy Gloucesteru. To dwa różne światy.

Tessa poczuła, że chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Andrew.

- Harl też pochodzi z Gloucesteru?

- Mieszkał na tej samej ulicy co moi rodzice. To prości, ciężko pracujący ludzie, tylko świat wokół nich okazał się skomplikowany jak wszyscy diabli. Starali się, jak mogli.

- Żyją jeszcze?

- Tak. Jakiś czas temu przeprowadzili się do trochę lepszej dzielnicy.

- Harl był policjantem, tak?

- Detektywem policyjnym. - Andrew wyprostował się. - Pewnego dnia uznał jednak, że już się dość napatrzył. Najpierw Wietnam, potem praca w policji... Odszedł. Zapuścił włosy, brodę i zamienił swoje hobby w stałe zajęcie. Po śmierci Joanny zamieszkałem tutaj, a on przerobił sobie szopę w ogrodzie na pracownię i mieszkanie.

- Harl jest twoim kuzynem. Nie masz braci ani siostr?

Andrew uśmiechnął się prawie niezauważalnie.

- A gdzie tam. Mam trzech braci i siostrę, wszyscy mieszkają w Gloucesterze.

- I wszyscy są tacy twardzi jak ty?

- Jeszcze gorsi.

Zaśmiała się, ale widziała, że Andrew uważnie śledzi każdą jej reakcję. Nigdy nikt nie obserwował jej z taką uwagą. Pod tym przenikliwym spojrzeniem poczuła się nieswojo, dlatego zajęła się oglądaniem jakiejś dziecięcej książeczki.

- Chodźmy na dół. Zaniesiemy trochę ciastek Dolly i Harlowi. Zobaczymy, czy uda nam się wywabić ich z domku. Już zupełnie ciemno.

Nie ruszył się ze swojego miejsca przy drzwiach. Kiedy przechodziła koło niego, objął ją w pól, jakby czekał na ten moment. Nie myśląc, co robi, położyła mu dłoń na piersi. Zobaczyła błysk w jego oczach. Mogłaby tak stać w nieskończoność, zapomnieć o czaszkach w piwnicy, o cholernym Dce'u, o swoich nieudolnych kłamstwach.

- Tesso, wszystko w porządku? - zapytał Andrew miękko.

- Tak.

Poczuła jego usta na wargach. Pocałunek przyszedł w sposób naturalny, jakby był im obojgu przeznaczony. Zamknęła oczy, poddając się pieśczości. Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Przytuliła się do niego całym ciałem, rozchyliła wargi, zsunęła dłonie na jego biodra.

W tej chwili myślała tylko o tym, żeby stopić się w jedność z Andrew, zatracić się bez reszty w uścisku.

Kiedy przygarnął ją jeszcze mocniej, kiedy poczuła, jak bardzo jest podniecony, nagle się ocknęła, otworzyła oczy i odsunęła o krok.

Patrzył na nią pociemniałymi oczami, jakby chciał jej powiedzieć, żeby nie nabierała się na jego stoicyzm. Dotarł do krawędzi i teraz mierzył ją uważnym spojrzeniem, dociekał jej reakcji.

Musnął koniuszkami palców jej piersi, dotknął warg z takim wyrazem twarzy, jakby zrobił coś złego, czego teraz żałował.

- Jesteś niebezpieczną kobietą.
- Do tego trzeba dwojga. Przytaknął skinieniem głowy.
- To nie powinno się powtórzyć - dodała pośpiesznie.
- Tu się mylisz. - Z wesołym błyskiem w oku pocałował ją jeszcze raz. - Ciastka?
- Tak - odpowiedziała, uśmiechając się szeroko. - Idziemy na ciastka.

Wróciła jeszcze do wozowni, żeby zamknąć drzwi na klucz. Wizyta ojca i Daveya, kolacja u Andrew, czaszka w piwnicy czy też jej brak, wszystko to sprawiło, że zapomniała zamknąć swój nowy dom. Nie miało to żadnego znaczenia. Każdy, kto chciałby dostać się do środka, wszedłby bez trudu, wystarczyła odrobina wyobraźni i trochę wysiłku, ale Tessa wołała nie ułatwiać zadania potencjalnemu włamywaczowi.

Skoro już tu była, postanowiła zajrzeć do kotki i jej dzieci. Wsunęła się cicho do kuchni, zapalając jedynie lampę na ganku, która dawała wystarczająco dużo światła, by Tessa mogła rzucić okiem na kocią rodzinę.

Łatka spojrzała na nią spod przymkniętych powiek, po kociemu wyniośle, ale się nie ruszyła. Tessa przypomniała sobie błysk jej złocistych oczu ostatniej nocy w piwnicy i przeszedł ją dreszcz.

W wozowni panowała głucha cisza, a przy każdym ruchu Tessy na ścianach kładły się długie cienie. Powrót do Bostonu to rozsądna decyzja, powtórzyła sobie po raz nie wiadomo który. Najpewniej nic szczególnego nie ujrzała w piwnicy, w dodatku całowała się z Andrew Thorne'em. Musi w spokoju pozbierać myśli. Być może nie nadaje się na właścicielkę wiejskiego domu.

Odkręciła kran w kuchni i spryskała twarz zimną wodą. Wciągnęła głęboko powietrze. To, co się stało przed kilkunastu minutami, mogła złożyć na karb okoliczności: sielski majowy wieczór, przyjemna pogawędka, wino... Uległa nastrojowi chwili. Tylko się całować!

Westchnęła ciężko. W pracy zwykle ślepo ufała swojemu instynktowi, ale ten, niestety, często zawodził, kiedy chodziło o mężczyzn. Projektując, zdawała się na wyczucie, które zawdzięczała wykształceniu i wieloletniemu doświadczeniu. Dzięki niemu odniosła zawodowy sukces.

Nie mogła tego samego powiedzieć o swoich związkach z mężczyznami. Owszem, miała za sobą kilka udanych, ale i zupełnie poronionych, szczególnie w ostatnich latach. W końcu przestała się przejmować, w każdym razie tak się jej wydawało. Ojciec i Davey twierdzili, że z jednej skrajności wpadła w drugą.

Osuszyła twarz papierowym ręcznikiem, dotknęła ust i uśmiechnęła się. To był pocałunek!

Zerknęła jeszcze raz na kotkę.

- Mogłabyś przynajmniej zobaczyć, czy pudełko w łazience będzie ci odpowiadać.

Może noc spędzona samotnie w wozowni zainspiruje Łatkę do przeprowadzki, pomyślała Tessa z nadzieją. Zamierzała

wrócić do Beaconu rano i sprawdzić, co właściwie widziała w piwnicy. Wreszcie ustalili: szkielet czy przywidzenie. Nie będzie tchórzem.

Zgasiła światło i zamknęła drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie przyjąć propozycji Andrew i nie przenocować w pokoju gościnnym. Nie, nie popełni tego błędu. Musi wrócić do domu i w znajomym otoczeniu przetrwać wszystkie wydarzenia ostatniej doby, zamiast przysparzać sobie nowych spraw do przemyślenia.

Zerwał się silny wiatr. Nawet w ciemnościach widziała kłoniące się w podmuchach gałęzie bzu obsypane jasnioletowymi kwiatami. Otrząsnęła się i zeskoczyła ze stopni. Czas ruszać w drogę.

Usłyszała głośne skrzypnięcie, potem łoskot.

Serce podeszło jej do gardła. Stała bez ruchu. Do diabła, co to było?

Drzwi prowadzące do piwnicy. Trochę się uspokoiła. Widocznie Davey nie zamknął ich dobrze i wiatr musiał nimi szarpnąć. Zasułka trzymała się na słowo honoru. Przecież od lat nikt nie używał tego wejścia i nikt o nie dbał.

Może jednak się myli?

Wróciła do kuchni, wyjęła bzy z kamionkowego wazonu, wylała wodę do zlewu i tak uzbrojona wyszła na zewnątrz, rozglądając się uważnie wokół.

Nie mógł być to duch. Duchy nie muszą używać żadnych cholernych drzwi, tylko przenikają przez ściany, ponieważ są duchami.

Wsiadła do samochodu, by mieć przygotowaną drogę ucieczki. Położyła kamionkowy wazon na miejscu dla pasażera i wyjęła telefon komórkowy. Może powinna skończyć z wahaniem i zawiadomić policję? Powie im, że poprzedniej nocy miała wrażenie, że znalazła szkielet, a dzisiaj słyszała jakiś łoskot. Niech z łaski swojej przyjadą i sprawdzą.

Przez bzy precisiął się Harley Beckett. Tessa rzuciła komórkę i chwyciła wazon.

- To ciebie słyszałam? - Wysiadła z samochodu z komórką w jednej dłoni, a wazonem w drugiej. - Miałaś piekielne szczęście, że nie rzuciłam w ciebie tą skorupą.

- Wchodź do środka - zakomenderował nie znoszącym sprzeciwu tonem i wskazał drzwi kuchenne. - Szybko.

Tessa nie ruszyła się.

- Dlaczego? Co się tu dzieje?

- Słyszałem coś. Wchodź do kuchni. Nie zamierzam z tobą dyskutować.

- To drzwi do piwnicy. Zasułka jest zepsuta. Harl zacisnął zęby.

- W takim razie zaczekaj w samochodzie.

- Nie. Pójdę z tobą. - Ruszyła przed siebie, ale zatrzymała się po kilku krokach i wcisnęła Harlowi wazon do ręki. - Trzymaj, gliiniarzu. Będziesz potrafił zrobić z niego lepszy użytek niż ja.

- Wolałbym trzydziestkę ósemkę.

Wziął jednak wazon i nie sprzecząc się już z Tessą, poszedł przodem.

Tak jak Tessa przypuszczała, drzwi do piwnicy stały otworem. Kiedy podeszli, wiatr znowu nimi targnął i ponownie rozległ się głuchy łoskot.

- Ojciec i Davey musieli zostawić je otwarte - powiedziała Tessa.

Harl spojrział na nią bez słowa. Miał teraz taką minę, że na pewno nie znalazłby się na liście osób, którym powierzyłaby opiekę nad swoimi dziećmi. Wyciągnął rękę w jej stronę.

- Daj mi swoją komórkę.

- Po co? Chcesz zadzwonić na policję?

- HaviLand, jesteś wyjątkowo upierdliwa. Nie wiem, co Andrew w tobie widzi. Daj mi swoją komórkę.

Podawała mu telefon.

- Co słyszałeś? Myślisz, że ktoś się zakradł do mojej piwnicy?
 - Wzięła głęboki oddech. Milkliwość potomków Jedidiaha Thorne'a każdego mogłaby wyprowadzić z równowagi. -
 Zaczynam wierzyć, że ten dom jest naprawdę nawiedzony.

- Dzwonię do Andrew. - Harl wystukał numer tym, co zostało z jego prawego kciuka. - Thorne? Harl. Nic się jej nie stało. Zaraz przyjdziemy. - Rozłączył się i oddał telefon Tessie. -
 Idziemy.

- Mowy nie ma. Wracam do Bostonu. To był wiatr. Teraz już rozumiem, po kim Dolly ma taką bujną wyobraźnię. Po tobie i po swoim ojcu.

Harl wyrwał jej telefon z ręki i nacisnął redial.

- Kłóci się. Wracam do domu i zostanę z Dolly, a ty przyjdź tutaj i weź ją za dupę. Ja nie potrafię sobie z nią poradzić.

Tessa wysunęła brodę.

- Zanim on tutaj przyjdzie, mnie już nie będzie. Harl wiedział, że z nią nie wygra. Musiałby użyć siły, żeby ją zatrzymać.

- Świetnie. Jedź. Proszę bardzo.

- Nie spodziewasz się chyba, że będę tutaj tkwiła z dwoma obcymi facetami...

- Nie. Jeśli uważasz, że jesteś taka mądra, to wsiadaj do samochodu i ruszaj.

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. Nie miał ani dość cierpliwości, ani delikatności, żeby odwozić ją od powziętego zamiaru, jednak zbyt łatwo zrezygnował.

- Co zamierzasz zrobić?

- Mam komodę do wykończenia. Muszę pociągnąć ją politurą.

Oboje wiedzieli, że to oczywiste kłamstwo. Nic nie mogła zrobić. Nie zamierzała mówić o szkielecie. Nie tutaj, nie teraz. Może to Harla słyszała, jak próbował wśliznąć się do piwnicy? Nie mógł wiedzieć, że wróciła do wozowni. Co właściwie wiedziała o Harleyu Becketcie? Czy też Andrew Thornie?

Każde wyjście było złe.

Zresztą Andrew i Harl też nie mieli powodów jej ufać, tym bardziej że ich okłamała, co stawiało ją w dość dwuznaczną sytuację. Co o niej pomyślał, jeśli odjedzie, a Harl zejdzie do piwnicy i znajdzie szkielet?

Przynajmniej miała świadomość, że pocałunek z Andrew nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

- Zadzwoń do mnie, gdyby się okazało, że ktoś kręci się wokół wozowni. - Podała Harlowi numer swojego telefonu komórkowego i ruszyła w kierunku samochodu. Obejrzała się jeszcze. - To tylko wiatr.

- Tesso, nie zabrałaś komórki - powiedział Harl spokojnie.

- Niech to diabli. Oddaj mi ją.

Zwrócił jej telefon, patrzył na nią przez chwilę bez słowa, wreszcie zapytał:

- Wazon też chcesz?

- Nie. Możesz go sobie zatrzymać.

Telefon zadzwonił i Tessa usłyszała głos Andrew:

- Jedź ostrożnie.

Niemal się poddała, ale nie mogła przecież powiedzieć mu o szkielecie. Nie tutaj, na mrocznym podejździe, nie w obecności bacznie ją obserwującego i pełnego podejrzeń Harleya Becketta. Nie mogła zawierzyć instynktowi, nie tym razem. Musiała przemyśleć całą sprawę.

- Dobrze.

- Nie mogę zostawić Dolly samej, tym bardziej jeśli ktoś rzeczywiście kręcił się koło twojego domu. Czy Harl zamierza zadzwonić na policję?

Odsunęła telefon od ucha i spytała:

- Harl, chcesz zadzwonić na policję?

- Po co? Żeby przyjechali naprawić zasuwkę przy drzwiach do piwnicy?

- Mówi, że nie zadzwoni - powtórzyła do telefonu, idąc w kierunku samochodu.

- Tesso, co zdarzyło się ostatniej nocy? - zapytał Andrew.

- Węże. - Odchrząknęła. Postanowiła trzymać się swojej wersji, chociaż doskonale wiedziała, że Andrew ani przez chwilę nie wierzył w wymyśloną na poczekaniu historyjkę o lęku przed gadami. Powie mu prawdę, ale jeszcze nie teraz, nie w tej chwili. - Przestraszyłam się, że w piwnicy mogą być węże.

Usiadła za kierownicą, wyjęła kluczyki i dopiero za trzecim razem trafiła do stacyjki. Andrew dalej był przy telefonie.

- Tessa.

Nerwowo zwilżyła wargi.

- Wrócę rano. Milczenie.

- Powiedz Dolly, że Łatka zjadła całą karmę, którą jej przyniosła.

Rozłączyła się i wycofała samochód z podjazdu, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim Andrew i Harl zdecydują się przeszukać jej piwnicę. Czy będą czekać do rana?

A może wiedzą o szkielecie i będą chcieli go usunąć? Może znalazł się w piwnicy za ich sprawą? Może tylko jeden z nich wiedział o całej sprawie, a drugi nie miał o niczym najmniejszego pojęcia?

Ponosiła ją fantazja. Gdyby wiedzieli o szkielecie, nie dopytywaliby się z takim uporem, dlaczego krzyczała ostatniej nocy. Pozbyliby się jej z miasteczka szybko i cicho, a potem usunęli nieszczęsne szczątki z piwnicy. Andrew nie zapraszałaby jej na kolację. I na pewno by nie całował.

A jeśli mieli wobec niej jakieś podejrzenia?

Czuła kompletny zamęt w głowie, nie potrafiła myśleć trzeźwo.

Zatrzymała się na ruchliwej stacji benzynowej przy głównej drodze i zadzwoniła do Susanny Galway.

- Susanna? Dzięki Bogu, że jesteś w domu.

- A gdzie miałabym być w sobotni wieczór? Co u ciebie? Jak twój nawiedzony dom?

Tessa nie była w stanie wykrztusić słowa. Wydała z siebie jakiś dziwny, nieartykułowany dźwięk.

- Tessa?

- Znalazłam szkielet w piwnicy - wyrzuciła z siebie jednym tchem i po drugiej stronie usłyszała głośne westchnienie Susanny.

- Niech to cholera. Ludzki?

- Tak mi się wydaje.

- Tak ci się wydaje? Co mówi policja?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie zawiadomiłam ich.

- 911. Łatwo zapamiętać.

- Susi...

- Wyłączam się. Zadzwoń do mnie, jak już ich zawiadomisz.

- Są pewne komplikacje...

- Duchy, wiem. Nie jesteś pewna, co naprawdę widziałaś. Nie chcesz, by ludzie pomyśleli, że jesteś trochę rąbnięta i zwidują ci się szkielety w piwnicach. Tak, to są rzeczywiście pewne komplikacje. Do tego jeszcze dochodzi bogaty i też szurnięty ekscentryk, który przepadł rok temu i nie wiadomo, gdzie się teraz obraca. Dzwoń na policję.

Odwiesiła słuchawkę.

Tessa wpatrywała się przez chwilę w swój głuchy aparat, po czym wystukała numer policji.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Szkielet? Cholera, szkoda, że nie zakopany skarb.

Nikt jakoś nie docenił wątpliwego żartu Harla. Andrew spiorunował kuzyna wściekłym spojrzeniem. Zebrali się na ganku w domu Thorne'a: Andrew, Harl, Tessa i dwóch policjantów.

Tessa nie wyglądała na specjalnie skruszoną. W końcu zrobiła to, co powinna była zrobić od razu, czyli zadzwoniła na policję i pojawiła się u Andrew, zanim on i Harl zdążyli przeszukać piwnicę wozowni.

Harl nie próbował nawet ukrywać stojącej na ganku łopaty oraz latarki.

- Idź z nimi - zwrócił się do Andrew. - Ja zostanę z Dolly. Mam na swoim koncie podobne znaleziska i nie jestem ciekaw kolejnych szkieletów.

Dwaj policjanci z posterunku w Beaconbythe-Sea już ich przepytali na okoliczność trzaskających na wietrze drzwi od piwnicy. Harl ograniczył się do suchych faktów i nie wysnuwał żadnych domysłów ani nie budował hipotez. Usłyszał hałas, poszedł do wozowni, spotkał Tessę, zobaczył otwarte, szarpane wiatrem drzwi prowadzące do piwnicy. To wszystko.

Andrew nie miał nic do powiedzenia. Nie słyszał łomotu, ale zauważył Harla wychodzącego ze swojej pracowni. Zamienili kilka słów, po czym Andrew czekał na powrót kuzyna na ganku od strony ogrodu, gotów dzwonić na policję, gdyby zaistniała taka potrzeba.

- Nie mogłem zostawić córki samej - wyjaśnił, nie patrząc na Tessę.

Ani on, ani Harl nie wspomnieli o jej przeraźliwych krzykach poprzedniej nocy, o wężach i duchach.

Tessa poprowadziła policjantów do wozowni ścieżką wzdłuż żywopłotu z bżów. Andrew trzymał się kilka kroków z tyłu. Szkielet. Na miłość boską, szkielet!

- Jak udało się pani usnąć ostatniej nocy po znalezieniu ludzkich szczątków w swojej piwnicy? - zapytał starszy z policjantów. Nazywał się Paul AWarez i cieszył się dobrą opinią nawet u niezwykle ostrego w sądach Harla.

- Nie udało mi się. Wcale nie spałam - przyznała Tessa.

- Powiedziała pani sobie, że to duch?

- Nie wiem, co zobaczyłam. Nadal nie mam pewności, czy mi się nie przywidziało. Być może. Mam nadzieję, że tak było.

Nawet teraz nie chciała uwierzyć w realność swojego znaleziska. Andrew mógł to zrozumieć. Oczywiście mogą coś dostrzec w mroku, lecz umysł nie chce tego przyjąć do wiadomości, tym bardziej gdy rzecz dzieje się w nawiedzonym domu, poprzednio należącym do ekscentryka, który zniknął Bóg wie gdzie.

- Spójrzmy, co tam mamy.

Paul AWarez szedł na dół pierwszy. Za nim szedł młodszy policjant, Mike O'Toole, błady jak ściana, z taką miną, jakby naprawdę wierzył w duchy. Andrew zatrzymał się w przejściu prowadzącym z pralni do starej piwnicy, zaś Tessa postąpiła kilka kroków w głąb pomieszczenia. Była zdenerwowana, ale usiłowała zachować spokój. Skrzyżowała ręce na piersiach i wskazała głową, gdzie szukać:

- W kącie, pod ramą tego starego łóżka.

Andrew omiótł wzrokiem wewnątrz: rury kanalizacyjne, instalacja centralnego ogrzewania, stary piec, mnóstwo rupieci. Z wozowni Jeda można było zrobić wspaniałą wiejską siedzibę, oczywiście pod warunkiem, że włoży się w nią ogromne pieniądze.

Co Dce myślał, przepisując nieruchomość na Tessę? Miał wiele wad, ale nie był zdaniem Andrew człowiekiem, który grzebałby ludzkie szczątki w piwnicach. Sam też raczej nie skończyłby w taki sposób. Nie zasługiwał na taki los.

Jeśli jednak był to Dce, trudno przypuszczać, by pogrzebał się sam.

Andrew otrząsnął się na tę myśl i wynikające z niej implikacje. Trochę się zagalopował.

Może Tessę poniosła wyobraźnia. Gdyby mu powiedziała, przyszedłby tutaj z nią i sprawdził, co widziała.

OToole sięgnął po stare grabie i pedantycznie przegarnął nimi ziemię. Tessa spojrzała na Andrew, potem na policjanta.

- Nie ma jej - powiedziała pełnym napięcia głosem. - Byłam zupełnie pewna.

Postąpiła jeszcze kilka kroków w głąb pomieszczenia i zaczęła się rozglądać. Andrew nie spuszczał z niej wzroku. Była opanowana i zdziwiona, że nic nie znaleźli. AWarez i OToole omiatali teraz całe wnętrza latarkami, metr po metrze.

Nie było szkieletu. Żadnych czaszek, kości. Nic. Kompletnie nic.

- Może ktoś ją zabrał - powiedziała Tessa. - Może ten ktoś narobił hałasu, gdy uciekał.

Policjanci nie wydawali się przekonani.

- To pusty, stary, zrujnowany dom o złej sławie. Spędzała w nim pani pierwszą noc w niezbyt przyjemnych warunkach... - AWarez wzruszył ramionami. Jest pani pewna, że widziała ludzką czaszkę?

Tessa westchnęła.

- Owszem.

- Ale to nie oznacza wcale, że czaszka tu była.

- Ma pan rację. Dlatego tak długo zwlekałam, zanim do was zadzwoniłam. Bałam się, że to tylko omamy. Zważywszy na okoliczności...

Przeszli do pralni. O'Toole'owi wróciły kolory, minę też miał już pewniejszą.

- Nic więcej nie możemy zrobić - powiedział Alvarez. - Przykro mi. Jeśli coś się zdarzy, proszę nas natychmiast zawiadomić.

- Oczywiście. Dziękuję.

Kiedy wrócili do domu Andrew, Harl nadal siedział na ganku, a łopata i motyka stały obok. Andrew zrozumiał, że jego kuzyn nie ma szczególnego zaufania do policji i postanowił sam przeszukać piwnicę.

Tessa, blada i nadal zdenerwowana, pożegnała policjantów. Kiedy Alvarez i O'Toole odjechali, powiedziała, nie patrząc na Andrew:

- Powinam wracać do Bostonu.

- Nie tak szybko. - Andrew odsunął krzesło przy stole na ganku. Harl przyniósł dwa piwa. - Siadaj.

Harl uważnie obserwował Tesse, która miała taką minę, jakby chciała zwiać, gdzie pieprz rośnie. Wreszcie mruknął:

- Na twoim miejscu bym się nie kłócił. Widziałem już u niego to spojrzenie, na jakieś dwie sekundy przed tym, zanim zdzielił pewnego faceta butelką po piwie w głowę. Pięć szwów.

Andrew spojrział wściekle na kuzyna.

- Harl.

- Przecież tak było.

- Było inaczej. Nikt nie zakładał mu pięciu szwów, a poza tym działałem w obronie własnej.

Harl wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie.

Tessa jęknęła cicho i usiadła sztywno na samym brzeżku krzesła ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, gotowa w każdej chwili zerwać się i zwiać. Utkwiła spojrzenie swoich jasnyniebieskich oczu w Andrew.

- Wiem, że powinam była wcześniej wspomnieć o szkielecie - bąknęła.

- A owszem, owszem - przytaknął Harl.

- Dlaczego milczałaś? - zapytał Andrew.

- Bo zamierzałam upewnić się, co właściwie widziałam. Nie chciałam robić zamieszania ani wyjść na idiotkę, gdyby okazało się, że w piwnicy nic nie ma. Kiedy mój ojciec i Davey nic nie zauważyli, postanowiłam wrócić tu rano z przyjaciółką i razem

z nią zejść do piwnicy. Zwlekałam - oznajmiła, patrząc Andrew prosto w oczy.

- Co teraz?

Wzruszyła ramionami pełnym zmęczenia i zniechęcenia ruchem.

- Co teraz? Nie wiem. Jest bardziej prawdopodobne, że nic nie widziałam, niż to, że ktoś zakradł się do mojej piwnicy, kiedy byłam u was na kolacji, i zabrał ludzkie szczątki. A hałas, który słyszeliśmy, to pewnie tylko drzwi targane wiatrem. Takie wytłumaczenie wydaje się proste i logiczne.

Harl prychnął.

- Gdybyś powiedziała wcześniej...

- Ale nie powiedziałam.

Andrew słuchał tej wymiany zdań oparty o poręcz ganku. Był zły na siebie i na Tessę, ale powściągnął gniew. Należało skupić się na problemie, zostawiając pretensje na później.

- Podejrzewałaś, że ja albo Harl mamy z tym coś wspólnego?

- Miałam setki rozmaitych powodów, żeby milczeć, i wszystkie wydawały mi się równie sensowne. Nie powiedziałam wam, stało się, trudno. Nie odwrócę tego. Teraz myślę, że powinnam była zaprowadzić was wczoraj wieczorem do piwnicy, żebyście potwierdzili, co widziałam. A przynajmniej zawiadomić policję.

Harl gwałtownie się podniósł, chwytając łopatę i motykę.

- Do diabła z tym wszystkim. Co się stało, to się nie odstanie. Rano sam przeszukam piwnicę. Andrew?

- Dolly ma spędzić cały dzień u koleżanki. Będę wolny.

- Tessa?

Przełknęła z wysiłkiem ślinę i zwilżyła wargi. Na pozór zdawała się spokojna, ale Andrew domyślał się, co musi czuć.

- Mogę wrócić wczesnym rankiem...

- W takim stanie nie powinnaś prowadzić - powiedział Harl spokojnie. - Przenocuj w pokoju gościnnym. Andrew nie trzyma

kościotrupów w szafach, możesz mi wierzyć. - Uśmiechną się szeroko. - Sprawdziłem.

- Nie chodzi o...

- Wszystko jedno. Zostań.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Tessa podskoczyła spłoszona nagłym hałasem. Andrew wiedział, że ostatnie dwadzieścia cztery godziny dały się jej mocno we znaki. Patrzył na nią i zastanawiał się, co zobaczyła w piwnicy, czy też wydawało się jej, że zobaczyła.

Chciał ją zrozumieć, ale nie mógł. Był wściekły jak wszyscy diabli, ale wypominanie jej, że zachowała się bezsensownie, o czym sama doskonale wiedziała, zaprowadziłoby ich donikąd. Czynienie wyrzutów nie poprawiłoby mu z pewnością nastroju, a Tessa i tak już miała wystarczająco zwarzony humor.

- Próbowałam sobie tłumaczyć, że to szkielet jakiegoś dziewiętnastowiecznego koniokrada - powiedziała, nie patrząc na Andrew. - Kiedy w czasie lunchu wspomniałeś, że Jedidiah nie powrócił z morza, pomyślałam, że jednak nie utonął i że to jego kości.

- Jesteś pewna, że to były ludzkie szczątki? Skinęła głową.

- Uczyłam się anatomii w szkole plastycznej.

- Myślałaś, że to duchy płatają głupie figle?

- Mogło się tak zdarzyć. Może duch, który mieszka w wozowni, mami ludzi i zaczynają zwidywać się im kości, czaszki, trupy.

- Nie wierzysz przecież w duchy.

- Wierzę w to, co widziałam. Wszystko jedno, czy to była sprawka duchów, halucynacja czy prawdziwe ludzkie szczątki. To nie ma najmniejszego znaczenia. Widziałam, co widziałam. Cokolwiek to było.

- Co byś zrobiła, gdyby policja znalazła jednak szkielet?

Tessa uśmiechnęła się blado.

- Zemdlałabym.

- Bzdura. Nie zemdlądaś wczoraj wieczorem, kiedy omal nie przewróciłaś się o czaszkę, a było ciemno i byłaś sama w piwnicy.

- Powiedzmy, że chciałam, by znaleźli szkielet, i jednocześnie bałam się, że go nie znajdą, a ja wyjdę na histeryczkę albo paranoiczkę. Z drugiej strony powinnam się cieszyć, że w piwnicy jednak nic nie ma. - Upiła łyk piwa i wstała. - Muszę już jechać.

- Jestem innego zdania. - Andrew wskazał stojącą na stole butelkę. - Zawiadomię drogówkę, żeby cię zatrzymali, bo prowadzisz po alkoholu.

- Wypiłam zaledwie dwa łyki!

- Zobacz. - Andrew podniósł butelkę pod światło i Tessa ze zdziwieniem zobaczyła, że opróżniła ją niemal do końca.

W innych okolicznościach jedno piwo nie stanowiłoby żadnego problemu, ale dzisiaj była zupełnie wyczerpana. Osiągnęła punkt krytyczny i wiedziała o tym.

- Niech to diabli. Wasza kotka nadal okupuje moje łóżko. Chyba będę musiała pożyczyć od ciebie kilka koców i prześpić się w samochodzie.

- Przecież mówiłem ci, że możesz nocować w pokoju gościnnym - powtórzył Andrew nie wiadomo po raz który.

Patrzyła na niego nieruchomym, niemal zimnym wzrokiem.

- Podtrzymujesz zaproszenie?

Przypomniał sobie dotknięcie jej ciała. Był ciekaw, czy Tessa teraz właśnie o tym myśli, czy też nadal uporczywie zastanawia się nad nieistniejącym lub zaginionym szkieletem.

- Tak, ale koniec z kłamstwami.

- Jeśli nie uwierzyłeś w moją historię z węzami, dlaczego akurat wierzysz, że widziałam ludzki szkielet w piwnicy?

- Tessa.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nie mogła pokazać, że się go boi, a szczególnie jego reakcji. Nie chciała też okazywać skruchy za przemilczenie nocnego znaleziska.

- Zrobiłam to, co uznałam za najrozsądniejsze. Wiem, że żałujesz tego pocałunku. Pewnie myślisz, że powinnam była postawić sprawę jasno, zanim posunęliśmy się tak daleko. Uznajmy sprawę za niebyłą. To był tylko incydent.

Popełniła błąd. Dopiero teraz się zorientowała, ale było już za późno. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- To nie był żaden incydent, w każdym razie nie dla mnie. - Mówił cicho, ze śmiertelną powagą. Z trudem panował na swoim głosem. Zaczął całować Tessę. Nie był w stanie ani wyjaśnić ogarniającej go fali pożądania, ani jej zaprzeczyć. Niebezpieczny stan.

- Mógłby cię wziąć tu i teraz, rozumiesz? Skinęła głową.

- Tak.

Położyła mu dłonie na nadgarstkach, ale zamiast odepchnąć jego ręce, pozwoliła, by wsunął je pod bluzkę, aż poczuła palce na piersiach.

- Nie wiesz, co robisz - wychrypiał.

- Wiem.

Tym razem to ona poszukała jego ust. Miał ochotę wziąć ją na ręce i zanieść na górę, ale opanował się w ostatniej chwili. Odsunął się o krok.

- Przygotuję pokój gościnny.

Poprawiła bluzkę i przeczesała włosy palcami.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Uśmiechnął się nieznacznie.

- Jestem pewien, że doskonały.

Jezu Chryste.

Lauren weszła do gabinetu Richarda i naląła sobie szklaneczkę szkockiej. Bez wody, bez lodu.

Najchętniej napiłaby się prosto z karafki, ale w każdej chwili mógł pojawić się mąż.

Już powinien być. Jedli dzisiaj kolację u przyjaciół. Ona wyszła wcześniej, tłumacząc się bólem głowy i wróciła do domu swoim samochodem. Richard miał wrócić swoim.

Wszystko starannie zaplanowała, nie przewidziała tylko, że Tessa wróci do wozowni.

Kilka kropli whisky prysnęło jej na rękę. Lauren drżała na całym ciele, nie mogła nad tym zapanować. Podniosła szklankę do ust i dzwoniąc zębami o szkło, wychyliła całą zawartość jednym haustem. Poczowała rozgrzewające ciepło w żołądku.

Dce.

Miała ochotę wykrzyczeć na głos jego imię.

Miała ochotę szlochać, walić pięściami w ścianę, tłuc szklanki, przewracać meble. Jej brat nie żył.

Modliła się, błagała Boga, żeby nie była to prawda, żeby się myliła.

Leżał w czarnej plastikowej torbie w bagażniku jej samochodu.

Jej brat.

Martwy.

Wiedziała o tym od dnia, kiedy powiedział jej, że wybiera się do wozowni i wróci niebawem.

Ponownie naląła whisky do szklanki i opadła na fotel, rozlewając kilka kolejnych kropli alkoholu. Starła je czubkami palców, po czym oblizwała. Ciągle pachniały rękawiczkami chirurgicznymi.

Jej brat, martwy, w piwnicy wozowni.

Aż do dzisiejszego wieczoru nie miała pewności. Domyślała się... wiedziała. To jednak nie to samo. Teraz zyskała potwierdzenie.

- Lauren?

Głos Richarda przeszył ją niby rozgrzane do białości żelazo. Wcisnęła się głębiej w fotel. Najchętniej zapadłaby się pod podłogę, przeniknęła jakimś sposobem przez dywan, szczeliny w parkiecie z drewna wiśniowego, do przyziemia, gdzie leżałaby w mroku, bez ruchu, dopóki śmierć by się o nią nie upomniała. Nikt nawet nie zauważyłby, że zniknęła. Nikogo nie obchodziła jej osoba.

- Lauren, nie śpisz jeszcze?

Słyszała jego kroki w holu. Wyprostowała się, niepewna czy Richard nie poczuje od niej woni zatęchłej piwnicy, odoru śmierci.

Pojawił się w progu.

- Tu jesteś. Słyszałaś już, kochanie? Nie chciałem, żeby ta wiadomość dotarła do ciebie pod moją nieobecność...

- Co miałam słyszeć? - zapytała ironicznym tonem. Po kilku kolejnych łykach whisky dłonie przestały jej drżeć.

Richard podszedł do niej. Na jego twarzy malowało się zafrasowanie i współczucie. Wyjął jej szklankę z ręki, jakby obawiał się, że jej nie utrzyma, kiedy usłyszysz ową niezwykłą wiadomość.

- Kiedy wracałem do domu, zadzwonili do mnie z posterunku. Policja była w wozowni.

- C... co?

- Tessa Haviland twierdzi, że znalazła w piwnicy ludzki szkielet.

Krew uderzyła jej do głowy, a pokój zawirował przed oczami. Richard, delikatny jak nigdy, ujął jej dłonie. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a zwymiotuje.

- O czym ty mówisz?

- To jakiś absurd. Sam Paul AWarez jest tego zdania. Nic nie znaleźli, ale chciał, żebyś wiedziała. Trudno powiedzieć, co tej kobiecie roi się w głowie.

- Co może się jej roić?

- Nic. Jestem tego pewien. Policja też tak uważa.

- Ike nie mógł się jej nachwalić...

- Wiem, wiem. Musiało się jej coś przywidzieć. Kładźmy się spać, dobrze? Spróbujemy jakoś zaradzić twojej migrenie.

- Och, Richardzie, tak bardzo cię kocham. Wiesz o tym? Miałam wielkie szczęście, że wreszcie cię spotkałam. To najwspanialsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Czuła się idiotycznie. Upiła się kilkoma łykami szkockiej.

- Będziesz się dzisiaj ze mną kochał?

- Oczywiście, najdroższa. Zachichotała.

- Najdroższa... jak to staroświecko brzmi. Pociągnął ją delikatnie, a kiedy wstała z fotela, poprowadził na górę.

Kiedy skończyli się kochać, włożył szlafrok, stanął w oknie i zapatrzył się na skąpane w księżycowej poświacie ogrody.

Pudle spały na białym szezlongu. Mógłby teraz otworzyć okno i wyrzucić je, jednego po drugim.

Seks go uspokoił. Mógł się teraz skupić, mógł myśleć jasno.

Lauren zasnęła.

Podrapała go prawie do krwi. Nigdy jeszcze nie kochali się w taki sposób, z takim zapamiętaniem. Lauren nie miała żadnych zahamowań, była niemal lubieżna w swoich pieszczotach. Reagował w podobny sposób, rozkoszując się swoją władzą nad żoną.

Tak, z Lauren mógł sobie poradzić.

Martwiła go Tessa Haviland.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tessa poczuła, że ktoś ją obserwuje. Przewróciła się w szerokim podwójnym łóżku i znalazła się oko w oko z białoczarnym pluszowym kotem, którego tuliła w ramionach Dolly Thorne.

Mała zaśmiała się.

- To Kitty. Dostałam ją, jak miałam trzy lata. Dolly dawno już musiała wstać, bo była całkiem rozbudzona, ale miała jeszcze na sobie piżamę w koty i potargane włosy. I była bez korony.

- Tata nie kazał cię budzić.

- Już nie śpię - wychrypiała Tessa, zerkając na budzik przy łóżku. Siódma. Nie tak tragicznie, ale była wykończona. Całą noc rzucała się niespokojnie, śniła o szkieletach i pocałunkach, kotach w śpiworze, mężczyznach i włamywaczach. Nie chciała być niemiła dla Dolly. - Dzień dobry - powiedziała uprzejmie.

- Pobawisz się ze mną zwierzątkami?

- Najpierw muszę napić się kawy, zgoda? Twój tata już wstał?

- Uhu. Bierze teraz prysznic.

Tessa wolała o tym nie myśleć, ale zanim twardy rozkaz zdołał dotrzeć do zaspanego mózgu, pojawił się w nim obraz nagiego, gibkiego ciała Andrew pod strumieniem wody.

Obudziła się zaledwie pół minuty temu i już chodziły jej po głowie dziwne myśli. Jeśli nie weźmie się w garść, dzisiejszy dzień będzie równie burzliwy jak wczorajszy.

I tak zapewne będzie, swój przyjazd zapowiedziała przecież Susanna Galway. Tessa dzwoniła do niej wieczorem.

- Gliny nie lubią, jak im znikają ciała - stwierdziła Susi ze znanstwem. - Oczywiście woleliby uznać, że nic nie widziałas.

Tessa też nie była zachwycona myślą o znikających ciałach. Zajął ją Dolly.

- Pozwól, niech się obudzę i pozbieram, a potem zobaczymy, co dalej.

Dolly przyjęła słowa Tessy jako zapewnienie, że będą się bawiły zwierzakami. Wybiegła z pokoju w podskokach, tupiąc bosymi stopami o dywan.

Tessa odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku w czerwonym T-shircie Red Soksów i flanelowych bokserkach, które służyły jej za strój nocny. Z trudem się budziła.

Okna przytulnego pokoju gościnnego wychodziły na ocean, a stara tapeta w kwiaty świadczyła, że Andrew nie przeprowadził tu jeszcze remontu. Białe zasłony falowały łagodnie w powiewie rześkiej porannej bryzy.

Tessa siedziała przez chwilę bez ruchu, wsłuchując się w szum fal i wyobrażając sobie, że razem z Andrew Thorne' em kładzie nowe tapety w tym pokoju.

- Niech to diabli - mruknęła, odganiając natrętny obraz.

Z holu na parterze dochodziły strzępy rozmowy ojca i córki, tak zwyczajne i naturalne, że Tessa na chwilę wstrzymała oddech.

Andrew i Dolly stanowili rodzinę, a ona powinna skupić się na własnych sprawach i nie wtrącać się w ich życie, które budowali sobie od lat.

A jednak, myślała, jak na kogoś, kto nie ma żadnego doświadczenia z dziećmi, całkiem dobrze porozumiewała się z Dolly. Dziewczynka była pogodnym dzieckiem, zupełnie innym niż Tessa. Pamiętała, że zaraz po śmierci matki stała nieznośna. Pyskata, nieposłuszna i zbuntowana.

Umyła się w łazience Dolly, zadowolona, że nie musi korzystać z łazienki Andrew, używać jego mydła, wdychać pary po jego prysznicu. Wyjęła zabawki z wanny i wybrała sobie jadownicę różowy ręcznik z wielką żółtą rybą. Weszła pod prysznic i pomyślała, że Andrew, słysząc szum wody, wyobraża ją sobie teraz, jak ona wyobrażała go sobie przed chwilą.

To wszystko z winy przekłętego szkieletu. Ufała swojemu instynktowi w pracy, ale zawodził ją, kiedy szło o mężczyzn, a już na pewno, gdy chodziło o uczucia. Mogła pracować z

mężczyznami, dyskutować z nimi o polityce i baseballu, wyrażać swoją opinię w każdej sprawie, ale uczucia, intymność, miłość...

Wstrząsnęła się na myśl, jak często zatrzymywała się nad otchłanią, mówiła sobie: „Nie, to nie ten” i wycofywała pospiesznie, nie decydując się na skok.

Włożyła stare, sprane džinsy i świeżą koszulkę Red Soksów. Niedługo powinna pojawić się Susanna, razem pójdą do piwnicy i obejrzą ją sobie dokładnie.

Zjadła śniadanie na ganku od strony ogrodu w towarzystwie Andrew i Dolly. Prosty posiłek: płatki, grzanka, sok, ale w porannym słońcu, nad oceanem, smakował wspaniale.

Miała nadzieję, że na widok Andrew zdziwi się, co w nią wczoraj wstąpiło, jednak musiała przyznać, że ten mężczyzna w bardzo niebezpieczny sposób działał na jej zmysły.

Nawet kiedy nalewał kawę, za nic mogła oderwać oczu od gry mięśni na jego przedramieniu i od jego twarzy.

Dolly skończyła jeść i natychmiast pobiegła do Harla, który od samego rana kontynuował pracę nad oknem w jej domku.

Tessa z uśmiechem dopiła swoją kawę.

- Wygląda na to, że zostałam zwolniona z zabawy pluszowymi zwierzakami.

- Nie Ucz na to. - Andrew usiadł po drugiej stronie stołu. Patrzył na Tessę z poufałością, która zdawała się mówić, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by wczoraj poszli razem do łóżka. I że pamięta każdy szczegół ich pocałunków.

- Jak się dzisiaj czujesz? Dobrze spałaś?

- Nieźle, dziękuję. Muszę wracać do siebie. Czekam na przyjaciółkę. Powinna niedługo przyjechać.

- Chciałbym jeszcze raz zajrzeć do piwnicy - powiedział Andrew.

Skinęła głową.

- Może wspólnie dojdziemy, co takiego wzięłam za szkielet.

Andrew nie odpowiedział. Tessa zdążyła go już poznać na tyle, by wiedzieć, że jest z natury milczkiem, ale nic nie uchodzi jego uwagi. Powinna o tym pamiętać. Odstawiła kubek. Najchętniej zostałaby tu cały dzień, popijała kawę, herbatę mrożoną, wino i nie robiła absolutnie nic poza zabawą pluszowymi zwierzakami ze swoją sześcioletnią sąsiadką.

Kiedy zeszli z ganku, przybiegła do nich Dolly. Z jednej strony chciała pomagać Harlowi przy zakładaniu okna w domku na drzewie, lecz z drugiej pragnęła sprawdzić, jak się miewa kocia rodzina. Po chwili wahania rozstrzygnęła dylemat, odwróciła się i krzyknęła:

- Harl, idę do Tessy! Później ci pomogę. Nie martw się, dobrze?

Harl wychylił siwą głowę z domku.

- Idź. Zobaczę, czy dam sobie radę bez ciebie.

Dolly zachichotała i wsunęła małą, ciepłą łapkę w dłoń Tessy.

- Harl jest śmieszny.

- Tak myślisz?

- Aha.

Andrew zerknął na Tessę, jakby chciał powiedzieć, że Dolly wie najlepiej.

Poszli dłuższą drogą wzdłuż bżów. Kiedy stanęli na podjeździe, Tessa spojrzała na wozownię skapaną w porannym świetle i zachwyciła ją elegancją Unii oraz malownicze położenie.

Niemal zapomniała o policjantach przeszukujących piwnicę poprzedniego wieczoru.

Czy ktoś rzeczywiście zakradł się tu? Czy policja będzie chciała jeszcze raz ją przesłuchać?

Posiadłość należała wcześniej do Dce'a Granthama, jego siostra była prezesem fundacji Ratujmy Zabytki Beaconu i to ona dała Tessie klucze. Czy zechcą rozmawiać z Lauren Montague, czy próbują odszukać Dce'a?

Gdyby tylko uwierzyli, że widziała szkielet. Ale nie uwierzyli.

Zastanawiała się, czy wiadomość o wizycie policjantów rozeszła się już po miasteczku i czy ludzie będą w stanie zrozumieć, co czuła, gdy była przekonana, że natknęła się w piwnicy starej wozowni Jedidiaha Thorne'a na ludzkie szczątki, nawet jeśli naprawdę ich tam nie było.

Dolly dopadła drzwi kuchennych, ale Andrew ją wyprzedził i wszedł pierwszy.

- O mój Boże! - krzyknęła z paniką w głosie. - Nie ma ich, tato! Uciekły!

Andrew dotknął ramienia córki i wskazał otwarte drzwi do łazienki.

- Nie, nie uciekły, Dolly. Łatka przeniosła je do pudełka.

Pełnym emfazy, teatralnym gestem położyła dłoń na piersi i westchnęła:

- O mój Boże, są takie śliczne!

- Dolly.

Zerknęła na ojca.

- Wiem, nie powinnam mówić „O mój Boże”.

- Rzeczywiście nie powinnaś.

Tessa uśmiechnęła się, słysząc tę wymianę zdań między ojcem i córką. Była zadowolona, że odzyskała swoje łóżko, łaskawie opuszczone przez Łatkę i jej dzieci.

Kiedy Andrew i Dolly poszli do kotów, wyjęła ze zlewu bzy, które umieściła tam wczoraj, kiedy poszukiwała w pośpiechu broni, i wyrzuciła je do śmieci. Rozejrzała się po kuchni. Tyle tu było do zrobienia.

Cieszyła ją perspektywa posiadania domu na wsi, weekendów za miastem, fizycznej pracy w ogrodzie. Gdyby szkielet okazał się niczym więcej jak wytworem jej imaginacji, była gotowa zatrzymać wozownię.

Andrew wyszedł z łazienki z podwiniętymi do łokci rękawami koszuli. Spojrzała na niego i pomyślała: może jednak nie. Sąsiad

mógł się okazać znacznie poważniejszą komplikacją niż to, co zobaczyła, albo wydawało się jej, że zobaczyła w piwnicy.

- Mogę wymyślić imiona dla kotków? - szeptem zapytała Dolly.

- Możesz - odpowiedział Andrew. - Ale musisz pamiętać, że ludzie, którzy je wezmą, będą chcieli sami nadać im imiona.

- Tego czarnego nazwę Mroczek - postanowiła.

- Dobrze, ale nie zapominaj, że go nie zatrzymamy.

- A jak to jest ona?

- To jej nie zatrzymamy.

Wyszli na zewnątrz. Dolly zaczęła rysować coś na żwirze, Tessa i Andrew poszli obejrzyć drzwi do piwnicy. W świetle dnia też nie sposób było dojrzeć śladów włamywacza. Ale do piwnicy nie trzeba było się włamywać, skoro drzwi zabezpieczała jedynie stara, zniszczona zasuwka.

Andrew dotknął końcem buta na wpół przegniłych desek.

- Od kiedy tu mieszkamy, nie zauważyłem, żeby ktokolwiek kręcił się koło wozowni.

- To na pewno nie byłam ja. Nie zesłabym po raz drugi do piwnicy po zmroku.

Spojrzał na nią uważnie i zapytał nieoczekiwanie:

- Co cię łączyło z Udem Granthamem?

- Był moim klientem. Nie przyjaźniliśmy się, jeśli o to pytasz. Ma bardzo silną, charyzmatyczną osobowość, lubi dominować, ingerować w życie innych ludzi, trudno utrzymać go na dystans. Ale mi się udało.

- Podarował ci zabytkową nieruchomość.

- Nie podarował, tylko przekazał jako zapłatę za moje projekty. Zresztą „zabytkowa nieruchomość” to trochę przesadne określenie. Znasz Dce'a. To ekscentryk ulegający własnym kaprysom. Dlatego tak długo tutaj nie przyjeżdżałam. Nie wierzyłam, że wozownia jest naprawdę moja. Dce jest tak nieobliczalny, że mógłby pojawić się na progu mojego domu i zażądać za swój pański gest mego pierworodnego dziecka.

Andrew pokiwał głową.

- Trudno go zrozumieć.

- Jak myślisz, co się z nim stało?

- Niewiele mnie to obchodzi. Od śmierci Joanny prawie go nie widywałem.

- Nie przyjaźniliście się, zanim...

- Nie.

Andrew ruszył w kierunku podjazdu, a Tessa wypuściła powietrze z płuc, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

Joanna Thorne zginęła straszliwą śmiercią. Andrew musiałby być człowiekiem zupełnie pozbawionym uczuć, gdyby przynajmniej częściowo nie obwiniął JJce'a Granthama za to, że zachęcił jego żonę do uprawiania wspinaczki.

Oczywiście nie Dce spowodował lawinę i nie on podejmował decyzje za Joannę, ale Tessa doskonale pamiętała, jak ogromną posiadał siłę perswazji i jak łatwo przychodziło mu nakłaniać żyjących w bezpiecznym kokonie ludzi do ryzykownych eskapad i szalonych przedsięwzięć.

Być może przekonał Joannę, że bez trudu wejdzie na Mount McKinley, choć brakowało jej koniecznego do takiej wyprawy doświadczenia...

Odezwał się telefon komórkowy.

- Jestem w Gloucesterze - oznajmiła Susanna. - Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

- Wy tłumacz mi, jak masz dojechać?

- Davey narysował mi mapkę. On zna się na rurach, a ja na finansach. Obejrzę sobie tę twoją wozownię. Martwisz Daveya. Duchy, pojedynki sprzed wieku, sąsiedzi.

- Susi, nie chlapnąłś mu o szkielecie?

- Za kogo mnie masz? Pewnie, że nie. Jestem za dwadzieścia minut, dobrze?

- Czeka.

Andrew podniósł wzrok.

- Komu miała nie chlapnąć?

- Mojemu ojcu chrzestnemu. Gdyby rozeszło się po Beaconie, że wezwałam policję z powodu wymyślanego szkieletu, jakoby zakopanego w mojej piwnicy, stałabym się pośmiewiskiem, lokalną atrakcją dla poprawienia humoru. Jeśli do tego dojdzie, ja tego nie przeżyję, po prostu nie przeżyję.

- Susanna mieszka w twojej dzielnicy?

- Niedawno się sprowadziła, ale jej babcia mieszka tam całe życie. Wynajmuję na spółkę z Susi biuro w Bostonie. Ona mnie rozumie, wie, w jakich warunkach dorastałam. Pólsierota, pod opieką ojca, w robotniczej dzielnicy.

Andrew uśmiechnął się prawie niezauważalnie.

- Może to dzięki temu jesteś taka twarda. Życie czegoś cię nauczyło.

- Pewnie tak. Ojciec i Davey ciągle wisieli mi nad głową. Musiałam nauczyć się myśleć samodzielnie, inaczej bym zwariowała z tymi dwoma facetami. A to, że tak wcześniej straciłam matkę, nauczyło mnie, że trzeba się cieszyć każdą chwilą. Bo nigdy nic nie wiadomo.

Tessa spojrzała w niebo. Wyobraziła sobie matkę siedzącą na skałach nad oceanem i zasluchaną w szum fal. Taką ją zapamiętała i ten obraz zawsze dodawał jej otuchy w trudnych chwilach. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Andrew.

- Z drugiej strony oznacza to, że plany pięcioletnie nie są moją najmocniejszą stroną, czym przyczyniam Susi wiecznej zgrzyoty.

Kiedy stanęli na podjeździe, Harl przedzierał się właśnie przez krzewy bzu.

- Któregoś dnia wezmę piłę i zetnę to cholerstwo - zagroził, zdejmując liść z brody. - Może ja zajmę się Dolly, a wy zejdziecie do piwnicy?

- Czekam na przyjaciółkę - powiedziała Tessa.

- No to co? Jak przyjedzie, powiem jej, gdzie jesteście. - Podszedł do Dolly, wyjął jej patyk z ręki i narysował pola do

kółka i krzyżyka. - Ja będę miał kółko. Zaczynam pierwszy - oznajmił.

Andrew dotknął ramienia Tessy.

- Chodź, zanim uznasz, że ten niedźwiedź wystraszy twoją przyjaciółkę.

- Susanny nikt i nic nie jest w stanie wystraszyć.

- Nie, nie! - usłyszeli oburzony głos Dolly. - Nie możesz stawiać dwóch kółek pod rząd.

Harl, udając Greka, zmarszczył czoło.

- Dlaczego nie? - zdziwił się.

- Bo to jest oszukiwanie.

- Aha. - Narysował nowe pola i podał patyk Dolly. - W takim razie teraz ty zaczynaj.

Tessa i Andrew ruszyli stroną drzwi do piwnicy.

Nic nie znaleźli. Ani szkieletu, ani śladów, że mógł tu być i ktoś go wykraść. Żadnego przedmiotu, który Tessa, ulegając grze wyobraźni, omyłkowo mogła wziąć za ludzką czaszkę.

Nie zdziwiła się zbytnio.

Siedziały z Susanna na stopniach prowadzących do kuchni i popijały wodę mineralną.

Kiedy Susi przyjechała, Harl posłał ją do piwnicy.

Andrew, Harl i Dolly wrócili już do swojego ogrodu, zostawiając przyjaciółki same. Łatka i jej dzieci spały spokojnie w pudełku w łazience. Tessa gotowa była uwierzyć, że wszystko jest w porządku, a świat nic nie stracił ze swej urody, jednak instynkt mówił jej coś innego.

Susanna upiła solidny łyk wody i przyłożyła schłodzoną puszkę do policzka.

- Tak jak ja to widzę, są cztery wytłumaczenia. Pierwsze, nie było żadnego szkieletu i ta wersja najbardziej nam wszystkim odpowiada, chociaż dla ciebie musi być ambarasująca. Jej też będzie trzymała się policja, chyba że coś zmusi ją do zmiany zdania. Drugie, był szkielet, ale nie taki zwykły, tylko stanowiący materialne wcielenie ducha, który od stu lat straszy

w wozowni. Też niezła wersja. W wozowni naprawdę dokazuje duch. Koniec, kropka.

- Dlaczego miałyby pokazywać się pod postacią szkieletu? - zapytała Tessa w zadumie.

- Dlaczego? A kto zrozumie duchy? Przecież każde dziecko wie, że są nieprzewidywalne. Na tym polega ich urok. - Susanna wyciągnęła swoje długie, szczupłe nogi.

- Trzecia możliwość, był szkielet, ale należał do jakiegoś patałacha, który zszedł z tego świata milion lat temu.

- Myślałam o jakimś dziewiętnastowiecznym koniokradzie.

- Albo Jedidiah Thorne jednak wrócił z morza i dokonał żywota w piwnicy swojej wozowni.

Tessa skinęła głową. Rozważała taką ewentualność.

- Tylko po co ktoś miałby kraść jego szczątki?

- Potomkowie. Może wiedzą coś o okolicznościach jego śmierci, czego my nie wiemy, i woleliby zachować w sekrecie ten drobny szczegół.

- To się nie zgadza z tym, co wiem o Thorne'ach. Nie należą do elity North Shore, która gotowa jest zrobić wszystko dla ratowania dobrego imienia rodziny. Jedidiah był kryminalistą skazanym za morderstwo. - Tessa westchnęła. Nie podobało się jej, że rzeczowym, wręcz technicznym tonem rozmawiają o czymś tak tragicznym, jak ciało pochowane w piwnicy. - Nie w tym rzecz, jakie wytłumaczenie byłoby najwygodniejsze. Muszę dociec prawdy.

- Pozostaje jeszcze czwarta możliwość. - powiedziała Susi. - Domyślasz się jaka?

- Dce.

- Właśnie. Ta dla nikogo nie będzie wygodna. Trup Dce'a w piwnicy wozowni. Ten, kto go tu zakopał, nie miał pojęcia, że wozownia należy teraz do ciebie. Niespodziewanie się pojawiaasz i robi się nieprzyjemnie. Przerażony morderca zakrada się do piwnicy, odkopuje szkielet i go wynosi.

Tessa nawet nie chciała myśleć o takiej możliwości. Oparła puszkę z wodą mineralną na kolanie i patrzyła, jak po blaszanej folii spływa na dzinsy szron z lodówki.

- Ktoś powinien się zainteresować, gdzie Dce teraz przebywa.

- Owszem.

- Na przykład jego siostra...

- Na przykład.

Tessa zerknęła na przyjaciółkę.

- Jeśli w piwnicy rzeczywiście był szkielet i ktoś go wczoraj wieczorem wykradł, narażam się na niebezpieczeństwo, twierdząc, że go widziałam. Powinnam udawać, że nic takiego się nie stało.

- Za późno. Już narobiłaś hałasu. Twoi sąsiedzi wiedzą, że coś jednak widziałaś. Byłoby znacznie gorzej, gdybyś milczała. Lepiej niech wszyscy wokół mają świadomość, że natknęłaś się na coś niepokojącego. Jeśli za kilka dni wpadniesz pod samochód albo zginiesz inną, równie gwałtowną śmiercią, będziemy mieli pewność, że nie pomyliłaś się w kwestii szkieletu.

- Uważasz, że to powinno mnie pocieszyć? Susanna, jak zwykle pragmatyczna, wzruszyła ramionami.

- Nie. Nie przyjechałam tutaj, żeby cię pocieszać. Zmieniając temat - Susi podniosła się pełnym wdzięku ruchem - dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej o swoim sąsiedzie?

- Co miałam ci mówić?

Susanna uniosła brwi i pokręciła głową.

- Nic dziwnego, że twój ojciec i Davey martwią się o ciebie. Tessa, zwróciłam uwagę na tego faceta, a przecież z zasady ignoruję mężczyzn. Masz swojego szczupłego, milkliwego, upartego, wiernego tradycji Jankesa. Już widzę, jak wyrzuca do morza herbatę*, płynie z kapitanem Ahabem, albo zabija w pojedynku znęcającego się nad żoną nędznika. - Dopila swoją wodę mineralną. - W piwnicy cały czas gapił się na ciebie, zamiast szukać szkieletu.

- To znaczy, że nie podejrzewasz go o zamordowanie Ike'a i pogrzebanie ciała w piwnicy?
- Nie.
- Ma sześćioletnią córeczkę. Susanna milczała.
- Ostatniej nocy spałam w pokoju gościnnym - dodała Tessa.
- I?
- Muszę przyznać, że jest między nami pewne przyciąganie.
- Nie wygłupiaj się, Tesso. Davey wszystko mi powiedział.
- Davey? Widział nas raptem trzy sekundy.
- I to wystarczy. Tessa poddała się.

* Aluzja do bostońskiego buntu herbacianego. 16 grudnia 1773 roku patrioci amerykańscy, protestując przeciwko brytyjskim cłom, zatopili w porcie bostońskim transport herbaty. Ten pozornie drobny incydent odegrał istotną rolę w rodzącym się sprzeciwie wobec angielskiej dominacji w Ameryce Płn. (przyp. red.)

**Kapitan Ahab - bohater romantycznej powieści Hermana Melville'a „Moby Dick, czyli Biały Wieloryb”. Jej treścią jest urastająca do symbolicznych wymiarów walka kapitana Ahaba z gigantycznym wielorybem (przyp. red.)

Nawet klienci Susanny wiedzieli, że nie mogą oczekiwać od niej słów wsparcia i pociechy, bo zawsze ograniczała się do nagich faktów. Ludzie wychodzili od niej często na miękkich nogach, ale przynajmniej bez złudzeń co do własnej sytuacji finansowej, za to z wiedzą, jak się ratować. Bywało, że przychodzili do niej tylko po potwierdzenie, chcieli usłyszeć od kogoś wprost to, czego sami z lękiem się domyślali.

- Powiedz mi, co wiesz o trupach - poprosiła Tessa.

Susanna zmrużyła oczy, chwilę się zastanawiała, jakby kalkulowała w myślach odpowiedź.

- Skąd przyszło ci do głowy, że coś wiem o trupach? Znam się na finansach, a nie na umarlakach.

- Twój były mąż jest teksańskim rangerem. Musiał ci opowiadać to i owo.

- Mój były mąż to grzechotnik - odpowiedziała spokojnie.

Tessa roztropnie przemilczała ten komentarz, a Susanna jęknęła:

- Dobrze, dobrze. Pewnie chcesz wiedzieć, ile czasu trzeba, żeby z ciała został sam szkielet?

- Mniej więcej.

- Powiem ci, ale pod warunkiem, że zabierzesz mnie na spacer po plaży. Idziemy?

Susi nie odezwała się słowem, dopóki nie przeszły przez drogę i po zejściu stromą ścieżką nie poczuła pod bosymi stopami wilgotnego piasku. Wciągnęła głęboko w płuca morskie powietrze.

- Najlepiej rozmawiać o trupach na świeżym powietrzu - stwierdziła z satysfakcją.

- Uczyłam się anatomii w szkole plastycznej, ale nie zgłębialiśmy takich detali.

- Mówisz o procesach gnilnych zachodzących w ciele? Na studiach ekonomicznych też tego nie wykładali. - Zatrzymała się na moment, wbijając palce stóp w piasek. - Muszę przyznać, że brakuje mi oceanu w San Antonio, chociaż jeszcze bardziej tęsknię za teksańskimi zachodami słońca. Takich jak tam nie zobaczysz nigdzie. Dobra. Wracajmy do trupów. Wszystko zależy od warunków. Niska temperatura i suche otoczenie spowalniają proces rozkładu, z kolei w gorącym, wilgotnym miejscu ciało rozkłada się bardzo szybko. Weźmy choćby Bena Franklina i resztę towarzystwa na Old Gran ary.

- Grób Benjamina Franklina jest w Filadelfii -przypomniała przyjaciółce Tessa. - Na Old Granary leżą jego rodzice.

- Wszystko jedno. Rzecz w tym, że ziemia tam jest wilgotna i pulchna. To przyspiesza gnicie.

Tessa skrzywiła się.

- Obrzydliwe.

- Pytałaś, to mówię.
 - Wiem. Co jeszcze?
 - Nagie ciało rozkłada się szybciej niż ubrane albo ściśle owinięte materiałem.

- Efekt mumii.

- Czy twoje ciało...

- Nie widziałam żadnego ubrania - powiedziała Tessa pospiesznie. - Co nie znaczy, że go nie było.

- Gdybym ja miała zakopać ciało w piwnicy i chciała, żeby szybko się rozłożyło, rozebrałabym je. Niemila robota, przyznaję, ale cała sprawa do sympatycznych nie należy.

Pozbawione ubrania szczątki trudniej zidentyfikować. Musiał to brać pod uwagę... kto? Tessa przeszedł dreszcz. Morderca grający na zwłokę, obawiający się, że ktoś w końcu natrafi na jego ofiarę?

- Tak nakazywałby zdrowy rozsądek - ciągnęła Susanna rzeczowym tonem. - Każdy z nas widział martwe jelenie, skunksy i inne zwierzęta na poboczu drogi. Inaczej to wygląda latem, inaczej zimą. Inaczej na Florydzie, inaczej w Wyomingu. Chwytasz?

- Tak, chwytam.

- Z tego co pamiętam, dzieci i ludzie chorzy rozkładają się szybciej niż zdrowe ciało dorosłego człowieka. - Weszła po kostki do wody, krzyknęła, kiedy stopy obmyła zimna fala, wyskoczyła na ciepły piasek i powtórzyła zabieg. - Otyli szybciej niż szczupli.

- Nie chcę nawet o tym myśleć, to obrzydliwe.

- Tylko naturalne. Szybciej rozkładają się też ciała poranione. Nie uważasz, że to ma swój sens?

Tessa szła powoli brzegiem morza, rozmyślając o naturalnym procesie rozkładu zachodzącym w ciele, które ktoś zakopał w płytkim grobie w piwnicy wozowni. To, co widziała tamtej feralnej nocy, musiało być wytworem jej wyobraźni.

- A co mogłoby spowolnić proces rozkładu? - zapytała cicho.

- Już ci mówiłam: mała wilgotność, niska temperatura. I bagno. Jeśli pogrzebiesz ciało w bagnie, nie rozłoży się przez całe wieki. - Wzruszyła ramionami i dodała: - Antropolodzy uwielbiają bagna.

Tessa wypuściła powietrze z płuc.

- Urocze.

- Ludzie uważają, że wapno przyspiesza rozkład. Rzeczywiście, ale tylko w wilgotnych warunkach. W przeciwnym razie spowalnia proces. Podobnie działa arszenik. Też opóźnia rozkład.

- W piwnicy jest wapno. Do bżów.

- Zauważyłam.

- Czy ciało zakopane w piwnicy wozowni w marcu zeszłego roku, kiedy Ike zniknął, mogłoby się rozłożyć do teraz?

- Tak.

Tessie zakręciło się w głowie. Przeniknął ją tak lodowaty dreszcz, że woda pod stopami wydawała się ciepła.

- Będiesz haftować? - zainteresowała się Susi.

- Nie, wszystko w porządku.

- Chcesz, żebym spryskała ci twarz wodą?

- Nie trzeba.

- Posłuchaj mnie uważnie, Tesso. Cokolwiek widziałaś tamtej nocy, albo jest zimnym trupem, albo nigdy nie istniało. Jeśli jest zimnym trupem, to delikwent sam wie, jak dokonał żywota i jakim sposobem wyładował w piwnicy. Ty tego nie musisz wiedzieć. - Susanna odgarnęła ciemne kręcone włosy z policzka, chwyciła przyjaciółkę za ramię i spojrzała jej w oczy. - Nikt łąduje po śmierci w piwnicy z niewinnych powodów.

Tessa pokiwała głową.

- Wiem.

- Najprawdopodobniej nigdy nie poznamy prawdy i nikomu nie zostanie wymierzona sprawiedliwość. A nawet jeśli tak miałyby się stać, to nie twoja sprawa.

- Też sobie to powtarzam. - Jej głos zabrzmiał spokojniej, niż przypuszczała. - Robię z siebie rozhisteryzowaną idiotkę.

Susanna utkwiała w niej spojrzenie.

- Lepsze to niż skończyć jako trup w czyjejś piwnicy.

- Też prawda - przyznała Tessa z wymuszonym uśmiechem.

- Lepiej się czujesz? Nie puścisz pawia i nie zemdlejesz?

- Odczep się. Dobrze się czuję.

- Całe szczęście, bo twój Ahab właśnie schodzi na plażę.

- Masz chyba na myśli Ishmaela. Ahab to był ten bez nogi.

Susanna skrzywiła się na widok zbliżającego się Andrew Thorne'a.

- Jeśli ten człowiek ma w poważaniu swoich przodków, nie dziwię się wcale Moby Dickowi, że miał ochotę zjeść Ahaba. Śmierć wrogom, oto jankeska postawa. Możesz go sobie wyobrazić na pokładzie z harpunem w dłoni?

- Przemysł wielorybiczny spowodował niewyobrażalne spustoszenie...

- Tesso, ja nie mówię o zagrożonych gatunkach, tylko o twoim sąsiedzie. Miałaś okazję zobaczyć, jak odnosi się do swojej córki, ja nie.

- O czym ty opowiadasz? Twarz Susanny spoważniała.

- O tym, że powinnaś uważać, zanim wpadniesz po same uszy.

Andrew zatrzymał się obok dwóch przyjaciółek, mrużąc oczy w słońcu.

- Nie przeszkadzam?

Susi obdarzyła go swoim najbardziej czarownym uśmiechem, który działał nawet na Daveya Ahearna i Jima Havilanda.

- Dyskutowaliśmy właśnie o dziewiętnastowiecznej literaturze amerykańskiej. Czy to miejsce nie przywodzi panu na myśl Hermana Melville'a?

Tessa była pewna, że Andrew nie wierzy ani jednemu słowu Susanny. Domyślał się, że rozmawiały o nim.

- Rzeczywiście, może się kojarzyć z Melville'em - przytaknął i zwrócił się do Tessy. - Wszyscy już wiedzą, że wczoraj wieczorem wezwałaś policję. Lauren Montague chciałaby się z tobą widzieć.

Susanna rzuciła swoje sandały na piasek i zaczęła je wzuwać.

- Chyba pora, żebym wracała do Bostonu, Tesso.

- Poczekaj jeszcze.

- Zadzwonisz do mnie?

Tessa skinęła głową i też włożyła buty, wspominając, jak biegała po plaży, będąc dzieckiem. Puszczala latawce i słuchała opowieści matki o historii Nowej Anglii. Ojciec obserwował je z napięciem. Wiedział, że już niedługo będą się sobą cieszyły. Poczowała się jak wtedy. Miała świadomość, co się dzieje, ale za wszelką cenę chciała udawać, że życie toczy się normalnie, jakby nic złego nie miało się przytrafić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W świetle dnia Lauren była jeszcze bardziej pełna podziwu dla tego, czego dokonała poprzedniego wieczoru. Prawdziwy cud, że nie została przyłapana na gorącym uczynku.

Wciągnęła głęboko powietrze. Od tej chwili zapach bżów zawsze już będzie się jej kojarzyć ze śmiercią.

Ze śmiercią Ike'a. Jej brata. Dobry Boże, gdyby zostawił Joannę Thorne w spokoju i pozwolił, by sama wydobyla się z depresji. Gdyby po jej śmierci wyjechał z Beaconbythe-Sea... Ale nie, został, by kłuć w oczy swoją obecnością, snuć swoje wielkie plany, pokazywać pogodną twarz i szukać kolejnej ofiary, która będzie patrzyła w niego jak w obraz i wierzyła każdemu jego słowu.

Przez pewien czas Lauren myślała, że tym nowym obiektem będzie Tessa Haviland. Kiedy jednak zobaczyła młodą projektantkę, która właśnie wchodziła na podjazd wozowni w towarzystwie Andrew Thorne'a, kiedy zobaczyła zmoczone od dołu, zapiaszczone džinsy, zmierzwiłone wiatrem krótkie, kręcone włosy i pobladłe policzki, po raz kolejny upewniła się, że to nie mogła być Tessa. Ike zerował na osobach słabych psychicznie i skłonnych do depresji, na ludziach, którzy nie ośmieliliby się spełnić swoich marzeń bez jego zachęty. Tessa do takich nie należała. Być może Joanna też nie, gdyby zostawił ją samą sobie.

Andrew na pewno nie zamierzał go zabić.

Lauren uśmiechnęła się do niego, ale nie odwzajemnił uśmiechu. Pomyślała, że to nie z braku uprzejmości, ile raczej z nieuwagi. Zdawał się zatopiony we własnych myślach.

Gdyby zamordował Ike'a z premedytacją, Lauren nie próbowałaby go ochraniać. Zastanawiała się, co musi teraz czuć, kiedy przekonał się, że policja nie znalazła szczątków jej brata. Strach? Ulgę? Gniew? Nie sposób było odgadnąć.

- Witaj, Tesso - zagadnęła z miłym uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie przyjeżdżam nie w porę. Słyszałam, co się wydarzyło. To musiało być dla ciebie naprawdę straszne przeżycie.

- Wygląda na to, że w piwnicy nie było żadnego szkieletu. Na szczęście.

Lauren pokiwała głową.

- Istotnie. Lepiej podnieść fałszywy alarm, niż znaleźć we własnej piwnicy ludzkie kości.

- Rozmawiała pani z policją?

- Paul Alvarez dzwonił do mojego męża. - Wyszła z cienia rzuconego przez krzaki bzu i słońce oświetliło jej twarz. - Paul chce, żebym skontaktowała się z bratem, ale to nie jest takie proste. Siedem lat temu Dce przepadł na dziewięć miesięcy, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera. Nie odezwał się przez cały ten czas, nawet nie przysłał kartki świątecznej. To cały Dce.

Andrew oparł się niedbale o zardzewiały samochód Tessy, ale Lauren nie zwiódła jego poza. Wiedziała doskonale, że Thorne wszystko słyszy i wszystko widzi. Ciekawe, czy domyślał się, co dla niego zrobiła.

Nie tylko dla niego i nie tylko ze względu na niego. Uczyniła to, co uczyniła, bo uważała, że tak należy postąpić. Jej brat pozbawił Andrew żony, a Dolly matki. Czy można go winić, że stracił panowanie nad sobą, że przypomniały mu się czasy ulicznych burd?

Oczywiście sąd uznałby go winnym, jak ponad sto lat wcześniej stało się to z Jedidiahem Thorne'em, mimo że Benjamin Morse zasłużył na swój los. Prawda i sprawiedliwość to skomplikowane kwestie, rozmyślała Lauren.

Tessa miała zafrasowaną minę.

- Czy policja zamierza go szukać?

- Po co mieliby zadawać sobie tyle trudu?

- Pani Montague...

- Lauren - poprawiła z uśmiechem.

- Lauren, Dce był jednym z moich klientów. Chciałabym usłyszeć, że nie przydarzyło mu się nic złego.

- Zatem odszukaj go, bardzo proszę. Ja już dawno przestałam tańczyć, jak on zagra. - Mówiła chłodnym, opanowanym tonem, ale głęboko w środku rozpalał ją nie dający się opanować żar, jak ostatniej nocy z Richardem. Dzisiaj była obolała i posiniaczona, ale czuła się zaspokojona. - Wróci, kiedy zechce, jeśli w ogóle zechce. Jego sprawa.

- A jeśli nie wróci?

- Chcesz powiedzieć, że szczątki, które widziałas, mogły być szczątkami Ike'a? Że ktoś mógł go zamordować, zakopać ciało w piwnicy wozowni, a potem, kiedy zainteresowałaś się domem, uznał, że musi je szybko usunąć? - Lauren uśmiechnęła się łagodnie, chociaż wszystko w niej wrzało. - Dla mnie to zbyt daleko posunięta hipoteza. Policja również nie bierze pod uwagę takiej możliwości, ale jeśli chcesz iść tym tropem, to idź.

Tessa uparła się dążyć temat.

- Domyślasz się, gdzie może być Ike?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Lauren dużo łagodniejszym niż poprzednio tonem. Trochę już ochłonęła, choć patrząc na nią, nikt by się nie domyślił, ile przecierpiała przez ostatni rok i jakie targają nią sprzeczności, jak bardzo jest niepewna, co dalej robić. Zerwała kiść bzu i powąchała. - Nie chcę, żeby to, co powiem, zabrzmiało kostycznie, ale gdybym choć przez sekundę wierzyła, że widziałas szczątki mojego brata, tak długo nękałabym policję, aż zaczęliby działać. Wynajęłabym prywatnych detektywów.

- Nie chciałam sugerować...

- Wiem - powiedziała Lauren, nie dając Tessie dokończyć zdania. - Nie musisz przeproszać. Zmieniając temat, jak ci się podoba wozownia?

- Poza tym, że widzę tam różne dziwne rzeczy, to bardzo.

Tessa twardo obstawała przy swoim, nawet jeśli nie powiedziała tego wprost. Nieugięcie wierzyła w to, co

zobaczyła, mimo że nie miała na to żadnych dowodów oraz że nie mogła w stu procentach wykluczyć swojej pomyłki.

- Zapraszam do naszego biura, jeśli będziesz chciała dowiedzieć się czegoś więcej o historii wozowni. Mamy sporo materiałów na ten temat w naszym archiwum. Ten dom ma bogatą, niezwykłą przeszłość, zdążyłaś się już o tym przekonać. Zajrzyj, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

Tessa sztywno skinęła głową.

- Dziękuję.

- Andrew. - Lauren podeszła do Thorne'a. - Zaparkowałam swój samochód przed twoim domem. Skoro już tu jestem, chciałabym przywitać się z Dolly. Pójdiesz ze mną?

Zauważyła, że rzucił szybkie, ledwie uchwytnie spojrzenie na Tessę. Coś się tutaj dzieje, pomyślała. I cóż z tego? Nie chroniła go z powodów sentymentalnych. Po prostu nie mogła pozwolić, by Thorne stanął przed sądem za zabójstwo jej brata. Tym bardziej jeśli było niezamierzone. Dolly straciła już z winy Dce'a matkę. Nie powinna tracić także i ojca.

Gdy wreszcie wsiadła do samochodu, odgarnęła włosy i podniosła wzrok. Chciała coś jeszcze powiedzieć Andrew. Od Atlantyku wiał chłodny, wilgotny wiatr.

- Martwi mnie ta Tessa Haviland, Andrew. To artystka, a artyści mają bujną wyobraźnię. Obyśmy nie mieli z nią kłopotów.

Andrew, jak zwykle, miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Dlaczego mielibyśmy mieć z nią kłopoty?

- Richard ma wkrótce objąć stanowisko w Pentagonie. Popiera go senator Bowler. To dla nas delikatny moment. Jak się domyślasz, senator ma wrogów. Każdy polityk ma wrogów.

- Lauren otworzyła drzwiczki samochodu. Znowu poczuła, że pali ją żar. Powinna nauczyć się panować nad swoimi emocjami tak jak Andrew. Wykorzystywać je umiejętnie, z korzyścią dla siebie. Z korzyścią dla niego. Uśmiechnęła się. -Wiem, że to brzmi idiotycznie i machiawelicznie, ale Joanna, kiedy jeszcze

pracowała z Richardem, na pewno ci opowiadała, jaki jest mój mąż.

Andrew skinął głową.

- Pokonywanie kolejnych labiryntów.

- Można tak to określić. Nie chciałabym, żeby Richard miał kłopoty. Bardzo zależy mu na tym stanowisku. Latami czekał na podobną propozycję.

- Myślisz, że Tessa wymyśliła sobie szkielet w piwnicy, żeby mu zaszkodzić?

Powiedział to niby obojętnym głosem, ale Lauren wyczuła w jego pytaniu powątpiewanie, może nawet zgryźliwość. Włożyła kluczyk do stacyjki i posłała Andrew spojrzenie łączące, tak przynajmniej sobie wyobrażała, pewną dozę elegancji z niezachwianą stanowczością.

- Nie chcę nic przesądzać, ale będę miała oczy szeroko otwarte. Mam nadzieję, że ty też.

Ruszyła, zaciskając z całych sił palce na kierownicy, aż poczuła, że drętwieją. Zatrzymała się po drodze w biurze fundacji. W niedzielę było tu pusto, nawet Muriel Cookson nie trwała na swoim stanowisku. Poczowała się trochę różnie w znajomym otoczeniu: antyki, kwiaty, zdjęcia jej i Dce'a robione w szczęśliwszych czasach.

Powinna wreszcie go wydobyć z bagażnika samochodu.

- Och, Dce - szepnęła. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

W chwilę później do jej gabinetu wkroczył Jeremy Carver, usiadł na fotelu przy biurku, zgiął nogę i położył stopę na kolanie.

- Zauważyłem pani samochód.

- Często zaglądam do biura podczas weekendu.

- Oddana swojej pracy?

- Tak.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Znam to. Pozwoli pani, że zapalę?

- Nie, panie Carver, wolałabym, żeby pan tu nie palił.

- Jakoś wytrzymam. - Rozparł się w fotelu, świadom i swojej marnej prezencji, i zakresu władzy, ale też jej granic.

- Może opowie mi pani o swojej wizycie u Tessy Haviland?

Harl, Dolly i Tessa postanowili zasadzić kocimiętkę dla Łatki i jej dzieci. Andrew próbował im tłumaczyć, że kociaki będą już w nowych domach, zanim zdążą rozsmakować się w tej roślinie. Pomysł wyszedł od Tessy. Wyprawiła się do wsi swoim gruchotem i wróciła z bagażnikiem pełnym ziół. Przywiozła rozmaryn, szalwię, tymianek, oregano, szczypiorek i kocimiętkę.

- Nawet jeśli nie zatrzymam wozowni - oznajmiła - z herbarium łatwiej będzie ją sprzedać.

Andrew nie znał nikogo, kto decydowałby się na kupno domu ze względu na kilka ziół rosnących pod oknem, ale darował sobie wszelkie komentarze.

Tessa postanowiła zasadzić miętę w ogrodzie Thorne'ów, nie chciała bowiem, żeby Łatka zaczęła myśleć o wozowni jako o swoim domu. Miły gest, ale prawdopodobnie spóźniony, zważywszy, jak kotka panoszyła się w pudełku w łazience.

Harl nie okazał specjalnego entuzjazmu. Dał narzędzia, ale wyznaczył na sadzenie mięty najdalszy kąt ogrodu. Dolly i Tessa zabrały się do pracy.

- To zielsko bardzo się rozrasta? - zapytał na wszelki wypadek.

Tessa wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Dopiero się uczę.

- Jeśli się rozrasta, to mam świetny płyn do tępienia chwastów.

Co rzekłszy, wrócił do swojej komody, która czekała na trawniku i którą kończył odnawiać. Andrew usiadł w adirondaku pod szarym orzechem.

- Sadzenie ziół pozwala jej zapomnieć o szkieletach - powiedział, obserwując, jak Tessa i Dolly niosą wodę do podlania mięty.

Dolly uparła się, że pomoże nieść konewkę, co skończyło się tak, że cały czas obijała ją sobie o nogi, wylewając połowę wody, ale Tessie najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Harl zanurzył pędzel w puszcze z lakierem.

- Ona za dużo myśli. Artystka. Artyści mają gorące głowy. Zawsze za dużo myślą.

- A ty nie rozmyślasz o różnych sprawach, kiedy zajmujesz się swoimi meblami?

- Nie.

Andrew napił się wody z lodem. Dolly i Tessie nie zaproponował chłodnego napoju, uznał bowiem, że są zbyt zajęte. Poza tym chciał przez chwilę spokojnie posiedzieć w cieniu drzewa i zastanowić się nad sytuacją, zanim Tessa wróci do Bostonu.

- Ona widziała szkielet - zawyrokował w końcu.

- Wiem - przytaknął Harl, nie odrywając wzroku od komody.

- Jedidiah zginął na morzu. To nip jego grób.

- Chyba że jednak został zamordowany i zakopany w piwnicy, a historia z zaginięciem na morzu została wymyślona później dla ukrycia zbrodni. - Harl zamilkł, by zastanowić się przez chwilę. - Nie, to bzdura. Kiedy on umarł? Pod koniec dziewiętnastego wieku? Tak, właśnie wtedy. To kawał czasu. Ktoś już dawno odkryłby jego szkielet, zakładając nowe rury kanalizacyjne czy instalując piec do centralnego ogrzewania. Niemożliwe, żeby to był on.

Andrew był tego samego zdania. Poprzedniego wieczoru zastanawiał się nad różnymi wyjaśnieniami i rozważał rozmaite hipotezy.

- Mało prawdopodobne.

- Tessa nie jest pewna, co tak naprawdę widziała w piwnicy, i policja nie ma żadnych podstaw, żeby zacząć działać. Wolą nie ruszać sprawy. - Harl przerwał pracę i starannie wytarł pędzel. Nie potrafił jednocześnie malować i rozmawiać. - Lauren nie

chce nawet myśleć, że to mogły być szczątki Dce'a. Alvarez jest tego samego zdania.

- Mamy prawo domagać się, żeby policja wszczęła dochodzenie - powiedział Andrew. - Jako sąsiedzi.

- Sami możemy je przeprowadzić.

- Myślisz jak były glina.

- Myślę jak ktoś postawiony w sytuacji bez wyjścia. Policja nie ruszy sprawy, bo Lauren Grantham Montague sobie tego nie życzy.

- Boi się, że Tessa może narobić jej kłopotów - powiedział Andrew, patrząc na sąsiadkę zajętą podlewaniem mięty. Wylały z Dolly tyle wody na grządkę, że zrobiło się błoto. Teraz zaśmiewały się, patrząc na wyniki swoich działań.

Harl milczał.

- Jeśli mamy sami przeprowadzić dochodzenie, musimy zacząć od Tessy - ciągnął Andrew.

- Zgadzam się. Znała Dce'a. To on przepisał na nią wozownię, nie byli więc sobie obcy. Pierwszej nocy, zaraz po przyjeździe, zobaczyła szkielet. Być może wymyśliła to wszystko, żeby zobaczyć, jak zareagują ludzie. - Harl wyprostował się, położył dłoń na plecach i ziewnął szeroko. Miał zmęczoną twarz, zdawały się odbijać na niej wszystkie przeżycia z Wietnamu i z pracy w policji. - Może uznała, że w zniknięciu Dce'a jest coś podejrzanego, i w ten sposób chciała zwrócić uwagę na jego los. Nie wiem.

- hn dłużej go nie ma, tym bardziej wydaje się prawdopodobne, że coś mu się przytrafiło. Przed zniknięciem albo po.

- To tylko domysły, a my musimy trzymać się faktów. Postarajmy się myśleć trzeźwo i obiektywnie. Mógł wypłynąć w morze jachtem, wypadł za burtę i zjadły go rekiny. Może pożyczył jacht od przyjaciela, nie pytając o zgodę. Przyjaciel zgłosił kradzież łodzi, ale nie przyszło mu do głowy, że to Dce ją zabrał. - Harl położył pędzel na puszcze z lakierem i usiadł w

ogrodowym fotelu obok Andrew. - Dce mógł zginąć na tysiąc rozmaitych sposobów. Nosiło go po całym świecie, oceany, góry, busz... Nigdy się nie dowiemy, jak stracił życie, o ile je stracił.

- Być może żyje, tylko postanowił do nikogo się nie odzywać. To w jego stylu.

- Niewykluczone, że ma jakiś układ z siostrą. Lauren wie, gdzie on jest, ale przyrzekła Dce'owi, że nikomu nie zdradzi sekretu. A może - dodał, spoglądając znowu na Tessę i Dolly - nasza mała, śliczna Tessa zamordowała go własnymi rękami.

- Harl.

- Och, mam jeszcze bardziej dalekosiężne hipotezy. Jedna z nich dotyczy Marsjan. Ponoć są bardzo krwiożerczy. Wiele myślałem o tej sprawie.

- Przed chwilą twierdziłeś, że nie myślisz, kiedy pracujesz.

- Bo nie myślę - przytaknął. - Uruchamiam mózg dopiero po pracy.

Co oznaczało, że Harl prawdopodobnie nie zmrzył oka ostatniej nocy.

Andrew wstał. Powietrze się zmieniało. Z południowego zachodu nadciągały ciężkie deszczowe chmury. To dobrze, pomyślał. Przyda się trochę deszczu. Słyszał ptaki śpiewające w gałęziach drzew, a pod stopami poczuł miękką ziemię obficie zlaną wodą przez Tessę i Dolly.

- Pozwalasz, żeby po tobie pełzały? - jęknęła Tessa. - Obrzydliwość.

Dolly zachichotała.

- To tylko robaki. Popatrz, jakie są śliczne.

- Robaki wcale nie są śliczne, królowno Dolly. Śliczne mogą być kociaki.

- Kiedy będę mogła wziąć je na ręce?

- Za kilka dni. Tata powie ci kiedy.

Tessa uśmiechnęła się na widok Andrew. Podniosła się, po łokcie ubłocona i radosna.

- Powiadają, że człowiek ma lepszy kontakt z ziemią, jeśli nie używa rękawic ogrodowych.

- A ty jak myślisz? - zapytał.

Zaśmiała się, w oczach rozbłysły wesołe iskierki.

- Myślę, że będę musiała zrobić manicure. Dolly poderwała się z grządki. Wyglądała jeszcze gorzej niż Tessa. Podbiegła do Andrew z szeroko otwartymi ramionami. Ojciec, ratując się, chwycił ją wpół i tak obrócił, że zawisła w powietrzu głową w dół. Zaczęła śmiać się, pisać, wiercić, w końcu jednak i tak udało się jej wysmarować go błotem. Kiedy postawił ją na ziemi, ruszyła pędem przed siebie.

- Przyprawdzą Harla! - zawołała w biegu. Harl zatrzymał ją, zanim zdążyła dopaść świeżo malowanej komody.

- Obaj robicie dobrą robotę - powiedziała Tessa. - Jest wspaniałym dzieckiem.

- Taka już się urodziła. Roześmiana.

- Nie przerażała cię myśl, że będziesz musiał sam ją wychowywać?

Stropił się na to poważne pytanie, ale wzruszył tylko ramionami. Zrobiłby dla Dolly wszystko. Tak było od samego początku.

- Robię, co do mnie należy.

Tessa to rozumiała. Sama wcześniej straciła matkę i widziała, jak ojciec usiłuje ułożyć sobie życie, jak musi radzić sobie sam. Próbowwała zetrzeć grudki zaschniętego błota z dłoni.

- Muszę się umyć - stwierdziła, ale nie ruszała się z miejsca, spoglądając na Andrew rozświetlonym, pogodnym wzrokiem. - Sześciolatków boję się jeszcze bardziej niż ginących bez śladu szkieletów i dziwnych hałasów w ciemnościach - dodała.

- Nie sądzę. Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do dzieci i nie czujesz się z nimi bezpiecznie, ale na pewno się ich nie boisz.

- To nie ich się boję, tylko siebie. Cały czas myślę, że powiem coś nie tak i dzieciak wyląduje na terapii, zaczną palić opium albo jeszcze gorzej.

- Na tym polega cała sztuka. Nauczyć je, że to one są odpowiedzialne za własne wybory, a nie rodzice, nie nauczyciele czy koledzy.

- Owszem, ale my, dorośli, czasami potrafimy zrobić coś, co kompletnie spieszy takiemu dzieciakowi życie. Zbić na krwawą miazgę, wrócić do domu pijanym do nieprzytomności...

- Umrzeć?

Powiedział to cicho, tak cicho jak tylko potrafił, ale Tessa w jednej sekundzie zamilkła.

- Pamiętam swoją matkę, jak siedzi na skałach, niedaleko stąd - odezwała się dopiero po chwili. - Owinięta w koc obserwowała moje zabawy. Potem... potem podświadomie czułam, że nie z własnej winy mnie zostawiła. Dzieci rozumieją takie rzeczy.

- Pobędziesz trochę z Dolly, a przekonasz się, jak wiele potrafią zrozumieć. Doskonale wiedzą, kto naprawdę o nie dba, komu na nich zależy, a kto tylko udaje.

Tessa westchnęła.

- Nie potrafię udawać.

Andrew uśmiechnął się i zdjął grudkę błota z jej dłoni.

- Wiem.

- Wczoraj... wszystko ułożyło się tak dziwnie. Straciliśmy głowy... - Tessa usiłowała przeproszać za coś, czego w gruncie rzeczy wcale nie żałowała. - Powinnam była powiedzieć ci wcześniej, co widziałam.

- Chyba nie uważasz, że powinniśmy zachowywać się tak, jakbyśmy nie...

- Tak.

- Dobrze. Mów dalej. Zasepiła się na moment.

- Nie chodzi tylko o mnie, ale także o ciebie. To zupełnie bez sensu, jeśli tylko ja będę udawała, że nic się nie stało.

Andrew odwrócił się i ruszył w stronę domu. Wiedział, że Tessa oczekiwała po nim innej reakcji, ale on nigdy nie potrafił działać zgodnie z oczekiwaniami innych. Był przeciwieństwem Granthamów z ich charyzmą i pełnym elegancji sposobem bycia. Nie potrafił oczarowywać ludzi. W takich razach czuł się głupio, fałszywie. Jeszcze gorzej niż Harl na wytwornym przyjęciu.

Pamiętał, jak jeszcze za życia Joanny zostali zaproszeni do Granthamów.

Swobodnie rozmawiała z innymi gośćmi, wymieniała luźne, towarzyskie uwagi i przekonywała go, że to łatwe, że można się tego nauczyć, tak jak uczy się wędkowania czy stawiania domów.

Przechodziła z pokoju do pokoju, uśmiechała się, bez trudu grała swoją rolę zaufanej asystentki Richarda Montague'a.

Richard był teraz mężem Lauren Grantham i miał objąć wysokie stanowisko w Pentagonie. Brat Lauren przepadł gdzieś bez śladu. Joanna nie żyła.

- Andrew?

Odwrócił się i zobaczył wyraz twarzy Tessy. Nie dostrzegł paniki. Raczej zainteresowanie. Podeszedł do niej.

- Patrzę życiu prosto w oczy - powiedział. - Inaczej nie potrafię. Nie żałuję tego, co stało się wczoraj. Chyba że jednej rzeczy - dodał.

- Mianowicie?

Oczy Tessy błyszczały. Nie zamierzała już udawać, że między nimi nic się nie wydarzyło.

W kącikach jej ust błąkał się lekki uśmiech. Andrew też się uśmiechnął.

- Nie powinienem był przygotowywać pokoju gościnnego. To błąd.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mianowanie na stanowisko w Pentagonie zostało wstrzymane. Richard nalał sobie szkockiej. Usiłował oswoić się z wiadomością, którą osobiście, z niewzruszonym spokojem, przekazał mu Jeremy Carver.

Siedział teraz w gabinecie Richarda, obserwując jego reakcję.

- Kiedy będziemy wiedzieli, gdzie podziewa się twój szwagier, podejmiemy decyzję - wyjaśniał. - Senator uważa, że powinniśmy poczekać.

- Senator czy ty?

- Mówię w imieniu senatora.

- Oczywiście.

Richard starał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiała pogarda.

Był inteligentniejszy, lepiej wykształcony, miał znacznie bardziej odpowiedzialną pracę niż większość ludzi, których znał. Nudziło go już, że ciągle musi udawać zwykłego faceta, takiego samego jak inni, ani trochę lepszego.

Amerykański antyintelektualizm, pomyślał kwaśno. W tym kraju nikt nie ceni przymiotów umysłu.

Był pewien, że gdyby nie wzenił się w rodzinę Granthamów, nigdy nie zaproponowano by mu stanowiska w Pentagonie.

Wypił łyk szkockiej i poczuł miłe ciepło.

Był późny wieczór. Lauren nie wróciła jeszcze ze spotkania w klubie książki. Nie widział jej przez cały dzień i zastanawiał się, czy żałuje ostatniej nocy. Może czuła się zażenowana, posunęli się przecież bardzo daleko w erotycznych ekstrawagancjach. Uśmiechnął się nieznacznie na tę myśl. Seksualna i intelektualna przewaga nad żoną była na pewno czymś, co dawało mu satysfakcję.

Niestety nad Jeremym Carverem nie miał przewagi. Żadnej.

Carver skreśliłby go bez wahania. To, że Richard był najlepszy w swojej dziedzinie, że w całych Stanach nie

znalazłby nikogo o porównywalnej wiedzy i doświadczeniu, nie miało najmniejszego znaczenia. To się po prostu nie liczyło.

Carver myślał wyłącznie o tym, co leżało w interesie jego szefa. Nic innego nie wchodziło w grę. Richard miał przynajmniej jasną sytuację. Rzadko zdarzało mu się poruszać w tak wyraźnie czarno-białym świecie.

Ktoś musiał wiedzieć, gdzie jest ciało Dce'a.

Ktoś.

- Napijesz się czegoś? Mogę ci zaproponować mrożoną herbatę, wodę mineralną gazowaną albo niegazowaną, lemoniadę.

Carver pokręcił głową.

- Nie, muszę zaraz wracać do Bostonu. Za godzinę mam samolot.

- Wracasz do Waszyngtonu? Przytaknął.

- Będziemy w kontakcie. Jak tylko dowiemy się, co z Ikiemi, albo twoja żona powie nam, gdzie możemy go znaleźć, wrócimy do naszej sprawy.

- Lauren nie wie,, gdzie podziewa się jej brat.

- Nie? To bardzo dziwne.

- Nie znasz Dce'a.

- Wszyscy mamy jakieś kłopoty rodzinne. Senator to rozumie i nie robi problemu ze sprawą twojego szwagra, ale nie chce skandalu. Przecież znasz zasady. Nie ma Dce'a, nie ma nawet ciała. Piękna historyjka dla jakiegoś dziennikarzyni. Mógłby zrobić się z tego niezły smród.

- Nie odpowiadam za Dce'a Granthama. Nie miałem z nim nic wspólnego. Nie możecie mnie obciążać za jego ekstrawagancki styl bycia. To niesprawiedliwe.

- Tak? Witaj w klubie niesprawiedliwie obciążonych, doktorze Montague. Towarzystwo bardzo liczne i doborowe.

Richard upił kolejny łyk szkockiej, lecz tym razem nawet jej nie poczuł.

W gabinecie panował półmrok, za oknem niebo zaciągnęło się ciężkimi, szarymi chmurami, zapowiadającymi deszcz.

- Tessa Haviland najprawdopodobniej nie widziała nic w swojej piwnicy.

- Może nie, może tak. Tak czy inaczej nie mogła sobie wybrać gorszego momentu. Ty masz właśnie przejść do Pentagonu, a ona znajduje szkielety po piwnicach. - Carver podniósł się, wyciągnął palec w kierunku Richarda. - Możesz mieć z jej powodu kłopoty.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiła to rozmyślnie, żeby pokrzyżować mi plany? - zapytał Richard, siląc się na spokój. - To oznaczałoby, że mam wrogów.

Carver uśmiechnął się szeroko i ruszył ku drzwiom.

- Wszyscy mamy wrogów, doktorze, nawet taki ważny mądrała jak ty. - Poklepał futrynę, odwrócił się i mrugnął. - Znajdź Ike'a. Sprawdzę tę Haviland, dowiem się, czy ktoś ją opłacił, żeby utrudniała ci życie. Być może któryś z przeciwników senatora.

- Jestem ekspertem od terroryzmu, panie Carver, nie politykiem.

- Wiem. Po co przyjeżdżałbym tutaj?

Tessa obudziła się przerażona. Była we własnym mieszkaniu we własnym łóżku. Czowała przejmujący lęk, którego nie potrafiła uzasadnić w żaden racjonalny sposób.

Próbowała skupić uwagę na znajomych sprzętach, tonącym w mroku, swojskim wnętrzu, odgłosach dochodzących z wewnętrznego dziedzińca, ale w głowie czuła zamęt, a serce waliło jak oszałałe.

Musiała zdecydować, co począć ze starą, zrujnowaną wozownią. Musiała zapłacić podatek za swoją rudere. W wozowni straszło. Jej poprzedni właściciel zniknął i od roku nie dawał znaku życia. W sąsiednim domu mieszkał milkliwy potomek mordercy, którego nieszczęsny duch nawiedzał przekłętą wozownię.

Potomek mordercy miał córkę, która uważała, że jest królewną, oraz siwowłosego kuzyna, który cierpiał na zaburzenia wywołane traumatycznymi przeżyciami z Wietnamu.

Kotka przybędła postanowiła urodzić małe na ściworze Tessy.

A ona całowała się z Andrew Thorne'em i zachowywała się tak, jakby w każdej chwili gotowa była się w nim zakochać.

Zważywszy wszystkie okoliczności, trudno się dziwić, że jawiły się jej szkielety zakopane w piwnicy.

Kłopot w tym, że nie było to przywidzenie.

Tessa czuła, jak narasta w niej uczucie paniki. Brakowało jej powietrza, nie mogła oddychać, miała ochotę uciekać Bóg wie dokąd. Odrzuciła kołdrę.

Widziała kości. Czaszkę. Ludzkie szczątki. Martwego człowieka.

Obróciła się na brzuch i zapaliła nocną lampkę. Od miesięcy nie przytrafił się jej atak takiej paniki. Zdarzały się, kiedy zdecydowała się usamodzielnic i zaczynała prowadzić własną, jednoosobową firmę. Opowiadała o nich Dce'owi.

- To normalne - stwierdził tym swoim pewnym siebie tonem.

- Jak cię znowu najdzie, wypij kieliszek likieru kawowego, na pewno ci pomoże.

Nie chciała myśleć o Eke'u.

Cyfry na budziku przeskoczyły z 4:59 na 5:00. Niedługo zacznie świtać, pomyślała i obróciła się na plecy, wbiła wzrok w sufit i zaczęła oddychać miarowo. Policzyć do ośmiu, wdech, wstrzymać oddech, policzyć do ośmiu, długi wydech na osiem.

Serce zaczęło się uspokajać. Mogła już myśleć racjonalnie.

Włączyła symulator dźwięków i małą sypialnię wypełnił szum oceanu. Nie najszcześniejszy wybór. Przełączyła na deszcz tropikalny, ale było już za późno. Przed oczami miała twarz Andrew, gdy całował ją w drzwiach pokoju córki, a potem w mroku na ganku od strony ogrodu.

Nie wymyśliła sobie szkieletu.

Na tym polegał problem. Nie miała aż tak wybujałej wyobraźni ani nie była aż tak stuknięta. I nie była to ani gra świateł, ani sztuczka splekana przez złośliwego ducha.

Szkielet zniknął. Szukała go policja, szukała go ona razem z Susanna, szukał Andrew.

Davey i ojciec mogli go nie zauważyć. Interesowały ich rury, przewody i instalacje, dlatego nie patrzyli pod nogi.

Ciekawe ile brakowało, żeby przyłapała złodzieja, który wymykał się z piwnicy w sobotę wieczorem z workiem kości.

Próbowała przypomnieć sobie dokładnie ten moment, kiedy po kolacji wróciła niespodziewanie do wozowni, żeby zamknąć drzwi kuchenne.

Miała jechać prosto do Bostonu. Kto o tym wiedział? Andrew. Harl. Dolly. Jej samochód stał na podjeździe przed domem Thorne'ów zamiast przed wozownią. Ten, kto się zakradł, mógł myśleć, że już wyjechała.

- Jestem grafikiem, a nie detektywem - mruknęła do sufitu.

Wstała, włożyła strój do joggingu, wypięła w kuchni szklanke soku pomarańczowego i wybiegła na ulicę w szary, dżdżysty świt.

O tak wczesnej porze na wąskich, lśniących od deszczu uliczkach Beacon Hill panował jeszcze spokój. Nocna ulewa przeszła, zaledwie mżyło.

Tessa biegła po asfalcie, bo brukowane chodniki, śliskie od deszczu, groziły skruceniem nogi albo nieprzyjemnym upadkiem.

Zatrzymała się na chwilę na Beacon Street, zrobiła kilka skłonów i pobiegła na Boston Common, gdzie minęła kilka osób zażywających, podobnie jak ona, porannej przebieżki. Zziębnięta, zmęczona i spocona, ale przynajmniej na jakiś czas wolna od demonów, wróciła do domu.

Wzięła prysznic i w szlafroku przeszła do kuchni. Przygotowała sobie płatki na mleku i usiadła przy stole pod oknem poniżej poziomu ulicy. Gdyby nie zrezygnowała z pracy

w korporacji, mieszkałaby przynajmniej o jeden poziom wyżej, zamiast w suterenie. Miałaby większe mieszkanie. No cóż, Susanna przestrzegala ją przed nadmiernymi wydatkami. Cierpliwie tłumaczyła, że Tessa powinna na wszelki wypadek mieć trochę gotówki na koncie, szczególnie teraz, kiedy się usamodzielniała.

Pomyślała o oceanie i zapachu bzów. Gdyby nie komplikacje, wozownia mogła być wymarzoną dla niej miejscem.

Skończyła płatki, ubrała się i ruszyła w kierunku Beacon Street. Rozkoszowała się tym, że może chodzić do pracy pieszo, że nie jest uzależniona od samochodu. O siódmej trzydzieści weszła do budynku, w którym mieściło się jej biuro.

Susanna Galway siedziała już przy swoim komputerze.

- Chryste Panie! Wyglądasz koszmarnie - przywitała przyjaciółkę.

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

- Powiedz, że zobaczyłaś w nocy szkielet w swoim mieszkaniu. To nam rozwiąże sprawę. Zawieziemy cię prosto do czubków i damy sobie spokój z policją.

- Niestety nie zobaczyłam.

Tessa postawiła plecak na podłodze koło krzesła. Nie pamiętała, co ma tego dnia do roboty. Spotkanie z klientem? Nie, chyba drukarnia, przypominała sobie mgliście.

Zazwyczaj miała rozkład dnia w głowie, nie musiała nawet zaglądać do kalendarza.

- Szukałam w Internecie jakichś informacji na temat Ike'a i tych dwóch, którzy mieszkają obok - powiedziała Susanna.

- I co? - zainteresowała się Tessa.

- Nie znalazłam nic nowego na temat Dce'a. „Globe” po śmierci Joanny zamieścił na swojej stronie jej zdjęcie z Dciem. Był cholernie przystojny, trzeba to przyznać draniowi.

- Nie używaj czasu przeszłego. Susi puściła mimo uszu uwagę Tessy.

- Podobał ci się?

- Nie. Nigdy o nim nie myślałam w ten sposób. On o mnie chyba też nie. - Tessa ciężko opadła na fotel. Czowała się obolała albo po porannym joggingu, albo po wczorajszym sadzeniu kocimiętki z Dolly. Dolly, kiedy już do czegoś się zabierała, nie oszczędzała się.

- Dce zawsze wydawał mi się dość smutną postacią, jeśli chcesz wiedzieć.

- Dziedzic wielkiej fortuny, przystojny, wysportowany, żeglarz, tenisista, alpinista. Kobiety za nim szalały. Z wyjątkiem Tessy Haviland z Somerville w stanie Massachusetts. Rzeczywiście bardzo smutna postać. - Susanna stuknęła kilka razy w klawiaturę komputera. - Rozumiem teraz, dlaczego tak marnie skończył w ciemnej piwnicy.

- Susanna.

- Przepraszam. Ciągle zapominam, że lubisz tego faceta. Nalać ci kawy?

Tessa pokręciła głową.

- Sama sobie nalej. Co znalazłaś na temat Andrew Thorne'a i Harleya Becketta?

- Andrew ma dobrze prosperującą firmę budowlaną, jest wziętym architektem. Cieszy się niezłą opinią, przynajmniej w tej chwili. Dawniej był z niego kawał zabijaki, jeśli wierzyć artykułowi z lokalnej gazety wydawanej w Gloucesterze. - Wstała i podeszła do dzbanka z kawą.

Tessa się spóźniła i Susanna zdążyła napełnić kubek szatanem. Innej kawy nie uznawała.

- Harley Beckett to całkiem inna historia. Tessa zamknęła gorący kubek w dłoniach.

- Jest starszy od Andrew.

- Był ochotnikiem w Wietnamie.

- Ochotnikiem? Nie pojechał z poboru?

- Nie, sam się zgłosił. Został ranny, więc wrócił do domu i przez kilka lat nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wreszcie zaczął pracować w policji w Gloucesterze. Ustatkował się, okazał się

niezłym gliną i awansował na detektywa. Znowu został ranny, na służbie, w czasie napadu na bank. Zastrzelił faceta, który przedtem go ranił. - Susanna odgarnęła włosy za uszy.

Miała poważną minę. - Znali się od dziecka, dorastali na tej samej ulicy. Ponoć nawet przez jakiś czas się przyjaźnili.

- To musiało być straszne. - Tylko na tak oczywisty komentarz zdobyła się Tessa.

- Wkrótce potem odszedł z policji i zajął się renowacją mebli.

- Mam nadzieję, że Dce Grantham nie miał nic wspólnego z tym napadem.

- Nie, ale Beckett przyjmował sporo zleceń od fundacji Ratujmy Zabytki Beaconu. Wymieniają go na swojej stronie internetowej.

- Mam tego wszystkiego dość - szepnęła Tessa.

- Powinnaś. Mnie też to się nie podoba. Chcesz mojej rady? Miej oczy szeroko otwarte. Staraj się być obiektywna. Nie angażuj się.

Przypomniała sobie pocałunki Andrew, wymyślanie wspólnie z Dolly śmiesznych imion dla kotów, sadzenie kocimiętki.

- Za późno.

Susanna westchnęła ciężko.

- Wiem.

Po powrocie z budowy w Newbury-port Andrew zastał w swoim biurze Dolly. Skończyła lekcje i przyszła po szkole do ojca.

Był przemoknięty i ubłocony. Nad całym wybrzeżem wisiała mgła, od południa bez przerwy padało.

Mżył zimny, nieprzyjemny deszcz, taki, którego można raczej spodziewać się w kwietniu niż pod koniec maja. Stosowny do podłego nastroju Andrew.

Przez cały dzień wyrzucał sobie, że dał się wciągnąć w perypetie Tessy Haviland.

Zadna ze znanych mu kobiet za nic nie zeszlaby sama nocą do piwnicy, kot nie kot. Tak więc Tessa miała niezwykle rysy

charakteru, co wcale nie znaczy, że dobre. Wręcz przeciwnie, ta kobieta działała jak taran, demolując wszystko po drodze. Wystarczył jeden weekend, żeby do góry nogami przewróciła jego spokojne życie w nadmorskim zaciszu. Kocięta, szkielety, długie pocałunki...

Otrząsnął się ze wspomnień. W końcu to on zrobił pierwszy krok. Miał złe przeczucia, ale niczego nie żałował. Gdyby Tessa weszła w tej chwili do jego biura, niech go diabli, jeśli nie pocałowałby jej znowu.

Firma Thorne Constructions mieściła się w starym domu z 1797 roku, jednym z niewielu, który nie należał do fundacji. Dzięki temu Andrew był niezależny od Lauren Montague i Dce'a Granthama.

Odsłuchiwał wiadomości na automatycznej sekretarce. Słyszał, jak Dolly wita się z ludźmi z agencji nieruchomości, która zajmowała drugą połowę budynku. Dolly często zaglądała do biura po szkole. Towarzyszący jej Harl z zasady czekał na zewnątrz. Dzisiaj też wołał moknąc na deszczu. Trudno, skoro tak chciał...

Przed wyjazdem do Newburyport Andrew spotkał się z nauczycielką Dolly.

Córka wpadła do jego gabinetu, radosna jak promyk słońca, i wskoczyła mu na kolana. Na szczęście nie miała korony na głowie. Uśmiechnęła się radośnie.

- Tato, zjechałam dzisiaj po poręczy!

- Słyszałem.

- Wiesz już? - W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie i uraza.

Człowiek, nawet gdy ma zaledwie sześć lat, nie lubi, kiedy ktoś psuje mu niespodzianki. Andrew postanowił przejść od razu do rzeczy.

- Dzisiaj w czasie przerwy na lunch rozmawiałem z twoją nauczycielką, Dolly. Panna Perez mówi, że opowiadasz dzieciom niestworzone historie o Harlu.

- Co to są niestworzone historie?

Dolly doskonale wiedziała, co to są niestworzone historie. W swoim krótkim, sześćoletnim życiu odbyła z ojcem na ten temat przynajmniej kilka zasadniczych rozmów. Teraz usiłowała grać na zwłokę i odciągnąć uwagę Andrew od drażliwego tematu.

- Opowiadasz dzieciom w szkole, że Harl napada na banki.

Dolly parsknęła śmiechem, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona, choć zdawała sobie sprawę, że dorośli niekoniecznie muszą myśleć podobnie.

Harl chyba wyczuł, że rozmawiają o nim, bo pojawił się w drzwiach, ale nie odezwał ani słowem.

- Dolly, Harl nie napada na banki - cierpliwie wyjaśniał Andrew.

Dolly odjęła dłonie od ust, nachyliła się do ojca i szepnęła konspiracyjnie:

- To Chubby. To ona mówi, że Harl napada na banki. Powiedziała dzieciom, że strzelali do niego. Strzelali do Harla, tato?

- To było dawno temu.

Dolly porzuciła większość swoich wymyślonych przyjaciół z czasów przedszkola, ale Chubby została. Zapewne dlatego, że była dla Dolly niezwykle przydatna. Kiedy przesadziła ponad miarę, kiedy zbyt wyraźnie mijała się z prawdą, zawsze mogła zrzucić winę na tę okropną Chubby.

- Nie możesz fantazjować, Dolly. Chcesz wymyślać różne opowieści, wymyślaj, ale dzieci zawsze muszą wiedzieć, że są wymyślone.

- To Chubby wymyśla historie, nie ja. - Spojrzała w bok, jakby kogoś zobaczyła koło siebie. Zmarszczyła groźnie czoło i wyciągnęła palec. - Widzisz, Chubby, nie wymyślaj historii.

Andrew postawił ją na ziemi i natychmiast wybiegła z gabinetu, żeby porozmawiać z ludźmi w biurze. Wszyscy ją tutaj lubili i Andrew miał nadzieję, że łatwość nawiązywania kontaktu choć w części rekompensuje skłonność córki do noszenia koron i opowiadania niestworzonych historii.

Harl oparł się o futrynę i założył ręce na piersi.

- Napady na bank, he? Panna Perez musiała być zachwycona.

- Tak. Powiada, że udało się jej wypenić dyganie i dworskie ukłony, i że bardzo się cieszy, widząc Dolly bez korony.

- Musiałem ściągnąć jej tę koronę z głowy. Była na mnie zła jak wszyscy diabli. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego nie może chodzić do szkoły w koronie. Rita Perez była kiedyś zakonnica. Zero poczucia humoru.

- Rozmawiała ze mną bardzo dyplomatycznie.

- Mówię poważnie. To była zakonnica.

- Pytałeś ją?

- Nie, ale widzę.

- Harl, Dolly nie może opowiadać, że napadasz na banki. Nie może w szkole nosić korony. Nie może zmuszać dzieci, żeby przed nią dygały i biły pokłony. To nie ma nic wspólnego z tym, czy Rita Perez była zakonnica, czy nie.

- Ale była - upierał się Harl. Andrew nic nie odpowiedział. Harl wyszczerzył zęby.

- Ona naprawdę myśli, że napadałem na banki?

- Nie wiem. Może.

- Mówiłeś jej, że byłem gliniarzem?

Andrew wstał. Bywały dni, kiedy zastanawiał się nad swoim pełnym zakrętów życiem. Jakim cudem wylądował w malowniczym Beaconbythe-Sea, z sześciolletnią córką i siwowłosym, uczesany w kucyk kuzynem pustelnikiem?

Pomyślał o Tessie i westchnął.

- Powiedziałem panie Perez, że byłeś w Wietnamie. Uważa, że powinieneś porozmawiać z Dolly o wojnie. O tych różnych ponurych sprawach. Kim byłeś, co zrobiłeś dla kraju.

Harl prychnął.

- Ani myślę. To idiotyzm tłumaczyć sześciolletniemu dziecku, na czym polega wojna. Dolly takie lekcje nie są do niczego potrzebne. Jest pogodna i wesoła.

- Panna Perez też tak uważa.

- Więc w czym problem?

Jak zawsze docięliwy Harl. Andrew lekko uśmiechnął się.

- Problem będzie wtedy, kiedy policja zgarnie cię za dokonanie napadu na bank. Bóg jeden wie, co koledzy Dolly naopowiadają swoim rodzicom.

- Ha, ha, ha - powiedział Harl i wyszedł. Andrew też wyszedł do holu, żeby pożegnać się z córką. Zbiegała właśnie z pierwszego piętra, gdzie mieściła się kancelaria prawnicza. W obu dłoniach dzierżyła batoniki.

- Jadę po południu do Bostonu - powiedział. - Harl da ci kolację.

- A może być makaron z serem?

- Pewnie.

Wybiegła na ulicę. Harl, który stał w drzwiach wejściowych, zapytał lakonicznie:

- Boston?

- Tak. Tessa Haviland mieszka na Beacon Hill i pracuje na Beacon Street. Jej ojciec ma bar w Somerville. Każdy stolarz, hydraulik i elektryk w Bostonie zna bar Jima.

- Będzie wściekła, że ją szpiegujesz. A ona wygląda na taką, co to potrafi się wściekać - przestrzegł Harl, ale najwyraźniej nie miał nic przeciwko wyprawie.

Andrew wrzucił ramionami.

- Nie szpieguję, tylko prowadzę dochodzenie.

- Chcesz, żebym ja pojechał, a ty zostaniesz i przyrządzisz makaron z serem?

- Nie, ja pojedę.

Harl ponownie wyszczerzył zęby.

- Tak też myślałem. - Ruszył za Dolly i pociągnął ją za warkocz.

- Co z tymi napadami na bank?

- To Chubby.

- Chubby? Powiedz jej, że zaniosę ją do portu i utopię w oceanie.

- To nic nie pomoże - stwierdziła Dolly dramatycznie. - Ona świetnie pływa.

- Ta twoja Chubby za bardzo rozrabia.

- Wiem, Harl, ale co ja na to mogę? Tłumaczę jej i tłumaczę, i nic z tego. Ona jest okropnie nieposłuszna.

Harl obejrzał się na Andrew, który przysłuchiwał się rozmowie, i mrugnął. Dolly miała może zbyt wybujałą wyobraźnię i była pólsierotą, ale tych dwóch facetów z bandyckiej dzielnicy Gloucesteru radziło sobie całkiem dobrze z jej wychowaniem. Jeśli pani od pierwszaków myślała inaczej, to jej problem.

W tej chwili Andrew miał większe zmartwienia niż niestworzone historie opowiadane przez Dolly. Zamknął swoje biuro, wszedł do furgonetki i rozłożył mapę Bostonu na siedzeniu pasażera. Być może był przed laty w barze Jima, może nawet rozbił kilka butelek po piwie o szynkwas i połamał kilka krzesel.

A może nie. Miał wrażenie, że gdyby spotkał kiedykolwiek przedtem Tessę Haviland, na pewno by ją zapamiętał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Właśnie zaczynały się wiadomości. Davey usiadł na stołku przy barze i zadarł głowę, śledząc obraz na ekranie. Tessa udawała, że go nie zauważa. Ojciec zbierał zamówienia od studentów, którzy zsunęli kilka stolików i zasiedli przy nich całą chmarą. Na pewno ją dostrzegł. Zawsze widział wszystkich wchodzących i wychodzących z baru.

Usiłowała przybrać opanowany wyraz twarzy, żadnej wściekłości, irytacji, zgrzytania zębami. Spóźniała się ze zleceniami, przez cały dzień klienci bombardowali ją telefonami, faksami i e-mailami. Nawet zwykłej poczty przyszło tego dnia więcej niż zwykle.

Ale nie to ją wyprowadziło z równowagi. Szalę przeważył widok Andrew Thorne'a spacerującego po Old Granary między nagrobkami i wpatrującego się w okna jej biura.

Szpiegował ją.

Zanim zdążyła zbiec po schodach z trzeciego piętra i przegalopować przez Beacon, Park Street i Tremont, już nie było go na starym cmentarzu.

Po tym incydencie nie była w stanie pracować. Spakowała się i pojechała prosto do baru ojca.

- Wdepnęłaś w straszne gówno - oznajmił Davey, nie stropiony ani trochę tym, że Tessa ostentacyjnie go nie zauważała. - Szkielet. Jezu Chryste miłosierny, dziewczyno.

- Nie jestem w nastroju, Davey.

- Jimmy dowiedział się wczoraj wieczorem. Cały dzień czekał, kiedy się wreszcie pokażesz i zapytasz o radę. Ja nie czekałem, byłem zajęty. Wezwanie do awarii. Zalana piwnica. Bez szkieletów.

Posłała mu paskudne spojrzenie.

- Odwal się. Jak cię słucham, zaczynam żałować, że tu przyszedłem.

- Ty nigdy niczego nie żałujesz. Bierzesz życie jak leci, bez zastanowienia.

- Niektórych rzeczy żałuję.

- Wymień chociaż jedną.

- Ze jesteś moim ojcem chrzestnym.

- Ha.

Jim wrócił za bar. Bez słowa napełnił talerz gęstą duszoną wołowiną i postawił przed Tessą. Posmarował masłem dwa kawałki chleba, przekroił je po przekątnej, ułożył trójkąty na talerzyku i podsunął w ślad za potrawką.

- Tato, wdepnęłam w gniazdo szerszeni.

- Gniazdo szerszeni? Cholera, wołałbym wdepnąć choćby i w dziesięć, zamiast znaleźć jednego trupa.

- To nie by! trup, tylko kości. Jest pewna różnica. Ojciec nie spuszczał z niej wzroku.

- Nie ma żadnej.

- Jest. Trup... - Zapatrzyła się w talerz z pyszną duszoną wołowiną, szukając właściwego określenia. - Świeższy.

- Do diabła. Wiesz, jak zaostrzyć człowiekowi apetyt - mruknął Davey.

Tessa nie zwracała na niego uwagi.

- Jak się dowiedziałeś, tato?

- Mam swoje źródła.

Susanna nie pisnęła słowa. Na pewno nie powiedziałyby o szkielecie.

- Powinnam była przenieść się do Kalifornii. Tam nie znasz nikogo.

- Po co miałabyś mi wyświadczać aż taką przysługę? - Zerwał ścierkę z ramienia i zaczął z furią wycierać drewniany blat baru.

- Nie, zostań tutaj, potykaj się o trupy i nie informuj mnie o tym. To wspaniale, że nigdzie się nie wyniosłaś. Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Tessa milczała. Nigdy nie myślała o tym, żeby się wynieść z Bostonu. Miała przyjaciół w San Francisco, lubiła ich odwiedzać, ale Boston był jej domem.

- Jedz - warknął ojciec. - Wyglądasz, jakbyś nie spała od tygodnia.

Davey wszedł za bar i nałożył sobie drugą porcję wołowiny. Jak zawsze był nieskazitelnie ubrany, z idealnie przyciętymi włosami. Nawet jeśli spędził cały dzień w zalanej wodą piwnicy, trudno było po nim cokolwiek poznać. Pewnie wybiera się na randkę, pomyślała Tessa. Ojciec wdowiec, ojciec chrzestny dwukrotny rozwodnik. Nic dziwnego, że miała swoje zastrzeżenia wobec mężczyzn.

I Thorne. Co za podstępny drań!

Davey usiadł z powrotem na swoim stołku i umoczył kawałek chleba w brązowym, gorącym sosie.

- Najgorsze, czego się spodziewałam, to węże.

- Co powiedziała policja? - zapytał Jim.

- Nie uwierzyli mi.

- Chcesz, żebym z nimi porozmawiał?

- Nie! - Omal nie zachłysnęła się potrawką, którą zupełnie bezwiednie zaczęła jeść. Nie była głodna. -Nie, tato, nie trzeba. Nawet gdyby mi uwierzyli, niewiele mogą zrobić.

Davey zaczął pohukiwać jak duch.

- Tato. - Tessa wpatrywała się w kawałki mięsa, marchewkę i ziemniaki pływające w sosie. - Dlaczego nie ożeniłeś się po raz drugi?

- Słucham?

- Nieważne. Naszła mnie jakaś myśl bez związku. Masz rację, ostatnio nie spałam zbyt dobrze. - Uśmiechnęła się do ojca. - Duszona wołowina. Mniam. Tego mi było trzeba.

Jim pokręcił głową, jakby nie był w stanie zrozumieć swojej córki, i zabrał się za przygotowywanie drinków dla studentów. Zamówili głównie piwo.

Ustawił szklanki na tacy i zaniósł je do stołu. Jakiś chłopak zaczął narzekać, że zbyt długo czekali, na co Jim wskazał mu drzwi i zaproponował, żeby wsiadł do metra i wrócił do domu na koszt firmy. Nie był dzisiaj w nastroju. Zwykle marudzącym klientom wciskał ścierkę do ręki i proponował najniższą stawkę za pomoc przy obsłudze gości.

Kiedy wrócił za bar, Tessa opowiedziała mu, że Dce zniknął przed rokiem bez śladu, że Joanna Thorne zginęła zasypana lawiną, a Jedidiah Thorne nie wrócił z morza. Słuchał uważnie każdego jej słowa, wreszcie powiedział:

- Mówisz, że nawet jego siostra nie wie, gdzie ten bubek się podziewa?

- Zgadza się.

Davey, który zdzierzył kilka długich minut bez wtrącania swoich trzech groszy, westchnął.

- Rok to dość, żeby robaki obrobiły ciało do kości. Chryste, Tesso, nie mogłaś mnie uprzedzić, zanim tam wszedłem?

- Myślałam, że mi się przywidziało. Kiedy nic nie zauważyliście, uznałam, że piwnica jest czysta.

- Dziękuję ci. Mogłaś przyprawić mnie o atak serca. „Hydraulik nie przeżył makabrycznego odkrycia”. Bardzo miłe. Powinnaś była powiedzieć: „Tato, Davey, zerknijcie w tamten kąt, bo coś mi się wydaje, że wczoraj w nocy widziałam tam ludzki szkielet”.

Tessa zjadła kilka łyżek duszonej wołowiny. Davey miał rację.

- Słusznie mówisz. Przepraszam.

- Wiem, że słusznie mówię, tak samo jak wiem, że w nosie masz przepraszanie.

- Sytuacja była trochę niezręczna.

- Tesso, niezręczna sytuacja zdarza się, kiedy człowiekowi utknie kawałek mięsa między zębami i nie ma wykałaczki.

- W porządku, Davey. Naprawdę rozumiem, co do mnie mówisz.

Zmarszczyła czoło. Dostrzegła kątem oka coś w głębi baru. Jakiś ruch, odbicie w lustrze. Obróciła się gwałtownie na stołku. Cholera.

W najdalszym, mrocznym kącie pubu siedział Andrew Thorne.

Tessa najpierw zeszywniała, a potem posłała ojcu wściekłe spojrzenie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że on tutaj jest?

- Kto?

- Kto, kto. Andrew Thorne, mój sąsiad.

- Jest tutaj? Popatrz tylko. Nie poznałem go. Tessa wciągnęła powietrze przez nos. Kłamstwo.

Ohydne, bezczelne łgarstwo. W dodatku ojciec wcale się nie zawstydził, że kłamie w żywe oczy. Wrzucił kilka kostek lodu do szklanki.

- Ty mi nie mówisz wszystkiego, więc się nie dziw, że i ja czasami coś przemilczę.

- Nie będziemy teraz bawić się w rewanże. Ja ci ufałam, tato!

Jim posłał Tessie ojcowskie spojrzenie, ale nie odezwał się słowem.

- Masz, na co zasłużyłaś - wtrącił Davey, sącząc swoje piwo.

Tessa zeskoczyła ze stołka, przecisnęła się koło studentów, z impetem szurnęła jakieś krzesło, które jej stało na drodze, i podwinęła rękawy, czując, że ogarnia ją szewska pasja.

Przed Andrew stała pusta szklanka po piwie i talerz duszonej wołowiny. Podniósł wzrok, odchylił się na krześle. Nie spodziewała się po nim takiego spokoju i pewności na jej własnym gruncie.

Miała ochotę czymś w niego rzucić.

- Co ty tutaj robisz?

- Piję piwo i jem duszoną wołowinę. Słyszałem, że twój ojciec robi świetny chowder.

- Wcześniej. - Z trudem panowała nad sobą. - Na Old Granary, koło mojego biura. Czego tam szukałeś?

Andrew wyciągnął nogi, nie spuszczał z niej wzroku, wpatrywał się w nią spokojnie tymi swoimi niebieskimi oczami. Nie była pewna, ale chyba nawet nie mrugnął.

- Zjrzałem na grób Johna Hancocka.

- Bzdury. Szpiegowałeś mnie. Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Bo Dce Grantham dał ci wozownię i zostałam moją sąsiadką.

- Nie dał mi wozowni. Zapracowałam na nią.

- Jasne. I dlatego, że powiedziałaś mi o szkielecie w piwnicy.

Oddychała szybko, płytko. Czula jeszcze w ustach smak ziemi, kurzu, widziała przed oczami czaszkę. Odwróciła się i zawołała:

- Wyrzuc go, tato!

Davey okręcił się na stołku, oparł łokciami o bar i oglądał przedstawienie z ironicznym uśmieszkiem na twarzy, co wprawilo Tessę w jeszcze większą furję.

Ponownie zwróciła się do Thorne'a:

- Wstawaj. Nie masz tu czego szukać. Jeśli chciałeś się czegoś o mnie dowiedzieć, trzeba było przyjść do mojego biura. I poprosić, żebym cię tu przyprowadziła.

Andrew zmrużył oczy.

- Mam sześćioletnią córkę, Tesso. Muszę się upewnić, czy nie stanowisz dla niej zagrożenia.

- Wynos się.

Położył dłonie na brzuchu i nadal siedział wygodnie rozparty w krześle.

Tessa przestała panować nad sobą. To przecież pub jej ojca, jej terytorium. Andrew ingerował w jej życie, rozmyślnie usiłował wyprowadzić ją z równowagi, ponieważ jej nie ufał.

A może miał coś do ukrycia? Przychodziły jej do głowy różne domysły. Rzeczywiście ruszyła gniazdo szerszeni i teraz atakują ją na oślep.

Odsunęła stolik, przy którym siedział Andrew, a on nadal trwał w bezruchu, tylko oczy mu pociemniały. Tessie było już

wszystko jedno. Chwyliła jakieś krzesło i cisnęła nim o podłogę.

- Co jest? - zainteresował się jeden ze studentów.

- Burda - wyjaśnił usłużnie Davey. - Siedź na dupie i się nie wtrącaj.

Andrew nie odzywał się. Podniósł dłoń i podrapał się po brodzie.

Tessa złapała drugie krzesło, które śladem pierwszego również wylądowało z hukiem na podłodze. Napięcie ostatnich dni, zmęczenie, brak snu, dawały o sobie znać. Musiała odreagować stres, wylądować się. Była świadkiem kilku bójk w barze Jima i teraz powtarzała tamte scenariusze.

Chwyliła talerz z wołowiną i rąbnęła nim o ścianę. Gruby fajans pękł na dwie części.

- Jimmy, śledzisz zniszczenia? - zapytał Davey. - Dopisz jej to wszystko do rachunku.

Andrew wpatrywał się w Tessę nieruchomym wzrokiem. To tamte pocałunki tak wyprowadziły ją z równowagi, pomyślała trzeźwo. Reakcja na jego widok. Fizyczna, emocjonalna. Próbowwała sobie wmawiać, że to jeszcze jeden epizod dziwnego weekendu w Beaconbythe-Sea. Ze kiedy znów się spotkają, nic nie będzie czuła.

Nieprawda. Czuła. Nawet kiedy obserwowała go z okna swojego biura na trzecim piętrze.

- Musimy porozmawiać - powiedział spokojnie.

Zamierzyła się, zwiedziona jego bezruchem, i przeliczyła się, bo nagle ożył i niczym błyskawica wysunął rękę, chwytając Tessę za nadgarstek, zanim jej pięść zdążyła wylądować na jego brodzie.

Wstał lekko.

- Uspokój się.

- Nic nie doprowadzi kobiety do większej furii, niż mówić jej: „uspokój się”.

- Tessa.

Zaciśnięta na nadgarstku dłoń Andrew paliła niczym rozżarzone żelazo.

- Puść mnie.

- Puszczę, jeśli obiecasz, że nie będziesz próbowała mi przyłożyć.

Brał wcześniej udział w bijatykach. Był nie tylko architektem z North Shore.

- Ej, Tesso - odezwał się Davey. - Musisz się jeszcze sporo nauczyć. Facet jest od ciebie wyższy, cięższy i ma większe doświadczenie.

Wszystko się w niej zagotowało. Kopnęła Andrew w goleń, wyrwała mu się i rzuciła ku drzwiom. Andrew zachwiał się i zaklął, ale zdążył ją chwycić za łokieć, kiedy już miała potknąć się o nogę Daveya.

- Tesso, powiedziałem, że musimy porozmawiać.

- Nie, nie musimy.

Chwyciła piwo Daveya i chlusnęła Andrew w twarz, oblewając przy okazji trzech robotników z budowy, którzy stanęli właśnie w drzwiach.

- Co u diabła?

W barze się zakotłowało, jakby wściekłość Tessy była zaraźliwa. Andrew musiał ją puścić, żeby obronić się przed atakiem zwalistego mężczyzny, który uznał, że piwny chlust to jego robota.

Dostrzegłszy swoją wielką szansę, Tessa rzuciła się Andrew na plecy z serdecznym zamiarem wyrzucenia go na ulicę.

Mogła wyjść. Wsiąść w metro i pojechać do domu, pozostawiając Andrew Thorne'a na łasce Jima Havalanda i Daveya Ahearna, ale pokusa, by własnoręcznie się go pozbyć, była zbyt wielka. To jej miejsce. Jej obszar bezpieczeństwa. Święta ziemia. Nie miał prawa nigdzie jej szpiegować, ale tutaj szczególnie. Pogwałcił jej magiczne terytorium niczym jakiś barbarzyński najeźdźca.

Niestety nie dała mu rady. Tylko poczuła, jak wpija dłoń w jej udo.

- Tesso, do jasnej cholery!

Kiedy chciała chwycić talerz Daveya, ojciec chrzestny zsunął się ze swojego stołka i bezceremonialnie zdjął ją z pleców Thorne'a.

- Spróbuj tylko mnie tknąć, Tesso, a zrobię z ciebie siekane zrazy.

Jim Haviland wyszedł z za baru.

- Dość tego. Gdybym był Benem Cartwrightem, wypaliłbym ze swojej strzelby w powietrze, ale nie jestem. Wszyscy siadać i ma być spokój.

Uśłuchali, a Jim rozdał miotły, szufelki, ścierki i postawił gościom kolejkę piwa. Na rachunek córki.

Ani trochę skruszona nie chciała nawet spojrzeć na Andrew. Stał teraz za nią i zionął piekielnym ogniem. To już coś. Udało się jej wyprowadzić z równowagi chłodnego Jankesa.

Sporunowała ojca wzrokiem.

- Gdybyś wyrzucił Thorne'a, jak mówiłam...

- Wiesz co, Tessa - wtrącił się Davey - zawsze uważałem, że z ciebie wariatka. Żebyś ty kiedyś pomyślała, zanim coś zrobisz. Zdaje się, że cisnęłaś dwoma krzesłami w tego człowieka, co by oznaczało...

- W ciebie też mogę rzucić, Davey. Uśmiechnął się szeroko.

- Wezmę mop i pomogę sprzątać - zaofiarowała się Tessa.

Ojciec pokręcił głową.

- Mowy nie ma. Narobiłaś już dość szkód. Idź do domu i ochłoń. - Podał jej szklankę z lodem. - Wsyp to sobie za koszulę. Wyśpij się porządnie. Rano zadzwoń do Beaconu, powiedz policjantom, że naprawdę widziałaś ten cholerny szkielet i że ktoś go ukradł z piwnicy. Niech się zajmą sprawą.

Tessa nie zamierzała słuchać niczyich rad.

- Zrobię, co będę uważała za słuszne – powiedziała kwaśno. Kręciło się jej w głowie, czuła na sobie przewiercające ją na wylot spojrzenie Thorne'a. - Przyślij mi rachunek.

Ojciec też już stracił cierpliwość.

- Przyślę, możesz być pewna.

- Chodź, zawiozę cię do domu. - Andrew mówił spokojnie, ale stanowczo..

Tessa najeżyła się.

- Pojadę metrem.

- Dobrze. Podwiozę cię do stacji metra.

Zgodziła się tylko z obawy, że ojciec za chwilę zadzwoni na policję i noc będzie musiała spędzić w areszcie. Posłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Jesteśmy kwita. Ja ci nie powiedziałam o szkielecie, ty nie powiedziałeś mi o Thornie.

- Wcale nie jesteście kwita. - Jim z uśmiechem oparł się o bar.

- Boję się, że tym razem wyciągnęłaś krótszy patyk.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Andrew wyszedł z bójki z małym rozcięciem na rękę, a po kopniaku Tessy pozostał mu siniak na goleniu. Ona nie miała nawet najmniejszego zadrapania, jakby otaczał ją w czasie burdy ochronny klosz. Cóż, była córką Jima Havilanda.

Andrew widział, jak jest wykończona: sztywne ruchy, zmęczone oczy, zacięte usta. Nie miało to jednak znaczenia, bo Tessa gotowa była walczyć ze wszystkim i z wszystkimi.

- Twój ojciec mówi, że nie masz skłonności do przywidzeń - odezwał się Andrew.

Widać nie zachwyciła się tym, że rozmawiał o niej z Jimem za jej plecami, bo nie odpowiedziała. Skrzyżowała ręce na piersi i wyglądała przez boczną szybę. Minęli Museum of Science i skręcili w Storow Drive. Zapadał zmierzch, światła wielkiego miasta jaśniały na tle ciemniejącego nieba.

- Twój ojciec przyrządza wspaniałą wołowinę.

- Wszyscy to mówią.

Nie jest żadnym wyjątkiem, niech sobie nie myśli. Tessa nie zamierzała ustąpić ani na milimetr.

- Nie ożenił się po raz drugi po śmierci twojej matki?

- Nie.

- Miał przyjaciółki?

- Kilka. - Po Charles River wiosłował zawzięcie jakiś samotny kajakarz. - Wiele dla mnie poświęcił.

- Może nie spotkał nigdy odpowiedniej kobiety.

- Moja mama była tą najważniejszą. Kiedy umarła, żadna nie była w stanie jej zastąpić. Tak czuł.

- Nie chciał być nielojalny? Pokręciła głową.

- Nie. Po prostu nie potrafił zakochać się po raz drugi. Prawdziwa miłość zdarza się rzadko. Miał szczęście, że w ogóle ją spotkał.

Dla Andrew zabrzmiało to jak usprawiedliwienie albo fantazja.

- Pesymistyczne spojrzenie.

- Realistyczne. - Zerknęła na niego, ciągle sztywna, pełna urazy. - Mówię o prawdziwej miłości, nie o przyjaźni czy pożądaniu.

Uśmiechnął się lekko.

- Pożądanie jest ważne.

Odwróciła się do okna i pogrążyła w milczeniu.

Andrew nie zamierzał powtarzać, jakie refleksje snuł ojciec na temat mężczyzn w życiu Tessy. Nie pytał go o nic, Jim Haviland sam zaczął opowiadać. Mówił, że córka od dawna z nikim się nie spotyka. Kiedyś była zbyt kochliwa, lecz teraz stała się wybredna, może dlatego, że nosiła w duszy wyidealizowany obraz rodziców. Miała zaledwie sześć lat, kiedy umarła matka. Jim czyścił szkło, doglądał wołowiny i mówił, mówił. Było jeszcze wcześniej, kiedy Andrew przyszedł, w barze nikogo, mogli sobie tak gadać.

To Davey Ahearn poradził mu, żeby usiadł w kącie sali. Wypatrzył Tessę idącą od strony metra i wymyślił podstęp.

Gdyby zaczęła rzucać w niego krzesłami, ciskać talerzami, kopać i wyzywać od najgorszych gdziekolwiek indziej, byle nie w barze ojca i w obecności Jima oraz Daveya, Andrew nie gwarantowałby za siebie. Nie wiedział, jak by postąpił.

To znaczy wiedział, ale wolał nie myśleć o tym w tej chwili, mając obok siebie wyczerpaną, ale ciągle ziejącą ogniem Tessę.

Wjechał w kręte, strome uliczki Beacon Hill. Tessa zdawała się czuć tu równie swobodnie jak w robotniczej dzielnicy, gdzie Jim miał swój pub. Andrew zatrzymał się przed domem, w którym mieszkała, niewielkim budynkiem z czerwonej cegły z pomalowanymi na czarno okiennicami. Do jej mieszkania prowadziło osobne wejście, prosto z ulicy, w dół po kamiennych stopniach, osłonięte od strony chodnika kutym ogrodzeniem.

- Trafieś bez pytania - stwierdziła kwaśno.

- Przejeżdżałem tędy wcześniej. - Zgasił silnik i odwrócił się do niej. - Uznaliśmy z Harlem, że powinniśmy się czegoś o

tobie dowiedzieć. Wypełniłem zadanie. Nie mam do ciebie pretensji, że wpadłaś w złość. Idź teraz do domu, ochłoń. Wskazała głową rozcięcie na jego ręce.

- Ja to zrobiłam?

- Jeden z budowlańców.

- Billy. Jest porywczy. Lubi dobrą bijatykę.

- Zdaje się, że nie tylko on.

- Zasłużyłeś sobie. - Tessa odrobinę zmięła. - Ale to nie tylko twoja wina. Zezłościłam się na ojca i na Daveya. Nie wiem, może staruszek dosypał czegoś do wołowiny.

- Mam to traktować jako przeprosiny?

- Nie. - Uśmiechnęła się szeroko i wysiadła z furgonetki. - Dziękuję za podwiezienie.

Dojechał do końca ulicy, spojrzął w lusterko i zobaczył, że Tessa stoi nadal na chodniku z kluczami w dłoni. Nie mógł zostać, nie mógł zostawić Harla i Dolly samych, zważywszy, że po okolicy grasował być może złodziej szkieletów.

Ale nie mógł też tak odjechać. Jeszcze nie.

Cofnął się, zaparkował i wyskoczył z samochodu. Cały dzień czuł się dziwnie oszołomiony i zdekoncentrowany, jak ktoś, kto nie do końca odpowiada za swoje czyny i nie wie, co robi za chwilę.

Dziw prawdziwy, że nie przerzucił jej sobie przez ramię i nie wyniósł z pubu Jima niby jakiś jaskiniowiec.

- Tego nie da się tak zostawić. Musimy jednak porozmawiać.

- Podeszedł do stojącej koło ogrodzenia Tessy. W mroku jej włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze, niebieskie oczy też.

Wzruszyła ramionami.

- O czym? Przyjechałeś do Bostonu, żeby sprawdzić, czy nie jestem świrem, utrapieniem, psychopatką, czy przypadkiem nie uknułam jakiejś niecnej intrygi do spółki z Udem Granthamem. Kim jeszcze? Morderczynią. Krwawą, złowrogą zjawą, która sieje wokół siebie śmierć. Tak. Chciałeś się upewnić, czy nie mam nic wspólnego ze szkieletem w piwnicy.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś kogoś zabić.

- Ale przyszło ci do głowy, że mogę być świrem, utrapieniem i psychopatką?

Powściągnął uśmiech.

- Psychopatką nie.

Wybrała właściwy klucz i zaczęła schodzić po stopniach.

- Powinnam była rano zadzwonić do ojca i uprzedzić go, żeby nie wpuszczał cię do baru.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak chłodno mnie przyjął, kiedy pojawiłem się u niego po południu.

- I bardzo dobrze. Gdy trzeba, potrafi się jednak zachować. - W oczach Tessy zabłyśły iskierki. - Mam pewien pomysł. Wejdiesz?

- Na chwilę.

Stanął obok niej przy drzwiach zaopatrzonych w byle jaki zamek. Za nimi był niewielki korytarz prowadzący do mieszkania Tessy, położonego od ulicy, i drugiego, od strony podwórza. Jedne i drugie drzwi miały niewiele lepsze zamki, tyle że Tessa od wewnątrz założyła łańcuch i solidną zasuwę.

- Davey wpadł tu któregoś popołudnia - wyjaśniła.

- Zwykle nie zwracam uwagi na zamki.

- Zwykle prowadzę zwyczajne życie.

Andrew pomyślał, że Tessa Haviland składa się z samych sprzeczności. Graficzka z mieszkaniem w suterenie na Beacon Hill. Ojciec wdowiec. Ojciec chrzestny hydraulik. Brak matki, która mogłaby być wzorcem. Biuro przy starym cmentarzu. Wozownia nad oceanem, otrzymana od bogatego ekscentryka, który gdzieś przepadł.

Kobieta, która schodzi po nocy do piwnicy w poszukiwaniu kota, potyka się o szkielet, a potem nikomu nie wspomina o tym słowem.

Kobieta, która znając go zaledwie kilka godzin, poszłaby z nim do łóżka, gdyby nie Harl i Dolly.

Gdyby nie Dolly, bo Harl z pewnością nie miałby nic przeciwko temu.

- Komuś może się wydawać, że zwyczajne - sprostował Andrew.

Tessa uśmiechnęła się.

- Chcę, żeby było zwyczajne.

- Dlaczego?

- Bo byłam niezwykłym dzieckiem. Wychowywałam się bez matki. Teraz chcę być zwyczajną osobą.

Andrew wszedł do małej bawialni z wnęką kuchenną w głębi. Urządzone eklektycznie mieszkanko łączyło urok staroci z pchlego targu z wielkomięjskim wyrafinowaniem. W sposobie zestawienia przedmiotów nie było nic z martwej sztuczności, tak charakterystycznej dla wnętrz wymyślanych przez projektantów. Malowana taca na stoliku, kolorowe poduszki na kanapie.

I sterta upranych rzeczy. Sama bielizna. Andrew zauważył koronkowy stanik.

Tessa poszła za jego wzrokiem, zaczerwieniła się i szybko wyniosła bieliznę do sypialni.

- Mieszkam sama. Nie muszę co chwilę sprzątać po sobie.

- Gdyby to były ręczniki, nie przejmowałabyś się.

- Ale to nie były ręczniki. - Przeczesała krótkie włosy palcami. Andrew próbował ponownie doszukać się śladów bijatyki, sińców, zadrapań. Nic. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Myślisz, że policja coś dzisiaj działała? - zapytała nieoczekiwanie.

Andrew pokręcił głową.

- Wątpię.

- Pomyśleli, że mają do czynienia z wariatką. Może to i lepiej.

- Mniej komplikacji - zgodził się.

- Kto wie, może to Chubby podrzuciła szkielet. Albo go ukradła. Chubby czuwa nad wami. To ktoś w rodzaju anioła stróża.

- Dziękuję za takiego anioła stróża. Dolly zwała na nią wszystko, co przeszkobie.

Zaśmiała się.

- Podoba mi się jej sposób myślenia. Przewrotny, a zarazem całkowicie szczery.

Andrew zobaczył zdjęcia Tessy i Dce'a przy jakimś projekcie, który zapewne musiała wykonać na zlecenie fundacji. Na widok uśmiechniętej twarzy Granthama poczuł bolesne ukłucie.

Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji. Raczej powiedziałby, że przewycięzył już nienawiść do Ike'a, albo że nigdy nie czuł do niego nienawiści. Ujrzenie jego zdjęcia tutaj, w mieszkaniu Tessy, było jak nieoczekiwany cios.

- Dce potrafił być czasami straszny - powiedziała Tessa cicho, stając obok Andrew. Instynktownie wyczuwała jego emocje i postanowiła zareagować. -Nigdy nie traktowałam go poważnie. Przychodziło mi to bez trudu, bo był tylko klientem, ale wobec wielu osób postępował bezwzględnie. Był genialnym psychologiem, musiał się z tym urodzić, ale dziwnie wykorzystywał ten dar. Żerował na ludzkich słabościach, pokazywał im je jak na dłoni.

Andrew pokiwał głową.

- I w większości przypadków trafiał bez pudła. Co wcale nie znaczy, że można go było lubić.

Wzięła fotografię do ręki i przesunęła po niej palcem, z żalem, ale bez tej tęsknoty, która się budzi, gdy chodzi o ludzi nam bliskich.

- Mój przyjaciel zrobił to zdjęcie. Facet, z którym wtedy chodziłam. Dce go nie lubił. Mówił, że nie odróżnia śrubokręta od kombinerek i żebym nie zawracała sobie głowy typem, który nie potrafi naprawić spłuczki w ubikacji.

- Miał rację?

- Jeśli chodzi o tego faceta? No cóż, po prostu nie wiem, za krótko się spotykaliśmy, żebym poddała go testowi spłuczki.

Żartowała, ale była w tym forma obrony, próba ominięcia tego, co Dce w niej dostrzegł.

- Pytałem, czy miał rację, jeśli chodzi o ciebie?

- Wiem, jak naprawić spłuczkę, i to się liczy. -Przeszła do wnęki kuchennej w głębi pokoju. - Jesteś pewien, że nie chcesz nic do picia? Tata trochę przesolił wołowinę. Umieram z pragnienia.

Nalała wody do szklanki. Andrew wlepił wzrok w jej szyję, kiedy piła. Niedobrze. Stał obok niej koło zlewozmywaka i w małej wnęcie zrobiło się od razu ciasno.

- Tesso, nie wierzę, żebyś miała coś wspólnego ze znaleźnikiem w piwnicy. - Mówił spokojnym, pewnym głosem, patrząc jej prosto w oczy. Odstawiła pustą szklankę na blat i słuchała bez ruchu, co Andrew ma do powiedzenia. - Ja też nie mam.

- Ty?

- Nie przeszło ci to przez myśl? Przeszło. Mógł to wyczytać z jej twarzy. Skinęła szybko głową.

- Muszę wracać do domu. Dolly...

- Wiem.

Dotknął jej dolnej wargi, wilgotnej jeszcze od wody.

- Może nie powinnaś zostawać tu sama.

- Nic mi nie będzie.

- Możesz pojechać ze mną do Beaconu...

- Mam mnóstwo pracy - powiedziała cicho. - Poza tym muszę pomyśleć.

Andrew przesunął palcami po policzku Tessy, zanurzył palce w jej włosach.

- Dce był zakochany w mojej żonie.

- Wiem.

- Myślę, że ona też trochę się w nim podkochiwała. Do niczego między nimi nie doszło.

- Dce pod wieloma względami był trudnym człowiekiem, ale na pewno nie był szubrawcem.

Andrew uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Szubrawiec? Co to za określenie?

- Bardzo dobre określenie. Szubrawiec. Już w samym jego brzmieniu zawiera się znaczenie.

- Jak w słowie pocałunek - powiedział, patrząc w jej rozświetlone oczy. - Pocałunek. Powiedz to.

- Pocałuj.

Myślał o pocałunku już wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, koło bzów, zaraz po tym jak odesłała Dolly do domu. Myślał, ale już od dawna nie wierzył w przeznaczenie.

Przesunął dłonią po jej włosach i dotknął delikatnej, jedwabistej skóry na karku. Jeśli zaraz się od niej nie oderwie, za chwilę nie będzie w stanie tego zrobić.

- Następnym razem, jak się wdasz w bijatykę w barze, rzucaj meblami z większym sensem, a nie ciskaj ich na oślep. To tylko rozpala atmosferę - szepnął jej do ucha.

- Wiem. Może to właśnie chciałam zrobić? - Oczy Tessy poszarzały od szarego światła za oknami. - Rozpalić cię.

Zaczęli znowu się całować. Długo, głęboko, żarliwie. Tessa oparła się o blat i owinęła uda wokół bioder Andrew.

Autostrada nr 1 i podróż na północ wydawały się odległe o miliony mil. Andrew nic już nie obchodził Dce Grantham.

- Nie zakochał się we mnie. - Tessa zdawała się czytać w jego myślach. - Chciał tylko mojej życzliwości, przyjaźni. Ale nie miłości.

Wiedział, że mówi o Dce'u.

- To nie ma znaczenia.

- A jednak się nie zakochał.

Andrew cofnął się o krok, spojrzał na jej usta i na pomiętą bluzkę. Tak łatwo byłoby teraz zanieść ją do sypialni.

- Mówimy o nim cały czas w czasie przeszłym. Skinęła głową i zaczęła poprawiać bluzkę.

- Dlatego, że zniknął tak dawno temu.

- Tessa.

- Nie mogę nawet myśleć o tym, że to jego szczątki widziałam. - Odwróciła się i napełniła szklanę wodą z kranu. - Jedź już, Andrew. Możesz spokojnie zostawić mnie samą.

- Zadzwoń po ojca albo po Daveya...

- Tego mi tylko brakuje. - Oparła się o blat ze szklanką wody w dłoni. - Powinieneś coś wiedzieć. Coś, co powiedział Davey.

Andrew uśmiechnął się.

- Po tym jak zdjął cię z moich pleców?

- Popeliłam błąd, oblewając cię jego piwem. Powinam była chwycić czyjeś inne. Powiedział, że nigdy się nie zastanawiam nad tym, co robię. Bzdura.

- Hmm.

- Mówię, że bzdura. Davey nic nie wie o miłości i kobietach.

- Ale wie sporo o tobie. Prychnęła z udawanym oburzeniem.

- Nie wie! On i ojciec są strasznie staroświeccy. Złości ich, że mieszkam na Beacon Hill. Uważają, że powinnam pracować w dużej korporacji, mieć stałą pensję, premie. Dla nich zawód grafika jest bez sensu.

- Upiła trochę wody i przyłożyła szklanę do policzka.

- Tata martwi się, że wozownia będzie dla mężczyzn hasłem: nie zamierzam wychodzić za mąż.

- A nie zamierzasz?

- Słucham? Zaczynasz zachowywać się jak oni. Chodzi mi o to, że Davey nic nie wie.

Andrew mrugnął porozumiewawczo.

- Wie, jak naprawić spłuczkę. Tessa tylko prychnęła.

- Zadzwoń do przyjaciółki. Do Susanny Galway. Jeśli ktoś rzeczywiście wykradł szkielet z twojej piwnicy...

- To tym bardziej powinieneś być w domu z królową Dolly. Jedź. Jeśli będę się bała, zadzwonię po Susannę. - Popchnęła go w stronę drzwi. - Sześćioletnia panna jest ważniejsza niż kobieta, która przed godziną omal nie zdiełała cię butelką po głowie.

- A pięć minut temu miała ochotę pójść ze mną do łóżka?

Tessa nie próbowała nawet zaprzeczać.

- Następny powód, żebyś ruszał w drogę.

W dwie minuty później Andrew jechał Beacon Street.

Zapadł już mrok, zrobiło się nieco chłodniej. Wrócił jeszcze na Beacon Hill. Zastłony w oknach mieszkania Tessy były zaciągnięte, światła zapalone, na cichej uliczce nikogo.

Wiedział, że musi zostawić Tessę.

Sama musiała zdecydować, czy ma zadzwonić do ojca albo do Susanny, czy też wsiąść w samochód i pojechać do Beaconu.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wejść do mieszkania, nie spać jej i nie wsadzić do swojej furgonetki. I żadnego pokoju gościnnego, kiedy już dotrą do Beaconbythe-Sea.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Lauren spodobała się myśl, że wozi brata w bagażniku swojego samochodu. Spojrzała na mercedesa zaparkowanego przed domem Andrew i przeszedł ją dreszcz podniecenia.

Wiedziała, że to chore, ale nie czuła, by kości, które wykradła z piwnicy, to był Dce. Dla niej nie miały nic wspólnego z jego osobą, z jego duszą. Dce przebywał w innym, lepszym świecie. Wierzyła w to głęboko.

To, co zostało, można było nazwać zależnie od zapatrywań i aktualnych potrzeb. DNA. Materiał dla anatomopatologów. Dowód dla policji. Problem dla jej męża i jego mocodawców w Pentagonie, bo żona doktora Richarda Montague'a nie powinna wozić kości w swoim bagażniku, nawet jeśli powodują ją najbardziej niewinne motywy.

To jej brat. Poza nią Dce nie miał innej rodziny. Ona zdecyduje, czy śmierć Dce'a ma zrujnować życie innym ludziom. Powinien jej zaufać.

- Mój brat - szepnęła do siebie, wchodząc na ganek. Miała dzisiaj na sobie jasnioletowy kaszmirowy sweter, chociaż mogła ubrać się w coś lżejszego. Ale na cyplu było zimno i wilgotno, mimo że panowała zadziwiająca cisza. Ani śladu wiatorku.

Lauren usłyszała głośny tupot małych stóp i podniecony głos Dolly:

- Lauren przyjechała! Lauren przyjechała!

Po chwili była już w drzwiach, zaraz za nią pojawił się Harley Beckett. Dolly podskakiwała jak zabawka na sprężynie. Na głowie miała dzisiaj koronę przybraną gwiazdami.

- Chcesz zobaczyć dzieci Łatki Ogonatki? Harl otworzył siatkowe drzwi.

- O co chodzi?

- O nic. Wpadłam, żeby zobaczyć się z Andrew.

- Nie ma go.

- Rozumiem.

Nawet najlepiej usposobiony Harl nigdy nie zadziwiał rozmownością. Wprawiał Lauren w zakłopotanie, aż wreszcie powiedziała sobie, że człowiek, który potrafi przywrócić osiemnastowiecznemu fotelowi pierwotny blask, nie może być taki straszny, mimo że gbur i do tego wielokrotnie postrzelony przez Wietnamczyków i amerykańskich gangsterów.

Uśmiechnęła się do niego.

- Mam mały prezent dla Dolly.

Harl zrobił pełną dezaprobaty minę, ale Dolly wybiegła już z piskiem na ganek.

- Prezent dla mnie?

- Drobiazg. Sama go zrobiłam. - Uroczystym gestem wręczyła Dolly bambusowy kijek oklejony kolorowymi, błyszczącymi papierkami. - Królowna powinna mieć czarodziejską różdżkę.

- Ojej! Jaka śliczna! - Dolly zaczęła wymachiwać kijkiem, jakby to był miecz, a nie czarodziejska różdżka. - Harl, popatrz!

- Co się mówi?

Dolly uśmiechnęła się do Lauren.

- Dziękuję, pani Montague.

- Bardzo proszę.

- Chciałaby pani jednego kotka? Harl mówi, że musimy poszukać dla nich nowych domów.

- Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Mam trzy pudle.

- Nie lubię psów. Lubię koty.

Harl opiekuńczym gestem położył dłoń na ramieniu Dolly.

- Do domu. Tata powinien niedługo wrócić. - Podniósł wzrok na Lauren. - Zapalę światło na ganku, żeby się pani nie potknęła.

Pozbywał się jej, nie siląc na uprzejmość. Lauren uśmiechnęła się chłodno.

- Dziękuję.

Drzwi za Dolly i Harlem już się zamknęły, zapłonęło światło.

Lauren nie miała ochoty odjeżdżać.

Chciała, żeby Andrew dowiedział się, co dla niego zrobiła. Bez wdawania się w szczegóły. W ogólnych zarysach.

Otworzyła bagażnik. Czarna plastikowa torba leżała na swoim miejscu. Czy zacznie śmierdzieć, kiedy przyjdą upały? Miała wrażenie, że czuje odór śmierci, ale może to tylko zapach oceanu albo wytwór jej wyobraźni.

- Dce, słodki Jezu.

Jako dzieci często rozmawiali o śmierci. Dce nie chciał umierać spokojnie, we śnie. Chciał spojrzeć śmierci prosto w oczy.

Jego życzenie się spełniło, pomyślała, siadając za kierownicą.

W tej ponurej sprawie było to jedyne pocieszenie.

To Harl wymyślił, żeby przenieść koty.

Został z Dolly, a Andrew poszedł dokonać przeprowadzki. W wozowni panowały egipskie ciemności, przez deszczowe chmury nie przebijała się nawet poświata księżycy, światła z domu też tu nie docierały.

Powinien był wziąć silniejszą latarkę. Wyobraził sobie, jak w tamten piątkowy wieczór Tessa, zupełnie sama, nasłuchuje kocich skarg dochodzących spod podłogi.

Łatka Ogonatka nie była zadowolona z 'przeprowadzki. Podrapała go, ale poradził sobie z nią. Kociaki spały spokojnie w swoim pudełku.

Przeniósł kocią rodzinę do pokoju kredensowego i usiadł z butelką piwa przy kuchennym stole.

- To ta cholerna kocica? - Harl wskazał na zadrapanie na ręce Andrew.

Andrew pokręcił głową.

- Bijatyka w barze.

- Powiniennem pytać o szczegóły?

- Nie.

Harl uśmiechnął się szeroko.

- Tak też pomyślałem.

Popijając piwo, Andrew opowiedział kuzynowi, czego dowiedział się w Bostonie. Krótko mówiąc, wrócił z niczym.

- Nie ma powodów przypuszczać, że Tessa wymyśliła szkielet, by narobić nam kłopotów.

- Może chodziło jej o kogoś innego?

- O kogo? O Dce'a? Żeby wreszcie się ujawnił? O Lauren? Richarda? Ma objąć stanowisko w Pentagonie. Nie sądzę, aby Tessę cokolwiek to obchodziło.

- Ktoś mógł wsunąć jej kilka papierów do ręki i powiedzieć, żeby w jakiś sposób zaszkodziła doktorowi Montague'owi. - Harl wstał ze wzruszeniem ramion. - Mogło tak być.

- Różnie mogło być.

- Właśnie. Powinniśmy trzymać się faktów. - Przeplukał butelkę i postawił ją na blacie kuchennym. - Zmieniając temat, dzwoniłem dzisiaj do Rity Perez. Zgłosiłem się na wolontariusza. Do cholery, nie mogę pozwolić, żeby sześciolatek smarkacze uważali mnie za faceta, który napada na banki.

Andrew szybko podniósł butelkę do ust, żeby ukryć uśmiech.

- Co będziesz robił?

- Pomagał w czasie przerwy na lunch. Brzmi koszmarnie, co?

- Szkoła kończy się za kilka tygodni. Jeśli będzie aż tak źle, w przyszłym roku już się nie zgłosisz.

Harl odchrząknął i ruszył ku drzwiom.

- Jeśli będzie aż tak źle, nie zobaczą mnie już w przyszłym tygodniu. Niech to. Mam nadzieję, że rodzice nie będą się awanturować, że ich dzieci mają takiego nietypowego wolontariusza.

- Ja nie będę się awanturować, a jestem rodzicem.

- Aha. Niestety, też nietypowym.

Kiedy Harl wyszedł, Andrew poszedł zajrzeć do kociej rodziny.

Łatka ciągle jeszcze była zdenerwowana przeprowadzką, ale zajmowała się dziećmi jak każda porządna matka. Upewnił się,

czy wszystkie drzwi są zamknięte, na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy przenieść kociaki z powrotem do wozowni.

Idąc do bawialni, pomyślał, czy nie zadzwonić do Tessy, ale uznał, że jednak nie. Harl miał rację. Powinni trzymać się faktów, niezależnie od tego, dokąd ich zaprowadzą.

Dolly dostała czarodziejską różdżkę od Lauren Montague. Harl mówił, że była blada i niespokojna. Czyżby informacja o szkielecie tak ją rozstroiła? Podejrzewała, że mogło chodzić o szczątki jej brata? Jeśli tak, dlaczego nie zaalarmowała policji?

Czy Tessie o to właśnie chodziło? Wymyśliła historię ze szkieletem, żeby sprowokować policję do wszczęcia dochodzenia w sprawie zaginięcia Dce'a?

Dlaczego w takim razie nic nie powiedziała w piątkowy wieczór?

Dlatego, żeby w sobotni wieczór szkielet mógł „zniknąć”, snuł domysły Andrew. Musiała odczekać przynajmniej jeden dzień, żeby historyjka o kradzieży się uprawdopodobniła.

Fakty.

Andrew usiadł w wysłużonym starym fotelu i zaczął oglądać mecz w telewizji. Gdyby tylko mógł skupić się na faktach i zapomnieć o tym, jak trzymał Tessę w ramionach.

Tessa doszła do wniosku, że popełniła cztery poważne błędy.

Pierwszy, że nie wzięła Andrew do piwnicy od razu w piątek wieczorem. Powinna była zadbać o to, żeby mieć świadka, który by potwierdził, co widziała.

Drugi, że całowała się z Andrew w drzwiach sypialni jego córki.

Trzeci, że całowała się z Andrew na ganku jego domu.

Czwarty, że całowała się z Andrew u siebie w kuchni.

To, że próbowała wyrzucić go z baru ojca, nie było błędem, ale bardzo mądrym posunięciem. Drobne błędy pojawiły się podczas realizacji zamierzenia. Mianowicie przyjęła mylne założenie, że Andrew zrozumie aluzję i wyniesie się, kiedy tylko zacznie w niego rzucać krzesłami.

Nie wyniósł się.

Lecz całowanie go było poważnym błędem.

- Wielokrotnym - mruknęła - Cholera, myśl w liczbie mnogiej.

Usiadła na kanapie z laptopem na kolanach i odszukała w archiwum Outlooka wszystkie e-maile od Dce'a Granthama.

W sumie osiemdziesiąt siedem.

Była zaskoczona. Nie przypuszczała, że prowadzili aż tak obfitą korespondencję. Z westchnieniem odstawiła laptop na stolik i poszła do kuchni nalać sobie kieliszek wina.

Zadzwoiła Susanna.

- Babcia mówi, że polała się krew. Oczywiście miała na myśli burdę w barze. W Somerville musiało już krążyć przynajmniej kilkanaście wersji zajścia.

- Nie polała się, niestety.

- Rozbiłaś mu talerz na głowie?

- O ścianę.

- Butelkę?

- Chlusnęłam mu w twarz piwem.

- To mi się podoba, maleńka. Davey musiał interweniować, tak?

- Susi, to poważna sprawa.

- Wiem, wiem. Trupy w piwnicach i w ogóle. To dobry znak, że Thorne chciał cię sprawdzić. Znaczy się, nie wie, jakim sposobem kości trafiły do twojej piwnicy. - Wciągnęła gwałtownie powietrze. - Jesteś sama? Może przyjechałabyś do nas?

- Żeby twoja babcia przesłuchała mnie na okoliczność Andrew Thorne'a? Dziękuję. - Tessa zaśmiała się, ale sama usłyszała napięcie w swoim głosie. - U mnie wszystko w porządku. Dzięki za telefon.

- Mam kilku przyjaciół w Teksasie. Ostre chłopaki. Jeśli potrzebujesz ochroniarza, mogą ci to załatwić.

Tessa uprzejmie podziękowała za troskliwość i odłożyła słuchawkę.

Ochroniarz. Niech to cholera, sarknęła ze złością i naląła sobie wina.

Pierwszy e-mail od Dce był zwykłym potwierdzeniem terminu spotkania w sprawie zlecenia dla fundacji. Krótki, zawierał jednak coś z charakterystycznego, kpiarskiego stylu Ike'a. „My, bogaci Jankesi, kochamy stare domy, tyle że nazywamy je zabytkowymi. W starych domach mieszkają rybacy”.

Odezwał się domofon i w chwilę później w progu mieszkania stanął Jim Haviland.

- Zostawiłem samochód na ulicy. Nie ściągną go?

- Nie ściągną, jeśli nie będziesz tu siedział zbyt długo.

- Co za mieszkanie. Płacisz za tę mysia norkę cztery razy więcej niż powinnaś i jeszcze nie ma gdzie zaparkować.

Za każdym razem, kiedy ją odwiedzał, a nie zdarzało się to często, powtarzał tę samą litanię.

- Posprzątałeś już?

- Tak, niewiele było do sprzątnięcia. Jesteś mi winna za talerz, który zbiłaś.

- Babcia Susanny jest przekonana, że rozbiłam go na głowie Thorne'a.

Jim otrząsnął się.

- Stara sowa. Była już stara, kiedy ja jeszcze byłem dzieckiem. - Rozejrzał się po małym mieszkaniu i wskazał głową na laptop. - Pracujesz?

- Tak - powiedziała, nie zamierzając mu wyjaśniać, że przegląda e-maile od Ike'a. Gdyby to zrobiła, pytaniom i spekulacjom nie byłoby końca, a przecież ona sama tak naprawdę nie wiedziała, czego w nich szuka.

- Thorne pojechał?

- Był tu raptem kilka minut.

Ojciec przewiercał ją wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, że doskonale wie, ile się może wydarzyć podczas kilku minut.

- Czujesz coś do niego?

- Tato, znam go od paru dni.

- Jakby to miało jakieś znaczenie.

Tessa nie odpowiedziała. Ojciec miał rację, a ona nie chciała kłamać. Nie zawsze mówiła mu wszystko, nie wspomniała choćby o szkielecie, ale rzadko uciekała się do jawnego kłamstwa.

Szczerza rozmowa o Andrew, o tym, co do niego czuła i jak na niego reagowała, byłaby zdecydowanie przedwcześnie.

- On ma багаż.

- Bagaż? Mówisz o jego córce? Ja też byłam, jak to nazywasz, багаżem, którym nie chciałeś obciążać żadnej kobiety?

Jim wydał z siebie coś pomiędzy westchnieniem a mruknięciem.

- Nie to miałem na myśli. Ze mną i twoją matką to zupełnie inna historia. Dopóki jej nie spotkałem, w ogóle nie myślałem o małżeństwie. - Podrapał się po głowie. Był wyraźnie zażenowany rozmową. - To nie znaczy, że żyję przeszłością. Miałem przyjaciółki.

- Na przykład?

- Nieważne. Psiakość, nie po to tutaj przyjechałem. Chcę tylko powiedzieć, że jak człowiek był żonaty i ma dziecko, to już nie to samo. Nie próbuj się oszukiwać i wmawiać sobie, że nie ma żadnej różnicy. On już raz przez to przeszedł.

- Powinam była trzymać się mojego bankowca.

- Daj spokój, to był kompletny dupek.

- W teście Daveya dostał F.

- Słucham, w czym?

Ojciec zaczął chodzić po pokoju. W pewnej chwili spojrział krzywo na zdjęcie Tessy z Ikiem.

- Co? - Otrząsnął się. - A, Davey. Nigdy ci nie mówił o swoim teście? Ma pięć czy sześć pytań, które zadaje wszystkim facetom.

- Chcesz powiedzieć, moim facetom. Nie przepytuje chyba każdego gościa, który pojawia się w pubie.

- Masz rację, oczywiście. Jak do tej pory najlepszy wynik to B-minus.

Tessy jakoś nie zdjęła zgroza na tę wiadomość. Właśnie czegoś takiego mogła się spodziewać po swoim ojcu i ojcu chrzestnym. Gdy opowiadała o nich swoim przyjaciołom, nie wierzyli jej, mówili, że przejaskrawia, bo takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

- Zadał już Andrew swoje pytania?

- Nie wiem.

- Powiedz mu, żeby nie zadawał.

- Boisz się, że obleje, czy że dostanie A-plus?

- Niczego się nie boję.

Ojciec wyciągnął w jej stronę palec.

- I w tym-tkwi cały problem. Może czasami powinnaś się trochę bać. Znajdujesz trupy, sama sypiasz w tej nawiedzonej, głównej stodole.

Tessa nie pozwoliła mu zmienić tematu.

- Tato, Andrew Thorne jest architektem i budowlańcem, mówi tym samym językiem co Davey. To nie fair.

- Jezu, pytania nie dotyczą hydrauliki ani budowy domów.

Więcej nie potrzebowała wiedzieć. Ojciec przyjechał, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku, czy nie drży ze strachu na myśl o tym, co wydarzyło się w Beaconie.

Ledwie wyszedł, natychmiast wystukała numer Daveya Ahearna.

- Poddaj mnie swojemu testowi. Chcę się przekonać, jak wypadnę.

- To test dla facetów.

- Davey! Miałam nadzieję, że ojciec zmyśla. Naprawdę masz pięć czy sześć pytań i zadajesz je każdemu facetowi, którego przyprowadzę do pubu? Jakie to pytania?

- Nie twoja sprawa. Podstawowe. Na temat pieniędzy, jedzenia, domu, pracy, dzieci, seksu.

- Niech cię cholera, Davey. Odkładałam słuchawkę i wsiadam w metro. Za pół godziny będę u ciebie i dam ci cegłą w łeb.

Davey zanosił się śmiechem. Popatrzyła na telefon i uświadomiła sobie, że ten łajdak świetnie się bawi jej kosztem.

- Niech cię cholera - powtórzyła ze złością i chciała się rozłączyć.

Davey spowaźniał.

- Tesso, jeśli to były kości Ike'a Granthama, powinnaś na siebie uważać. Rozumiesz? Mówimy o morderstwie. Nie igraj z ogniem.

- Może nic nie widziałam.

- Miejmy nadzieję.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do laptopa. Włączył się wygaszacz, nacisnęła spację i znowu na ekranie pojawiły się e-maile od Ece'a.

Zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie jego uśmiech, nałożyć jego rysy na czaszkę, którą zobaczyła w piwnicy. Nie mogła wyobrazić sobie, że Ike nie żyje.

Mogła jednak wyobrazić sobie, że ktoś chciał go zamordować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Richard szedł ścieżką przy skałach, a pudle Lauren jak zwykle plątały mu się pod nogami. Miał nieprzepartą ochotę zrzucić je, jednego po drugim, w dół i patrzeć, jak ich małe ciałaka roztrzaskują się o kamienie. Odpływ zabrałby je w morze.

Lauren zastanawiała się, gdzie przepadły, tak jak udawała, że zastanawia się, gdzie przepadł jej brat.

Przecież wiedziała.

Wiedziała od samego początku.

Oczekiwał tego momentu, ale zaszokowało go zachowanie żony. W każdym razie wiedział, że to ona ma ciało Dce'a, nikt obcy i nie wróg.

Nie jego jednak próbowała chronić, tylko Andrew Thorne'a. To też było częścią jego planu, niemniej napawało go niesmakiem.

Zimny wiatr przenikał przez sweter, który matka zrobiła dla niego wiele lat temu. Gdyby mógł, najchętniej nie zwracałby uwagi, co wkłada na grzbiet. I rzeczywiście, kiedy mógł, ubierał się w pierwszą z brzegu rzecz. Było wcześniej. Lauren jeszcze spała. Słońce ledwie weszło, pomarańczowa kula odbijała się w wodzie. Naprawdę piękny poranek.

Andrew w końcu stanie przed sądem. Oskarżony zostanie na podstawie szczątków Dce'a Granthama znalezionych w piwnicy wozowni. Lauren się do tego mimowiednie przyczyni. Richard starannie wszystko obmyślił ponad rok temu.

Stanął na krawędzi skalnego występu. Piętnaście metrów poniżej falował ocean, nad wodą leniwie krążyły mewy.

Byłoby najlepiej, gdyby Lauren zmełła kości brata i podsypała nimi swoje lilie. Jeszcze lepiej, gdyby wyrzuciła je do oceanu.

Kiedy już pożegna się z Dciem, może tak zrobi.

Tak czy inaczej nie powinien wykonywać teraz żadnych ruchów. Musi pozwolić, by wypadki toczyły się zgodnie z planem.

A w idealnej wersji plan zakładał, że przez długie lata nikt nie zainteresuje się wozownią, kości Dce'a obrócą się w proch, a jego zniknięcie już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Tessa Haviland nie mogła dokonać swojego odkrycia w gorszym momencie. To dziwne, wręcz podejrzane, że pojawiła się akurat teraz, ale na to już nic nie można było poradzić. Zresztą w ostatecznym rozrachunku nie czyniło to żadnej różnicy.

Richard był zbyt ważną postacią, żeby Pentagon z niego zrezygnował tylko z powodu małego skandalu związanego ze śmiercią szwagra.

Ludzie często popełniali błąd, sądząc, że jako naukowiec obdarzony akademickim umysłem nie jest zdolny do działania. Do podejmowania niekonwencjonalnych i radykalnych kroków. Ale większość ludzi to ignoranci. Przekonał się o tym w swojej pracy. Prawie wszyscy opierają swoje przekonania na stereotypach i pozorach. Z lenistwa bądź z impotencji umysłowej. A to niebezpieczny nawyk.

Potęga umysłu... Bez niej Richard byłby nikim, zwykłym śmieciem, anonimową kupą mięsa i kości, jak jego koledzy, z którymi dorastał. Gdy odkrył, jak bardzo się od nich różnił, stał się innym człowiekiem i wyruszył w daleką, trudną drogę.

Jasno wyznaczył sobie cel tej wędrówki. Była nim prezydentura. Och, nie z próżnej pychy Richard mierzył tak wysoko. Kraj go potrzebował, a on nie zamierzał się temu przeciwstawiać. Więcej, musiał temu dopomóc, bo nakazywał mu to jego geniusz. Ktoś, kto urodził się z takim darem, nie miał prawa żyć tylko dla siebie, bo już w chwili, gdy pojawił się na świecie, należał do Historii.

Dlatego Richard zrobi wszystko, by sprostać brzemieniu, jakie nałożył na niego los. Nie pozwoli, by cokolwiek stanęło na

drodze jego przeznaczenia. Moralność, religia, to wszystko wymyślono dla maluczkich, by nie folgowali zbyt swym instynktom.

Ale Richard jest czystym rozumem, a zarazem czystym czynem. Jest geniuszem i wzniesie się na szczyt. Bo potrzebuje go kraj. Bo po to zjawił się na tej ziemi.

- Doktorze Montague!

Odwrócił się, omiatając wzrokiem ścieżkę prowadzącą do domu.

Jakiś młody człowiek z oddali machał do niego energicznie.

- Tutaj, tutaj! Mogę zamienić z panem słowo? Dziennikarz. Powinien był się tego spodziewać, ale poczuł, jak każdy mięsień w jego ciele sztywnieje. Nie bał się. Nigdy się nie bał, tylko przyjął pojawienie się dziennikarza z rezygnacją.

Chłopak biegł w jego stronę, a kiedy już zbliżył się na tyle, że nie musieli do siebie krzyknąć, Richard powiedział spokojnie:

- Chyba za wcześnie na wywiad.

- Wiem, ale pomyślałem, że o tej porze na pewno zastanę państwa w domu. Jestem Al Pendergast.

Richard znał to nazwisko. Pendergast pracował w lokalnej gazecie. W innej sytuacji odprawiłby go z kwitkiem albo najpierw skontaktował się z Carverem, ale dzisiaj postanowił sam ustalać reguły.

- Niech pan idzie ze mną - rzucił. - Odpowiem na pańskie pytania.

Muriel Cookson była wyraźnie zirytowana, kiedy zaraz po lunchu w biurze fundacji pojawiła się Tessa.

Sznurując wargi, oznajmiła, że Lauren Montague jest nieobecna.

- Powiem jej, że pani była.

- Właściwie to chciałam przejrzeć archiwalia dotyczące Jedidaha Thorne'a i wozowni. Lauren mówiła...

- Tak, wiem. - Muriel niechętnie zaprowadziła ją na pierwsze piętro. - To stare dokumenty, trzeba obchodzić się z nimi bardzo

delikatnie. Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę mnie zawołać.

Tessa przyrzekła, że tak uczyni.

Archiwum znajdowało się w niewielkim pokoju z widokiem na port. Tessa przez długą chwilę patrzyła na łodzie pływające po połyskliwym oceanie obramowanym bezkresnym błękitem nieba.

Po wczorajszym deszczu przejaśniło się, powietrze było rześkie, a dzień ciepły jak latem.

Takie właśnie obrazy kojarzyły się Tessie z matką, z najlepszymi wspomnieniami o niej. Dlatego bez zastanowienia przyjęła ofertę Dce'a. Nie uwiodła jej historia domu, jego architektura, opowieści o duchach czy chęć przywrócenia wozowni dawnej, skądinąd wątpliwej, świetności. Zdecydowało położenie: ocean, plaża, skały, mewy i te wszystkie wspomnienia, które ze sobą niosły.

Kiedy Dce opowiadał o wozowni, dawała się ponieść fantazji, ale rzeczywistość okazała się nieustępliwa jak morskie pływy. Pojawiło się wezwanie do zapłacenia podatku, kotna kotka przybłąda, jej dzieci, sąsiedzi, szkielet. A teraz dziennikarze.

Chcieli z nią koniecznie rozmawiać o zniknięciu ludzkich szczątków. Zostawiali wiadomości na sekretarce w domu i w biurze.

- Musisz się nauczyć dwóch słów - radziła Susanna. - „Bez komentarza”.

- Oni mi nie wierzą.

- Oczywiście, że ci nie wierzą, Tesso. Sama sobie nie wierzysz.

To prawda.

Od samego początku z trudem mogła uwierzyć w to, co widziała. Zanim jeszcze wybiegła w piwnicy, gotowa była zaprzeczyć świadectwu własnych oczu. Ludzki szkielet? Niemożliwe.

Zniszczył jej marzenie. Nie pasował do wspomnień o matce, do jej opowieści o historii Nowej Anglii, w których zresztą nie brakowało duchów.

Zabrała się do pracy. Pod ścianami stały drewniane segregatory i regały, na środku duży, zniszczony dębowy stół. W porównaniu z meblami na parterze skromne wyposażenie. Pracując dla Ike'a, nigdy nie wchodziła na górę.

- Lauren kocha archiwalia. Ja nie. Nudne jak wszyscy diabli. Sterytę poźółkłych papierzyśk, które nie mają żadnego znaczenia.
- Uśmiał się lekceważąco, łobuzersko, jak chłopiec, który ciągle nie może dojrzeć

i któremu wszystko wydaje się śmieszne. „Lauren kocha archiwalia”.

Tessa nie miała w sobie aż tyle zadufania, by przypuszczać, że Dce nie widzi jej słabości. O nie, Dce dostrzegał w każdym jego słabe punkty. Co mówił siostrze na temat graficzki z Bostonu?

Zapoznała się pobieżnie z całym archiwum, po czym zajęła wozownią i informacjami na temat rodziny Thorne'ów, której protoplaści należeli do pierwszych osadników w Beaconbythe-Sea i Gloucesterze. Szybko się zorientowała, że Andrew ani trochę nie przesadzał, opowiadając o swoich przodkach.

Jedidiah Thorne w czasie wojny secesyjnej służył w randze kapitana. Ranny pod Gettysburgiem* walczył aż do kapitulacji konfederatów w Appomattox**. W sfatygowanej szarej teczce znalazła jego zdjęcie w mundurze Unii zrobione w 1863 roku, na pięć lat przed tym, jak zastrzelił Benjaminą Morse'a. Patrzył prosto w obiektyw poważnym, nieustępliwym wzrokiem. Wysoki, szczupły, o ostrych rysach, przypominał swojego praprawnuka.

Tessa była niemal pewna, że miał wyraziste niebieskie oczy. Serce zaczęło bić szybciej, zakręciło jej się w głowie.

* Gettysburg - miasto w pld. Pensylwanii. 1-3 lipca 1863 r. stoczono tu największą bitwę wojny secesyjnej, mającą decydujący wpływ na późniejsze ostateczne zwycięstwo wojsk Unii (przyp. red.)

**Akt kapitulacji podpisano 9 kwietnia 1865 r. (przyp. red.)

Widziała w wyobraźni skrwawione ciała na polu bitwy, ścierające się ze sobą wrogie oddziały, trupy ludzi i koni, posępne twarze tych, którzy przeżyli i na zawsze mieli zapamiętać okropności wojny. Czowała zapach prochu, odór gangreny i śmierci. Słyszała krzyki konających i ich bezradnych towarzyszy.

I zobaczyła Jedidiaha Thorne'a, rannego, skrwawionego, nachylającego się nad swoimi żołnierzami i nad konfederatami, bez żadnej różnicy.

Miała wrażenie, że znalazła się pośrodku scen zarejestrowanych dawno dawno temu, że spogląda na wydarzenia oczami kapitana Thorne'a, dotyka ciał jego podkomendnych, często ledwie co wyrosniętych chłopców, ale też dojrzałych mężczyzn i prawie starców. Modli się z nimi, pociesza, stara się przynieść ulgę, nie odwraca oczu od nieszczęśników.

Jedidiah patrzy ze zgrozą na bezmiar cierpienia. Przynurza się, że nigdy już nie zabije człowieka, nawet w obronie własnej.

Pierwej sam umrze.

Tessa otrząsnęła się i zamknęła starą teczkę. Oddychała ciężko, pot spływał jej strużkami z czoła. Wstała na niepewnych nogach, znalazła łazienkę. Drżącymi dłońmi przemyła twarz zimną wodą.

Jak Jedidiah mógł zabić Benjaminą Morse po tym, czego sam doświadczył?

Wróciła do archiwum wyczerpana, jakby sama spędziła trzy dni pod Gettysburgiem.

Musiała koniecznie napić się czegoś, ale w biurze nie było dystrybutora. Zaśmiała się na myśl, co by powiedziała Muriel Cookson, gdyby zobaczyła, że Tessa wychodzi do najbliższego sklepu i wraca z puszką coli albo red bulla, tego napoju energetyzującego dwudziestego pierwszego wieku. Sama myśl o czymś do picia podziałała orzeźwiająco.

W następnej teczce znalazła kilkanaście zdjęć wozowni, robionych w różnym czasie, poczynszy od jej powstania w 1868 roku.

Już na pierwszym zobaczyła bzy. A więc były od samego początku. Rozmyślała o młodym kapitanie, który wraca z krwawej wojny, by zbudować dom nad oceanem i sędzić krzewy bżów, i który przypominał jej tak bardzo Andrew Thorne'a.

Pojedynkowi poświęcona była osobna teczka.

- Moim zdaniem to Benny Morse straszy w wozowni - wspominała słowa Bce'a. - Nadal pokutuje za swoje grzechy. Jedidiah może spokojnie spoczywać w swoim grobie.

Ale Jedidiah nie miał grobu.

Minęło kolejne pół godziny i w archiwum pojawiła się Lauren Montague w dobrze skrojonych, eleganckich spodniach i jedwabnej bluzce, w przeciwieństwie do Tessy, ubranej w bojówki khaki i czarną bawełnianą koszulkę.

- Fascynująca historia, nie sądzisz? - Stanęła za Tessą i zerknęła jej przez ramię na pożółkły wycinek z gazety dotyczący procesu Jedidiaha. - Prawdziwa zagadka, że taki pacyfista jak Jedidiah Thorne odpowiedział na wyzwanie Morse'a, nie mówiąc już o tym, że go zastrzelił. Morse był skończonym łajdakiem. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Twój brat twierdził, że należało go zabić. Lauren uśmiechnęła się smutno.

- Tak, to podobne do Dce'a. Ale kim my jesteśmy, żeby wyrokować, kogo należy zabić, a kto zasługuje na życie?

- Coś takiego musiało się przytrafić Benjaminowi - powiedziała Tessa. - Ściągnął na siebie śmierć.

Lauren odsunęła krzesło i usiadła po drugiej stronie stołu. Jak zwykle pełna wdzięku, o nienaganych manierach, tak różna od brata. Trudno było uwierzyć, że są rodzeństwem. A jednak Tessa dostrzegała w niej pewne podobieństwo do Dce'a: te same oczy, ten sam wykrój ust.

Ciekawe, czy Lauren godziła się żyć w cieniu brata, czy też usiłowała bronić się przed jego silną, dominującą osobowością?

- Przeglądałam te materiały jak zahipnotyzowana - powiedziała Tessa. - Wszystko wydaje mi się takie realne. Postacie Jedidiaha Thorne'a, Benjamina i Adelaide Morse'ów. Nie wyszła już powtórnie za męża. Do śmierci mieszkała samotnie tutaj, w Beaconbythe-Sea. Umarła, mając osiemdziesiąt kilka lat.

- Musiała być płytka, próżną kobietą. Ludzie opowiadali, jak bardzo jej pochlebili, że dwóch mężczyzn pojedykowało się o nią.

- Nie odniosłam wrażenia, żeby ją i Jedidiaha coś łączyło...

- Och nie, nie było mowy o romansie, ale to jednak z jej przyczyny doszło do pojedynku. Myślę, że napawało ją to satysfakcją, dawało poczucie władzy: dwóch ludzi strzela się dla niej. A skutek taki, że Benjamin zginął, zaś Jedidiah trafił do więzienia. - Lauren nachyliła się z enigmatycznym uśmiechem.

- Być może zresztą sama sprowokowała tę konfrontację, żeby pozbyć się Benjamina.

- Nie mogła przecież wiedzieć, że to on właśnie zginie...

- Tak sądzisz?

- Twierdzisz, że wmanewrowała ich w ten pojedynek? - zapytała Tessa.

- Dlaczego nie? Dzisiaj uznamy to za niegodną manipulację, ale w tamtych czasach kobiety musiały się uciekać do różnych sposobów, żeby uzyskać choć odrobinę wolności. Może Benjamin znęcał się nad nią? Albo po prostu chciała się go pozbyć i wmówiła Jedidiahowi, że jej mąż jest łajdakiem. -

Lauren wstała i podeszła do okna. - Widziałaś jej zdjęcia? Była piękną kobietą.

Tessa wyjęła z teczki fotografię tkwiącą między wycinkami prasowymi na temat pojedynku. Ze zdjęcia spoglądała na nią ciemnowłosa, poważna kobieta – na starych fotografiach nikt się nie uśmiecha - o niezwyklej urodzie.

- Jedidiah nie próbował się bronić w trakcie procesu. Po wyjściu z więzienia nigdy nie wspominał o pojedynku - stwierdziła Tessa.

Lauren spojrzała na nią uważnie.

- To cecha Thorne'ów, jak pewnie już zauważyłaś. Nic ich nie obchodzi, co inni o nich myślą. To już tradycja rodzinna. Postępują według własnego kodeksu honorowego.

- Jeśli to Adelaide doprowadziła do pojedynku, jeśli podstępnie użyła Jedidiaha, żeby pozbyć się męża, po co później miałby ją chronić...

- Honor i pragmatyczne rozumowanie rzadko idą w parze.

Tessa podniosła się.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi skorzystać z waszego archiwum.

- Zdecydowałaś już, co zrobisz z wozownią? Tessa wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie.

- Byłoby ci łatwiej podjąć decyzję, gdybyś wiedziała, gdzie podziewa się Dce. - Lauren odeszła od okna. Pobladła, na jej twarzy pojawiło się zmęczenie. - Przez całe życie tak się zachowywał. Zdążyłam się już przyzwyczać. Zapominam, że dla ludzi obyczaj mojego brata mogą być trudne do pojęcia.

- Dce nie jest jedynym powodem moich...

Lauren zdawała się jej nie słyszeć.

- Policja go szuka. Ludzie z Pentagonu i Senatu, którzy popierają mojego męża, też chcieliby go odnaleźć. I końcu kiedyś go odnajdą, czy będzie tego chciał, czy nie.

- Nie cieszysz się?

- Mam za sobą trudny rok.

Zapadła niezręczna cisza. Tessa umieściła teczki w segregatorach, a potem spojrzała na Lauren.

- Dziennikarze nie zawracają ci głowy? Ja staram się ich unikać. To żenujące, wzywać policję i kazać im szukać nieistniejącego szkieletu.

- Nieistniejącego?

Susanna zadała jej to samo pytanie. Co właściwie widziała tamtej nocy? Czy jest pewna, że w piwnicy był jednak szkielet?

Wcale nie chciała mieć tej pewności. Wolałaby powiedzieć sobie, że się pomyliła. Niech policja myśli, że z widują się jej upiory.

- Nie wiem.

Lauren nie zadowoliliła ta odpowiedź.

- Wybacz, Tesso, ale sądzę, że wiesz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Wolisz uniknąć komplikacji, ale w głębi duszy jesteś przekonana, że widziałaś szczątki mojego brata.

- Jeśli to prawda, ktoś musiał je ukraść.

- Ponieważ Ike został zamordowany. - Lauren mówiła ledwie słyszalnym szeptem. - Nie mam do ciebie pretensji, Tesso. Sama boję się wymawiać te słowa.

- Miejmy nadzieję, że się mylisz.

- Tak. - Lauren podeszła do drzwi. Odwróciła się jeszcze w progu, opanowana, niemal majestatyczna. -A jeśli chodzi o twoje pytanie, to owszem, dziennikarze i do nas się dobijali. Bardzo to irytuje mojego męża. Cała ta sprawa nie mogła się przydarzyć w mniej fortunnym momencie.

- Ze względu na stanowisko w Pentagonie? To na- j prawdę ważna funkcja? - zapytała Tessa.

Lauren Montague uśmiechnęła się ironicznie, a w jej oczach zabłyśły przekorne iskierki. Przypominała teraz do złudzenia swojego brata.

- No cóż, wszystko, co robi mój mąż, jest niezmiernie ważne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ala Pendergasta bardziej interesowały duchy niż Dce Grantham, bo, jak zwierzył się Andrew, to odlotowy temat.

Spodobała mu się myśl, że duch mordercy usiłował wystraszyć graficzkę z Bostonu, podrzucając jej czaszkę pod stopy.

- Może pokazał się kotu i ten zaczął miauczeć albo co... -
Usiadł w fotelu naprzeciwko biurka Andrew. - A pan to zszedłby tak sam do piwnicy?

- Rozmawiał pan już z Tessą?

- Nie mogę jej złapać.

Pendergast nie wyglądał na zmartwionego, mimo że Andrew nic mu nie powiedział. Chłopak i tak miał swój „odlotowy” temat.

- A masz pan, na przykład, jakieś rodzinne historyjki o starym Jedzie?

Andrew starał się zachować spokój.

- Nie wiemy nic więcej ponad to, co jest powszechnie znane.

Młody reporter naburmuszył się.

- Myślałem, że coś wyczaję w szpargałach fundacji, ale ta stara piła, która tam urzęduje, nie wpuściła mnie, a w bibliotece miejskiej nic nie mają. - Kilka razy pstryknął długopisem. Denerwujący nawyk. - Chciałbym wiedzieć, jak Jed umarł. Opowie mi pan?

- Zginął na morzu w czasie sztormu.

- Nie ma Jeda, nie ma ciała. Chwytam.

- Nie było tradycyjnego pochówku - poprawił go Andrew.

Al Pendergast zajęty był własnymi myślami.

- Wasza rodzina zesła na psy po tym całym pojedynku. Pan się wychował w Gloucesterze, w bandyckiej dzielnicy, ale wyszedł na swoje. Jak to jest, zamieszkać w rodowej siedzibie i przywracać dobre imię rodzinie Thorne'ów?

- Nie stawiam sobie takiego celu.

- Nie?

Andrew zmierzył chłopaka chłodnym spojrzeniem.

- Jeszcze jakieś pytania?

Pendergast był wystarczająco bystry, by zrozumieć, że to koniec wywiadu.

- A pana kuzyn, Harley Beckett? Złapię go teraz w domu?

- Właśnie odbiera moją córkę ze szkoły. Za godzinę powinien być z powrotem. - Andrew nie zamierzał ostrzegać Ala Pendergasta, niech chłopak sam się przekona, jakie przyjęcie zgotuje mu Harl.

Pendergast wyszedł. W pięć minut później do biura wpadła Dolly.

- Jestem okropnie zła - oznajmiła od progu.

- A to czemu?

- To moja szkoła, tato, nie Harla.

- Nie całkiem. Harl pracował dzisiaj u was jako wolontariusz. Jak mu poszło?

Dolly zrobiła obrażoną minę.

- Kazał mi wypić cały kubek mleka. I powiedział, że nie mogę dać swojego jabłka koleżance, tylko mam je zjeść sama.

- Dolly, Harl chce tylko pomóc pannie Perez. Czy inne dzieci... - nie dokończył pytania. Inne dzieci nie miały Harla. - To jego pierwszy dzień. Musi się przyzwyczaić.

Lista przewin Harla była najwyraźniej zbyt długa jak na wytrzymałość Dolly.

- Nienawidzę go.

- Nieprawda.

- Prawda! Powiedział, że powinnam zamknąć Chubby w szafie. Jest wstrętny.

- Chubby może przecież wyjść z szafy.

- Chubby może zrobić, co tylko chce.

- Może Harl jest o nią zazdrosny?

- Co to znaczy zazdrosny?

- On myśli, że lubisz Chubby bardziej niż jego.

- Nie! Kocham Harla!

Pojawiła się Tessa i Andrew wiedział, że tego dnia już nic więcej nie zrobi. Przypomniał sobie smak jej ust, gładką skórę pod jego dłońmi.

Dolly rzuciła się jej na powitanie.

- Tesso, wymyśliłam imiona dla kociaków. Chcesz, to ci powiem, jakie. Harl mówi, żebym tę szarą nazwała Mieszarka Do Cementu. To głupie.

- Cement jest szary - zauważyła Tessa nie bez słusności.

Dolly przewróciła oczami.

- Tato, myślisz, że Mieszarka to dobre imię?

- Myślę, że każde, które wybierzesz, będzie dobre. Wiesz, że to imiona tylko na teraz, prawda? Nowi właściciele będą chcieli nazwać koty po swojemu.

- Wiem - przytaknęła i wybiegła do czekającego na ulicy Harla.

Andrew odchylił się w fotelu i utkwiał wzrok w Tessie.

- Widzę, że ty dzisiaj też niewiele zrobiłaś.

- Kompletnie nic. Powiedziałam sobie, że projekty same ułożą mi się w głowie, kiedy będę tu jechała, a potem przekopywała się, zresztą Bóg jeden wie po co, przez dokumenty dotyczące rodziny Thorne'ów. Wczoraj wieczorem przejrzałam prawie wszystkie e-maile, które dostawałam od Dce'a. - Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Naprawdę był głupkiem. Co mnie obchodzi, że ktoś zakopał go w mojej piwnicy, a potem ukraść kości?

- Powiedz sobie, że ci się przywidziało.

- Właśnie.

- Tesso - zaczął Andrew - jeśli to rzeczywiście były szczątki Dce'a, prędzej czy później ktoś na pewno dojdzie prawdy. Człowiek nie może, ot, tak sobie, rozplynać się w powietrzu.

- Wiem. - Westchnęła, zatrzymując się o metr od Thorne'a. - Policja próbuje go odnaleźć.

- Niech próbuje, a my się nie wtrącajmy. Ty już zrobiłaś swoje. Zawiadomiłaś ich, że coś widziałas, reszta należy do nich.

- Dla Richarda Montague'a to niefortunna sprawa. Stanowisko w Pentagonie...

- Myślał o Pentagonie już wtedy, kiedy Joanna dla niego pracowała...

- Pewnie i mnie chętnie zakopałby w piwnicy wozowni za to, że narobiłam tyle szumu. Wcale bym mu się nie dziwiła. - Omiotła pełnym uznania spojrzeniem wnętrze biura. - Miło tu. Ojciec i Davey woleliby trochę brudu i bałaganu, ale to, co jest, stanowi dobre połączenie biura faceta od ciężkiej roboty i gabinetu kogoś, kto para się wolnym zawodem.

- Po prostu funkcjonalne wnętrze. Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie mówię. Zostawić cię samego? Będziesz jeszcze pracował?

- Uporządkuję tylko papiery i za kilka minut spotkamy się w domu.

- Chciałam dzisiaj po południu umyć podłogi w wozowni - powiedziała, idąc do wyjścia. - Muszę się czymś zająć. Myślisz, że policja zaczęła wreszcie poważnie traktować sprawę?

- Trudno powiedzieć. Jeśli Lauren zgłosi sprzeciw, gotowi się wycofać.

- Na pewno znali Dce'a.

Andrew skinął głową. Zobaczył Dce'a, jak stoi w progu biura, z poszarzałą twarzą, wstrząśnięty wiadomością o śmierci Joanny. Dowiedział się o tragedii pierwszy, wcześniej niż Andrew. Jedyne raz widział Granthama w takim stanie, kompletnie rozbitego na wieść o czymś nieszczęściu.

Tessa wyszła, w kilka minut później Andrew też ruszył do domu.

Al Pendergast nie tracił czasu. Odnalazł Harla w ogrodzie koło pracowni, ale na tym skończyły się jego sukcesy.

- Nie rozmawiam z dziennikarzami. Taką mam zasadę.
- Tylko parę pytań...
- Nie.

Harl wszedł do pracowni i zaniknął drzwi. Pendergast opuścił ręce i zwrócił się do Andrew:

- Zaburzenia posttraumatyczne?
- Chyba już dzisiaj pan nie popracuje.
- Chciałbym zobaczyć, gdzie panna Haviland znalazła szczątki.
- Musi się pan zwrócić do niej.

Andrew minął go i wszedł do pracowni Harla. Pendergast został w ogrodzie.

- Głupi fiut - powiedział Harl, wychylając głowę spod odnawianego właśnie biurka.
- Wykonuje, co do niego należy.
- Esesmani też tak mówili.

Była to z gruntu niesprawiedliwa hiperbola, ale Harl miał lokalnej gazecie za złe teksty o napadzie na bank, w czasie którego został postrzelony, i teraz wszystkich dziennikarzy traktował z niechęcią, a nawet wrogością. Z drugiej strony dzięki temu miał święty spokój. Andrew czasami zazdrościł kuzynowi, że żyje w czarno-białym świecie jasnych podziałów.

- Gdzie Dolly?
- Ogląda kreskówki na górze. - Harl wygramolił się spod biurka. - Ciągłe jest na mnie obrażona, że przyszedłem do szkoły. Myślałem, że dzieci lubią, jak ktoś z rodziny zgłasza się na wolontariusza.
- Może po cichu się cieszy.
- Jeśli tak, to bardzo po cichu. Powiem ci, że nie wiem, jak długo wytrzymam z tymi dziećmi. Pomagałem w czasie wolnych zajęć, za naszych czasów nazywało się to po prostu duża przerwa. Ta smarkateria dosłownie łaździła po mnie. Jednej takiej miałem ochotę przywiązać kamień do nogi i utopić w

oceanie. Oszczędziłbym podatnikom łożenia na jej dalszą edukację.

- Chryste, Harl, chyba przy nich tak nie pomstowałeś.

Harl poprawił kucyk.

- Muszę odreagować. - Skrzywił się i pokręcił głową. - To określenie Rity Perez. Mówi, że człowiek powinien koniecznie odreagować wszystkie stresy i frustracje, żeby potem móc wytrzymać z tymi małymi potworami. Popieram Dolly. Gdybym mógł, też kazałbym im dygać i kłaniać się.

- Niepotrzebnie tak się żołądkujesz.

- Aha. Pobądź wolontariuszem w szkole Dolly, wtedy porozmawiamy.

Andrew wyszczerzył zęby.

- Zgłosiłeś się, bo czujesz miętę do panny Perez.

- Ona była zakonnica.

- Zapytałeś ją?

- Pewnie. Dlaczego by nie? Pięć lat temu wyszła z klasztoru. Nie czuła powołania. Nie jej przeznaczenie. Ta kobieta ma dziwaczne słownictwo.

- Może ty jesteś jej przeznaczeniem.

- Uważaj, Thorne, albo Tessa znajdzie kolejnego trupa w swojej piwnicy.

Andrew zabrał Dolly, choć nie bez kłopotów. Zgodziła się przerwać oglądanie kreskówek dopiero wtedy, gdy jej powiedział, że pójdą do kociaków. Wierciły się w swoim pudełku, jeden otworzył już oczy. Dolly zasłoniła usta, powstrzymując pisk zachwyty. Łatka, generalnie rozdrażniona obowiązkami macierzyńskimi, wyszła z pudełka i zabrała się za jedzenie.

- Mogę ich dotknąć? - zapytała Dolly.

- Bardzo ostrożnie.

Przykłękła przy pudełku i zaczęła głaskać po kolei kociaki, całkowicie nimi pochłonięta.

- Zapomniałem powiedzieć Tessie, że przenieśliśmy koty. Pójdę do niej. Chcesz wrócić do Harla, czy wolisz pobawić się w domku na drzewie?

- Mogę zabrać kociaki do domku?

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Dolly z powagą pokiwała głową.

- Mogłyby wypaść. W moim nowym oknie nie ma jeszcze szyb.

- Nie będziesz miała szyb w swoim oknie.

Harl odpoczywał w cieniu przed pracownią, więc Dolly wybrała zabawę w domku.

Andrew ruszył w stronę wozowni dłuższą drogą, obchodząc żywopłot z bżów. Pozwolił, by rosły dziko, aż w końcu odgrodziły nieprzenikalną gęstwiną dom od wozowni.

Nie chodziło o Jedidiaha i duchy, tylko o Dce'a. Andrew nie winił go za śmierć Joanny, ale nie miał powodów go lubić i wolał się od niego odseparować.

Z Tessą sprawa miała się zupełnie inaczej.

Myła właśnie mopem stopnie przed wejściem kuchennym.

- Powinam była kupić zwykły mop zamiast tego cudactwa z gąbką. Nie nadaje się do drewnianych podłóg - powiedziała, nie podnosząc głowy.

- Przeniosłem koty do siebie.

- Zdążyłam się domyślić.

- Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Pomyślałem, że tak będzie lepiej...

- Usunąć je z pola rażenia sąsiadki, który znajduje szkielety po piwnicach. Rozumiem. Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

Rozumiała, ale wcale nie była zadowolona. Obszedł samochód i stanął obok niej.

- Tesso...

- Nie mogłeś pozwolić, żeby Dolly tu przychodziła i doglądała kotów, dopóki się nie upewnimy, że w wozowni jest

bezpiecznie. Ale nawet jeśli, to i tak przez większość czasu stoi pusta. - Tessa z westchnieniem oparła mop o ścianę i zeszła ze stopni. Przeczesała włosy palcami i spojrzała na budynek. - Co mnie naszło, żeby wziąć sobie taki kłopot na głowę?

- Też chciałbym wiedzieć.

Tessa westchnęła ponownie, całkiem zrezygnowana.

- Dce mnie przekonał. O dawna marzyłam, żeby mieć dom właśnie tutaj, ale nie byłam jeszcze gotowa. On zawsze tak postępuje. Popycha ludzi, namawia ich, żeby realizowali swoje marzenia, i nie patrzy, czy dojrżeli do ich spełnienia.

- Zadzwoń do pośrednika, postaw tablicę „Na sprzedaż”.

- Jasne. Zanim policja ustali, że Dce nie wędruje po australijskim interiorze, i sprowadzi tu ekipę dochodzeniową, czy potem? - Spocona, z zaróżowionymi od wysiłku policzkami, wsparła dłonie na biodrach i ponownie spojrzała na wozownię. - To był Dce. Cholera jasna, oboje wiemy, że to był on.

- Tesso...

Odwróciła się gwałtownie.

- Ktoś go zamordował.

- Nie możesz tu dzisiaj zostać. - Andrew stał o krok od niej, czuł ciepło jej ciała, jej niepokój. - Do domu też nie możesz wracać, nie powinnaś być sama. Zanocuj u mnie. Albo u swojego ojca.

- Przecież nic się nie dzieje.

- Znalazłaś trupa, który nie miał być znaleziony.

- Duchy. Tak bym chciała, żeby to była sprawka duchów - szepnęła.

- Ja też.

Tessa wyglądała jak gumowa zabawka, z której uszło powietrze. Opuściła ramiona, ale zaraz się wyprostowała i uśmiechnęła z animuszem.

- Przygotujesz kolację?

- Nawet otworzę butelkę wina.

- Świetnie. Nie mam zamiaru gotować, wystarczy mi mycie podłóg. Zapomniałeś o kuwecie dla Łatki Ogonatki. Wierz mi, Thorne, że będzie ci potrzebna.

- Myślę, że ten szkielec w piwnicy to jednak twój szwagier.

Richard słuchał Jeremy'ego Carvera z pozornym spokojem, ale miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Nie mógł przecieżyć. Nie tutaj, nie w swoim biurze.

Północnoatlantycki Instytut Badań Strategicznych mieścił się w odrestaurowanym wiktoriańskim budynku w jednej z lepszych dzielnic Gloucesteru. Mówiono, że kiedyś mieszkał tu Thorne. No właśnie, w tym całym problem, myślał Richard. Thorne'owie go prześladują.

- Policja prowadzi dochodzenie - powiedział. - Nie sądzisz, że za wcześnie wyciągać wnioski?

- Tobie płacą za to, że gromadzisz fakty, mnie za wyciąganie wniosków. - Carver stał, udając, że ogląda wiszące na ścianie gabinetu zdjęcia z widokami North Shore. - Nauczyłem się ufać własnemu instynktowi. Podobnie jak senator Bowler.

- Co zrobisz, jeśli znajdziemy Dce'a na Tahiti?

- Nic.

- To znaczy, że się wycofujecie i mogę zapomnieć o Pentagonie?

- Jesteś bardzo bystrym człowiekiem, doktorze Montague. Pamiętaj jednak, że możesz odwalić tu, na miejscu, kawał dobrej roboty, kto wie, czy nie ważniejszej niż w Waszyngtonie.

- Chodzi o media - ciągnął Richard. - Wycofujesz się, bo dziennikarze zaczęli zadawać pytania.

Carver odwrócił się do niego, kręcąc głową.

- Nie, doktorze. Wycofuję się, bo Tessa Haviland znalazła w swojej piwnicy jakiegoś pieprzonego trupa i myślę, że był to trup Dce'a. Ty też myślisz, że to Ike, twoja żona myśli, że to Dce, ale cały czas udajecie, że nic się nie stało. Nie zrobiliście nic od chwili jego zniknięcia.

Richard poczuł, że cała krew odplywa mu z twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że mieliśmy z tym coś wspólnego?

- Chcę powiedzieć, że zachowujecie się co najmniej dziwnie, ale zostawmy to. Rozpytywałem ludzi o twójego szwagra i odniosłem wrażenie, że to straszny dupek. Może dobrze wam bez niego i wolicie nie wiedzieć, gdzie się podziewa. Szkopuł w tym, że facet nie daje znaku życia od ponad roku.

- Policja prowadzi dochodzenie...

- Teraz. Dlaczego nie zażądaliście pół roku temu, żeby zajęli się sprawą?

Richard nie odpowiedział. Jeremy Carver podszedł bliżej.

- Powiem ci, dlaczego. Nie pojawiłaby się Tessa Haviland, nie byłoby szkieletu w piwnicy. Oto dlaczego.

- To histeryczka.

- Nie powiedziałbym. Sprawdziłem ją, ty zresztą też. Twój stuknięty szwagier dał jej wozownię i dziewczyna zastanawia się teraz, co z nią zrobić.

- Jestem potrzebny w Waszyngtonie.

- Może, ale nie senatorowi Bowlerowi. Carver wyszedł.

Drzwi huknęły w przeciagu idącym od otwartego okna. Richard podskoczył, jakby zatrzasnęło mu się nad głową wieko trumny. A przecież żył jeszcze, jeszcze miał zamiar coś zdziałać na tym świecie.

Tessa Haviland... niech cię wszyscy diabli, kobieto.

Miał jeszcze czas. Jeremy Carver wszedł ostro, przekonany, że Richard nie będzie potrafił odbić piłki. Pomylił się. Richard całe życie zajmował się terroryzmem i znał na wylot psychikę ludzi, którzy podejmowali tę niebezpieczną grę. Miał coś do powiedzenia. Jego wiedza i doświadczenie były nieodzowne dla kraju.

„Jesteś tylko rozmamłanym mózgowcem, Richie, przyznaj to”.

Dce.

Boże, jak on nienawidził tego kretyna. Żałował jedynie tego, że Dce nigdy się nie dowiedział, jak spadł ze schodów

prowadzących do piwnicy. Nie miał pojęcia, kto się do tego przyczynił.

Ale przynajmniej czuł, że umiera.

To też coś.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tessa wygarnęła zza lodówki w kolorze awokado mysi szkielecik. Jeszcze i to.

Zamierzała już wyrzucić mop do śmieci, kiedy odezwał się telefon komórkowy. Dzwonił ojciec.

- Przed chwilą telefonował do mnie jakiś pieprzony dziennikarz z Beaconu. Chciał wiedzieć, czy nie jesteś stuknięta.

- I co mu powiedziałaś?

- Ze jesteś artystką, a nie żadną tam wariatką -burknął ojciec, wyraźnie obrażony pytaniem dziennikarza. Obrażony i zaniepokojony. - Interesuje go ten cholerny szkielet.

Tessa splukała mop pod kranem. Mysi szkielet zniknął w otworze odpływu, ale ją przeszedł dreszcz. Będzie musiała wyszorować zlewozmywak.

- O co jeszcze pytał?

- Po co schodziliśmy z Daveyem do piwnicy. Nie wiem, kto mu powiedział, że byliśmy u ciebie. Ty?

- Na razie udaje mi się go unikać.

- On uważa, że potknęlibyśmy się z Daveyem o te kości, gdyby tam były.

- Też chciałabym w to wierzyć.

- Wolisz uchodzić za stukniętą, niż przyznać, że zobaczyłaś to, co zobaczyłaś?

- Nie. - Tessa odstawiła mop i włąła do zlewu płyn do szorowania. Całe mnóstwo. - Chciałabym myśleć, że to sprawa światła i warunków.

- Byliście blisko tego świństwa?

- Nie wiem, tato. Nie bardzo mogłam myśleć, żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Byłam jeszcze w szoku, ledwie co kojarzyłam. Mogliście nic nie zauważyć.

- I nie zauważyliśmy, czy tam był, czy nie. Gdybym nadepnął na czaszkę, nie udawałbym sam przed sobą, że to kawałek drewna.

- Wiem.

- Pewnie za chwilę pojawi się u mnie policja -mruknął Jim. - Tego mi właśnie potrzeba na stare lata. Ale jak się ma córkę, która włóczy się...

- Tato, to czysty przypadek, że natknęłam się na jakiś cholerny szkielet. Nic z tego nie rozumiem, ale nie przypuszczam, żebym miała...

- Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz, że ten sukinsyn Grantham cię wrobił. No to sobie nie wierz, ale ja i tak wiem swoje.

Westchnęła tylko w odpowiedzi. Ojciec wydał z siebie kolejny pomruk.

- Jesteś tam teraz?

- Tak.

- Nie mogę ci mówić, co masz robić. Jesteś dorosła. Ale postaraj się przemyśleć całą tę historię. I uważaj na siebie.

- Myślisz, że ten dziennikarz dzwonił do Daveya?

- Był następnym na jego liście.

Co oznaczało, że za chwilę powinna spodziewać się telefonu od ojca chrzestnego.

Skończyła myć zlew. W pustej wozowni panowała głucha cisza. Tessa wyobraziła sobie małą mysz przebiegającą puste pokoje w zimową noc. Podeszła do kłapy w podłodze i uniosła ją. Z piwnicy wionęło zataęchłe powietrze.

A może jakiś bezdomny biedak chciał przenocować w wozowni, spadł na dół i skręcił sobie kark? Albo student autostopowicz, którego nie stać było na hotel?

Jeśli tak, to na szkielecie byłyby resztki ubrania i nikt nie przysypałby go ziemią, bo nikt nie wiedziałby o losie nieszczęśnika. Nie, to musiała być dobrze zaplanowana i zrealizowana zbrodnia.

Znowu zadzwonił telefon. Tessa drgnęła, omal nie przytrzasnęła sobie palców kłapą.

- Nabilem swoją trzydziestkę ósemkę - oznajmił Davey. - Mam ją w skrytce pod deską rozdzielczą. Mogę ci ją przywieźć w przeciągu godziny. Dzwonię ze swojej furgonetki, jestem na Tobin.

- Davey, na litość boską...

- Uczyłem cię strzelać.

- I skończyło się na jednej lekcji. Nie umiem obchodzić się z bronią.

- Jesteś w wozowni? Thorne jest z tobą? Nic o nim nie wiem. Mogę sobie wyobrazić, jak wykrada ciało.

- Ten dziennikarz...

- Wydaje mu się, że trafił na temat swojego życia. Opowiedziałem mu fachowo, jak hydraulik hydraulikowi, o wizycie w twojej piwnicy. Powiedziałem, że mógłbym potknąć się o czaszkę, i tak bym jej nie zauważył. Byłem zajęty oglądaniem rur. - Odchrząknął bardzo zdegustowany. - Ci dziennikarze.

- Dzięki, Davey.

- Jak się namyślisz, daj mi znać, co z tą trzydziestką ósemką.

Tessa rozłączyła się. Uznała, że dość już sprzątanania, i ruszyła ku drzwiom.

Zapadł zmierzch, w powietrzu czuło się chłód. Stała na chwilę na podjeździe, wdychając zapach oceanu i bzów. Ani śladu wiatru, choćby najłżejszego powiewu. Tak w starych gazetach opisywano dzień pojedynku: był ponoć zupełnie bezwietrzny.

Koło hondy zatrzymało się bmw i po sekundzie z samochodu wysiadł Richard Montague. Pod jego stopami w wieczornej ciszy głośno zachrząścił żwir.

Tessa spotkała go raptem dwa razy, kiedy pracowała dla Ike'a. Nie był ani przystojny, ani miły w obejściu, ale posiadał inteligencję, dar logicznego myślenia, zdyscyplinowany umysł, cechy, które mogły pociągać Lauren, bo stanowiły całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co reprezentował sobą jej brat.

- Pomyślałam, że zastanę tu panią. - Przechylił głowę, uważnie taksując Tessę przenikliwym spojrzeniem szarych oczu. - Pani historia spowodowała sporo zamieszania.

- Ten dziennikarz rozmawiał już panem?

- Tak, ze mną i z moją żoną. - Uśmiechnął się kwaśno. - Dotarł też do Muriel Cookson. Jest bardzo wzburzona.

- Dzwonił do mojego ojca. Energicznie wziął się do roboty. Wygląda na to, że tylko mnie nie zdołał jeszcze dopaść.

- Ma pani szczęście. - Richard przestał się uśmiechać i odwrócił wzrok. - Sprawa nabrała niepotrzebnego rozgłosu i są już tego pierwsze efekty. Moje mianowanie zostało wstrzymane.

- To nie fair.

- Taki już, niestety, jest Waszyngton. Przywykłem do tego rodzaju myślenia, manewrów, obaw, ostrożnych decyzji. - Znowu spojrzął na Tessę. - Może mi pani powiedzieć, dlaczego właśnie teraz zainteresowała się pani wozownią?

Wzruszyła ramionami.

- Dostałam wezwanie do zapłacenia podatku od nieruchomości.

Zaśmiał się, ale w jego śmiechu więcej było niedowierzania niż rozbawienia.

- Pomyśleć, że o wstrzymaniu mojego mianowania, a kto wie, może nawet odwołaniu, zadecydowało wezwanie do zapłacenia podatku. Cóż, nie pani wina.

- Kiedy Dce przepisał na mnie wozownię, nie zastanawiałam się, co to dla mnie oznacza. Teraz jednak uznałam, że powinnam przyjechać do Beaconu, obejrzeć swoją własność i zdecydować, co dalej.

- I postanowiła pani spędzić tu weekend?

- Tak.

Omiótł pobieżnym spojrzeniem budynek.

- Jest w fatalnym stanie. Nie byłem tu od lat. Naturalnie przejeżdżałem tędy wiele razy. Lauren i Dce bardzo lubili wozownię, ale dla fundacji nie miała żadnej wartości. Dlatego

nie dziwię się, że Dce w końcu się jej pozbył. - Uśmiechnął się przeprasząco. - Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

- Nie szkodzi. Mój ojciec mówi to samo.

- Zatrzyma ją pani?

- Nie wiem. Gdybym mogła chociaż porozmawiać z Dciem... Miałam zrobić dla niego kilka dodatkowych projektów w zamian za przepisanie wozowni. Tak się umówiliśmy. Oczywiście nadal poczuwam się do tych zobowiązań, ciężą mi one. Poza tym chciałabym się upewnić, co właściwie widziałam tamtej feralnej nocy, jeśli w ogóle coś widziałam.

- Rozumiem. Ja i Lauren myślimy podobnie. - Minął samochód Tessy, podszedł na skraj podjazdu i głęboko wciągnął powietrze. - Uwielbiam bzy. Wie pani, że Dce właśnie tutaj, w wozowni, ćwiczył z Joanną? Przygotowywał ją do wspinaczki. Bardzo się zdziwiłem, kiedy Andrew kupił posiadłość starego Thorne'a. Przedtem mieszkali na wsi. Wszyscy byliśmy przekonani, że po śmierci Joanny wróci do Gloucesteru.

Tessa zasepiła się.

- Joanna tu trenowała?

- Słucham? Tak. Dce umocował liny na ścianach i zaaranżował najprostsze górskie podejścia. Uczyl ją tu podstaw wspinaczki, ale oczywiście trenowali też gdzie indziej. Joanna miała w sobie tyle entuzjazmu. Przyjemnie było patrzeć.

- Dce nie poszedł z nią na Mount McKinley?

- Och, skądże. To było jej marzenie, nie jego. Widzi pani, wszyscy wiedzą, jaki on był. Nie mam zamiaru udawać, że się lubiliśmy, ale niewątpliwie miał dobry wpływ na Joannę Thorne. Pracowała u mnie i widziałem, jak bardzo się zmieniła. Nabrała radości życia, entuzjazmu... Planowała tyle niezwykłych rzeczy... - Uśmiechnął się smutno. - Jej śmierć była dla nas strasznym ciosem.

- Zapewne. - Tessa chciała jak najprędzej skończyć tę rozmowę. - Pewnie czuł się winny tego, co się stało.

- Chyba tak. Na tyle, na ile jest zdolny do tego rodzaju uczuć.

Tessa zerwała gałązkę bzu, obróciła ją kilka razy w palcach, wreszcie podniosła wzrok na Richarda.

- Mówi pan o nim w czasie terazniejszym. Richard skinął głową.

- Próbuję. Z zasady nie rozmawiam o problemach rodzinnych z obcą osobą, ale przejmując wozownię, została pani wciągnięta w nasze sprawy. Mam nadzieję, że nie przekroczyłem granicy.

- Nie. Mówił pan bardzo wnikliwie. Przykro mi, że wstrzymano mianowanie.

Machnął ręką.

- W obecnej sytuacji to najmniejsze zmartwienie. A jednak nic przyjemnego, pomyślała Tessa, stracić stanowisko w Waszyngtonie tylko dlatego, że ktoś zawiadomił policję o znalezieniu szkieletu w wozowni należącej kiedyś do szwagra.

Richard ruszył do samochodu, a Tessa wymamrotała coś, że miło było znowu go widzieć.

- Mnie również - rzucił zdawkowo, siadając za kierownicą.

Kiedy odjechał, natychmiast precyzyjnie się, wzorem Dolly, między krzewami bzu. Harl i Andrew na ganku kłócili się zajadle o sos.

- Nie daje się marchewki do sosu do spaghetti - upierał się Harl. - To zwykłe barbarzyństwo, grzech przeciwko naturze.

- Marchewkę musisz zetrzeć, wtedy nie czujesz jej smaku, a sos jest lekko słodki. W ten sposób neutralizujesz kwas pomidorowy.

- Wystarczy dodać trochę cukru, na co marchewka. - Harl skrzywił się na samą myśl o marchewce. - Rozumiem, cebula, czosnek, pieczarki, pieprz, czasami kilka oliwek, ale nigdy marchewka.

- Zawsze daję marchewkę i nigdy nie zauważyłeś.

Tessa uśmiechnęła się i usiadła w fotelu, czując, jak opada z niej napięcie. Chciała opowiedzieć im o wizycie Richarda Montague'a, ale to mogło poczekać.

- Jak miło słyszeć, gdy ktoś rozmawia o normalnych sprawach.

Harl posłał jej kose spojrzenie.

- Ty pewnie zamiast sosu do spaghetti robisz sos do pasty.

- Mieszkam na Beacon Hill, to zobowiązuje.

- Uważaj, Harl. Z nią nie wygrasz. Tessa pokręciła głową.

- Nie dzisiaj. Dzisiaj nie będę się upierać przy niczym oprócz kieliszka wina.

- Białe czy czerwone? - zapytał Harl, wstając.

- Czerwone. - Wyciągnęła przed siebie nogi i oparła się wygodnie. Czowała się tu swojsko jak we własnym domu. Mrugnęła do Harla. - Do spaghetti lepsze jest czerwone.

Lauren patrzyła z zachwytem na jasnożółte liliowce rosnące tuż koło tarasu. Zapadał zmierzch, powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą. Było tak przyjemnie, tak normalnie, jak za dawnych czasów, kiedy jako dziecko beztrudnie biegła po ogrodzie, że zbierało się jej na płacz.

Nie powinna ulegać sentymentom. Musi myśleć trzeźwo. Ma przecież w bagażniku kości brata.

A jednak ogarnęła ją przemożna tęsknota za rodziną. Za rodzicami. Za Ikiem.

Ike.

Liliowce były takie piękne. Miała ochotę zatracić się w ich kształcie i barwach, i już nie myśleć o niczym innym.

Pudle zaczęły ocierać się o jej łydki, jakby wyczuły nastrój pani. Nie może popaść w depresję. Odrobina nostalgii, owszem, ale nic ponadto. Toczyła grę o zbyt wysoką stawkę.

- Tu jesteś. - Na tarasie pojawił się Richard z dwoma drinkami. - Przyniosłem ci szkocką. Wiem, upiorny dzień.

Wzięła szklaneczkę.

- Na jutro zapowiedziała się policja. Będą mnie pytać o Ike'a. O ile byłoby prościej mieć normalnego, banalnego brata, ale... - uśmiechnęła się i upiła łyk whisky - ale nie wiedziałabym, co począć z normalnym, banalnym bratem.

- Dce jest normalny. Połowa mężczyzn w tym kraju najchętniej zniknęłaby jak on, gdyby tylko mogła. Ma pieniądze, żadnych zobowiązań. - Richard beztrząsliwie wzruszył ramionami. Był w zadziwiająco dobrym humorze, zważywszy fatalną wiadomość. Lauren przemknęło przez głowę, czy to nie szkocka wprawiła go w taki nastrój. - Normalny facet.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Lauren, wszyscy są trochę wytrąceni z równowagi, ale to z powodu Tessy Haviland, a nie dlatego, że Dce od ponad roku nie daje znaku życia. Gdyby się tu nie pojawiła i nie zaczęła opowiadać, że zobaczyła szkielet, który zaraz zniknął, nikt nie myślałby o Dce'u Granthamie. Po prostu zrobiła się trochę kłopotliwa sytuacja, to wszystko.

Richard mówił lekkim, ujmującym tonem towarzyskiej pogawędki.

Lauren podeszła na skraj tarasu, żeby zawołać biegające wśród kwiatów pudle. I jak tu mówić o psim przywiązaniu? Nic sobie nie robiły z jej cierpienia, tylko radośnie hasały.

Wzięła do ręki stary tom w pośliskiej oprawie, który właśnie czytała.

Richard zmarszczył czoło.

- Co to takiego?

- Pamiętnik Adelaide.

- Czyj?

- Adelaide Morse. Żony Benjamin. Tego, który zginął od kuli Jedidiaha Thorne'a.

Richard obojętnie wzruszył ramionami i usiadł w wiklinowym fotelu.

- Byłbym szczęśliwy, gdyby się okazało, że to tylko duchy. Przecież czasem pojawiają się w wozowni, czyż nie tak?

- Tak, ale nie pod postacią szkieletów. Zazwyczaj to tylko cienie, szmery, poskrzypywania. - Usiadła obok męża ze szklaneczką w dłoni. - Powinam była umieścić pamiętnik Adelaide w archiwum, a właściwie przekazać go historykom

związany z naszą fundacją. Nie wiem, dlaczego uparłam się ją chronić.

- Nie nadałam za tobą, Lauren...

- Staram się chronić Adelaide.

- Przecież ona nie żyje!

- Zabiła Benjaminą. Niemal powiedziałam dzisiaj Tessie prawdę.

- O czym ty mówisz? - Richard okazał przesadne zdziwienie.

- Tessa to wyczuła. Tak jakby Jedidiah i Adelaide próbowali przemówić do niej ze zdjęć zamkniętych w teczkach i sprostować zapisaną w dokumentach historię.

Mąż wpatrywał się Lauren bez słowa. Uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się, Richardzie. Nie musisz dzwonić po doktora. Nie zwariowałam. Mam tylko za sobą ciężki dzień i wiele przemyśleń. Wiem, że historia Beaconbythe-Sea cię nudzi.

- Zgłębianie historii jest niezwykle ważne - odparł z profesorskim namaszczeniem. - Pomaga nam zrozumieć postępowanie naszych współczesnych i przewidzieć ich przyszłe posunięcia. Zaraz, zaraz... Czy chcesz powiedzieć, że ten pojedynek między Thorne'em i Morse'em... to nieprawda?

- Czymże jest prawda, Richardzie? - Oczy Lauren zasły łzami.

- Może nie powinienem był dawać ci szkockiej.

- To nie wina szkockiej. Cały dzień jestem w dziwnym nastroju, Richardzie. Adelaide Morse była siostrą mojej prababki. Moją cioteczną prababką.

- Zbyt odległa parantela, by miała jakie znaczenie.

- Dla mojej prababki i babki miała, choć moją matkę niewiele już obchodziła. Dała mi pamiątnik Adelaide. - Lauren odstawiła szklanke i przesunęła palcami po splekanej oprawie. - Benjamin był strasznym człowiekiem.

- Używał przemocy...

- Nie, nie. Był strasznym człowiekiem, tyranem i psychicznym sadystą, ale nigdy jej nie uderzył. Wymyśliła to, żeby tym łatwiej manipulować Jedidiahem. Wiedziała, że w przeciwieństwie do innych mężczyzn z jej otoczenia, nie będzie milczał. Zareagował, jak oczekiwała. Publicznie oskarżył Benjaminą, że ten znęca się nad żoną, i Benjamin wyzwał go na pojedynek. W tamtych czasach nie mógł inaczej postąpić.

Richard milczał. Patrzył na żonę swoimi szarymi oczami, z których trudno by cokolwiek wyczytać, ale Lauren była pewna, że zastanawia się, czy aby nie zwariowała.

- Wiedziała, że Jedidiah przyjmie wyzwanie, ale nie odda strzału, bo po wojnie ślubował nigdy już nie na-stawać na ludzkie zdrowie i życie.

- Pozwoliłby się zastrzelić? To absurdalne. Tak się zresztą nie stało...

- Ależ tak. Jedidiah dał Adelaide pistolet i prosił, żeby zostawiła Benjaminą i wsiadła do pociągu na zachód. Sam gotował się na śmierć, ale Adelaide... - Lauren sięgnęła ponownie po szklankę, upiła łyk i poczuła miłe ciepło promieniujące od żołądka. Richard nie serwował jej nigdy mocniejszych alkoholi, zwykle podawał kieliszek wina. - Adelaide zastrzeliła Benjaminą, zanim zaczął się pojedynek.

- Nie było świadków?

- Nie. Pojedynki były zakazane w Massachusetts.

Niemal widziała, jak dociekliwy umysł Richarda zaczyna pracować. Nie na darmo w młodym wieku zrobił doktorat na Harvardzie. Pod wieloma względami prawie nie znała swojego drugiego męża. Był to jeden z wielu powodów, dla których Dce przestrzegał ją przed tym małżeństwem. Richard w milczeniu przetrawiał jej słowa.

- Adelaide wyświadczyła zatem Jedidiahowi przysługę. Skoro powiadasz, że nie strzeliłby, uratowała mu życie, zabijając Benjaminą.

- I posłała do więzienia.

- Niewielka cena. Sama odzyskała wolność, jemu uratowała życie.

- Tak też uważały moja babka i prababka.

- A Adelaide?

- Nie było w niej żalu ani skruchy, cienia wyrzutów sumienia

- szepnęła Lauren. - Ciągłe powtarza: „Benjamin zasłużył na swój los”.

Richard poderwał się z fotela.

- Spalę ten przeklęty pamiętnik. Jeśli nie chcesz, żeby prawda wyszła na jaw, po co trzymać?

- Jako przypomnienie.

- Czego?

- Okrucieństw życia. Nie zawsze stajemy wobec złych albo dobrych wyborów, słusznych bądź niesłusznych. Czasami każde rozwiązanie jest tylko złe, każde tylko niesłuszne.

- Lauren, na litość boską...

- Co byś zrobił na miejscu Adelaide?

- Znalazłbym jakieś inne wyjście. Mogła porzucić męża, zamiast obciążać kogoś innego własną zbrodnią. - Richard mówił suchym, choć pozbawionym szorstkości tonem. Lauren wyobraziła sobie, że tym samym tonem mógłby wygłaszać analizę metod działania organizacji terrorystycznej. - Co się stało, to się nie odstanie. Protagonisci dawno nie żyją.

- Tak.

- Będąc tobą, spaliłbym ten dziennik.

Lauren uśmiechnęła się.

- Tak, będąc mną, spaliłbyś.

Richard zabrał swoją szkocką, ale jeszcze odwrócił się w drzwiach.

- Myślisz, że w piwnicy to był Ike, prawda?

- Wiem, że to on.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tessa jechała na North Shore. Zamierzała tu przenocować. Wozownia nie wchodziła w rachubę, pokój gościnny w domu Andrew również, a przynajmniej nie był to najlepszy pomysł. Już prędzej któryś z pensjonatów Beaconbythe-Sea.

Skończyło się na tym, że właśnie rozpakowywała swoje rzeczy w pokoju gościnnym udekorowanym przez Dolly bukietem fiołków i mleczy.

- Harl mówi, że mlecze to chwasty - oznajmiła, kręcąc się koło Tessy. - A ja myślę, że są bardzo ładne.

Tessa zaśmiała się.

- Ja też tak myślę.

- Poczytasz mi?

- Jasne. Idź, wybierz jakąś książkę.

- Dwie. - Dolly wybiegła z pokoju.

Tessa opadła na łóżko. Była wyczerpana. Mycie podłóg pozwoliło jej zapomnieć o rozterkach i lękach, ale już w czasie kolacji naszły ją smutki. Andrew, Harl i Dolly tworzyli rodzinę i choć czuła się z nimi dobrze, to przecież była tylko sąsiadką. Mogła tu bywać jako gość, mogła czuć się tu dobrze, ale...

W drzwiach stanął Andrew.

- O czym myślisz?

- Ze wasza trójka stanowi bardzo udaną rodzinę. - Szybko zmieniła temat. - Czy był ktoś, kto naprawdę lubił Ike'a?

- A ty? Lubiałś go?

- W pewnym sensie. Był pochłonięty sobą, arogancki, okropny narcyz. Ale dogadywaliśmy się. Może dlatego, że był tylko klientem. Nie musiałam przebywać z nim na co dzień. - Tessa westchnęła. - Cały czas mówię o nim w czasie przeszłym. Nie potrafię nad tym zapanować.

- Dce to dziwny przypadek. Stosunki z ludźmi, nawet z własną siostrą, układał na własnych warunkach, myślał tylko o sobie. Pomógł Joannie wyjść z depresji, bo bawiła go rola

pseudoterapeuty, dobrze się z tym czuł. Nie interesowały go pragnienia Joanny, tyUco rola, jaką spełniał wobec niej.

- Był jak burza, nadlatywał i robił swoje. Nie sposób było mu się przeciwstawić, zaprzeczyć temu, co sobie akurat zamierzył. Siedzę, Uczę, ile jest mi winien za projekty, a za chwilę staję się właścicielką dziewiętnastowiecznej wozowni, bo nagle przyszło mu do głowy, że o niczym innym nie marzyłam przez całe życie.

- Tessa! - Dolly dziarsko precyzyjnie się koło tarasującego drzwi ojca i stanęła w pokoju. - Przyniosłam dwie książki.

Andrew położył jej dłoń na głowie.

- Tessa jest zmęczona. Przeczyta ci dwie bardzo krótkie książeczki, ale na tym koniec.

Wychodząc z Dolly, Tessa otarła się o Andrew. Zrobiła to zupełnie nieświadomie, ale nawet ten mimowolny kontakt, naładowany ukrytą energią, był czymś, co oboje wyraźnie odczuli.

Dolly nie dała Tessie czasu na rozważanie tajemnic podświadomych reakcji, tylko chwyciła ją za rękę i pociągnęła do swojego pokoju.

Zanim zabrały się do czytania, Tessa musiała ubrać kilka pluszowych zwierzątek i urządzić dla nich herbatkę.

- Jakie imię bardziej ci się podoba dla białej kotki, Śnieżka czy Śnieżynka? Ona nie jest zupełnie biała, ma szare łatki.

- Śnieżka. Śnieżynka byłaby lepsza dla bardziej puszystego kota.

Dolly namyślała się przez chwilę, aż w końcu skinęła głową.

- Też tak pomyślałam.

Tessa uśmiechnęła się. Głęboki namysł, „też tak pomyślałam”. Dolly chciała uchodzić za bardzo dorosłą. Jak ona sama, kiedy tłumaczyła Daveyowi, strojąc poważne miny, co takiego zrobiła, żeby kran w kuchni przestał cieknąć.

Ciekawe, czy byłoby inaczej, gdyby w jej życiu była jakaś kobieta. Obie żony Daveya nie interesowały się nią, a ojciec,

jeśli nawet miał przyjaciółki po śmierci matki, to nie dopuszczał ich do córki.

Na szczęście Dolly wybrała rzeczywiście krótkie książeczki z serii o przygodach nieustraszonej Magdaleny, coś w sam raz dla Tessy. Dziewczynka przytuliła się do swojej nowej przyjaciółki i słuchała, jakby Tessa od zawsze czytała jej przed zaśnięciem.

Tessa nie mogła odmówić sobie drobnej przyjemności. Kiedy skończyła, sięgnęła po leżącego na podłodze „Hobbite”, otworzyła książkę w miejscu, gdzie tkwiła zakładka z Kubusiem Puchatkiem, i czytała, dopóki Dolly nie usnęła z głową na jej ramieniu. Wtedy otuliła małą kołdrą, upewniła się, że na pewno zasnęła i wyszła na palcach z pokoju.

W korytarzu, niczym duch, czaił się Andrew. Chwył Tessę za rękę, wciągnął do pokoju gościnnego i cicho zamknął drzwi.

Przesunął palcami po jej wargach, potem musnął ustami.

- Myślałem, że nigdy nie skończysz czytać.

- „Hobbit” to długa książka.

- Tesso. - Przypierał ją do drzwi, jedną dłoń oparł płasko o framugę, drugą zanurzył we włosach Tessy. - Dlaczego tak cię pragnę?

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Z wygłodzenia.

- Dobrze sobie. To przytyk pod moim adresem czy pod własnym?

- Ani pod twoim, ani pod moim. Taki żart - wykrztusiła z trudem.

Dłoń Andrew zsunęła się na kark, potem w dół na ramię. Ich usta znowu się spotkały.

Tessa czuła, jak rozpala ją pożądanie, silne, głębokie, niemal nie do wytrzymania.

- Myślałam o tobie cały dzień - szepnęła. Andrew musnął palcami jej pierś.

- A w nocy?

- W nocy też. Kiedy zastanawiałam się nad...

- Cholera. Czar prysł.

Może zrobiła to celowo, acz nieświadomie. Andrew nie odsunął się. Oparł dłonie o drzwi, zamykając Tessę w potrzasku. Nie bała się. Nie miała czego się obawiać. Gdyby poczuła się zagrożona, wiedziała, co robić. Davey ją nauczył. Ze strony Thorne'a nic jej nie groziło. To jego determinacja, siła i czułość sprawiły, że stanęło jej na chwilę serce.

- Kiedy będziemy się kochać, nie zamierzam prowadzić z tobą żadnych rozmów na temat znikających szkieletów. - W głosie Andrew brzmiała inteligencja, dyscyplina, doświadczenie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że uchodził za milczka, bo starannie dobierał słowa i oczekiwał uwagi ze strony słuchacza.

- I w korytarzu nie pojawi się moja sześciolatnia córka.

- Dolly tu przecież mieszka...

- Ma ciotki, wujków, dziadków, Harla. Ale ona nie jest problemem. Nigdy nie będzie problemem.

- Dla mnie na pewno nie. - Tessa oparła się na ramieniu Andrew. - Problemem jest Dce.

- Nie tylko Dce.

- Szkielet, czyjkolwiek on był.

- Tesso...

Spojrzała na niego w zamyśleniu: zmrużone oczy, mocno zarysowana broda jak u Jedidiaha, poważna mina, ostre rysy znamionujące stanowczość. Thorne'owie, twardy ród, przez stulecia dzielnie stawiali czoło oceanowi. Andrew był taki sam, odziedziczył po przodkach niezłomny charakter, jakby wyciosany z granitu. Powinna o tym pamiętać.

- Kto jeszcze? - zapytała.

- Davey Ahearn. I Jim Haviland. Tessa zachmurzyła się.

- To śmieszne.

- Czyżby?

Andrew miał tak poważną minę, że parsknęła śmiechem.

- Ojciec i Davey już tacy są. Musisz się do tego przyzwyczaić. Ja się przyzwyczaiłam.

- Na pewno?

- Na pewno. Narzekam na nich, kłócę się z nimi, ale nie wyobrażam sobie życia bez nich, chociaż mają absurdalne poglądy na temat mężczyzn, z którymi się spotykam.

- Czyżby? Może nie są aż takie absurdalne - mruknął Andrew.

- Wyobraź sobie, co będzie za trzydzieści lat. Jak będziesz odnosił się do Dolly?

- Jak będę uważał za słuszne - odparł bez chwili namysłu.

- Otóż właśnie. To mój przypadek. - Przecisnęła się pod jego ramieniem, podeszła do łóżka i usiadła ciężko. Mleczce zerwane przez Dolly zdążyły już zwiędnąć, ale fiołki nadal były świeże. Tessa uśmiechnęła się i podniosła wzrok.

- Przyznaję, miałeś rację, mówiąc o szkieletach, Dce'u i Dolly.

- Zostawmy już ten temat. Zamknijmy drzwi na klucz i...

Tessa pokręciła głową. Wiedziała, czego chce Andrew, czego chce ona sama. Zwilżyła wargi. Dużo kosztowało ją to, co musiała powiedzieć.

- Pierwszy raz... Nie chciałabym, żebyśmy robili to ukradkiem.

Wpatrywał się w nią przez chwilę bez słowa, w końcu jęknął:

- Cholera.

Wyszedł, omal nie trzaskając drzwiami.

Tessa poderwała się i podbiegła do okna. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Zapach oceanu budził słodko-bolesne wspomnienia sprzed lat, niósł ze sobą obraz plaży, bielących się w słońcu skał, rozgrzanego piasku.

- Och, mamo.

Nie był to głos sześciolatniej dziewczynki, lecz dorosłej kobiety. Miała teraz tyle lat, ile jej matka, kiedy umierała. Tak młodo odeszła, a tyle wiedziała. Skąd czerpała wiedzę, mądrość, ogromną dojrzałość? „Obyś miała szczęśliwe życie i szczęście w miłości. Tylko to się liczy, Tesso”.

A jakże, ma szczęście w miłości, pomyślała z sarkazmem.

Poznała faceta w piątek i od razu go okłamała, potem przez całą sobotę i niedzielę kłóciła się z nim o znikające szkielety. W poniedziałek rzucała w niego krzesłami i wyzywała od najgorszych. We wtorek była już w nim zakochana.

Tak, ma szczęście w miłości.

Tyle, że jest kompletną idiotką, gdy chodzi o poruszenia serca. Zawsze tak było. Nie rozumiała, na czym polega miłość. Nie widziała w niej logiki, instynktowi też nie potrafiła zaufać. Szamotała się, wściekała, przepędzała kolejnych facetów.

Tylko to straszne uczucie paniki. I tęsknoty. A gdzieś w głębi, gdzie nie sięgała już świadomością... niepojęty spokój.

Odwróciła się od okna, myśląc, że przydałby się jej symulator dźwięków, ale zostawiła go w Bostonie. Przejrzała książki na półce i wyjęła stary, zaczytany egzemplarz „Emmy”. Jane Austen w domowej bibliotece to dobry znak. Mężczyzna niekoniecznie musi czytać Austen, ale skoro ma jej książki, musi mieć też otwarty umysł. Zrozumienie dla odmiennych gustów, dla innej wrażliwości.

Z drugiej strony kiedy zabierze się za remont tego pokoju, być może wyrzuci Austen, a w jej miejsce pojawią się na regale poradniki dla majsterkowiczów i amatorów ogródków skalnych.

Tessa uśmiechnęła się i otworzyła książkę na pierwszej stronie. W „Emmie” nikt przynajmniej nie będzie wykradał szkieletów z cudzych piwnic.

O pierwszej Andrew zrezygnował z prób usnięcia. Wstał i zszedł na dół. Po drodze zajrzał do Dolly. Spała w towarzystwie całego stada pluszowych zwierzątek. Tessa chyba też już spała, bo w pokoju gościnnym było ciemno.

Palilo się jeszcze światło w pracowni Harla. Andrew ruszył w tamtą stronę, wywołał kuzyna i usiadł w mrocznym ogrodzie pod starym orzechem.

- Dalej odnawiasz biurko? - zapytał. Harl skinął głową.

- Bawię się z nim, jakby to był obiekt muzealny, chociaż właściciele nawet nie zauważą, ile pracy w nie włożyłem. Zależy im tylko na tym, żeby odzyskało wygląd i nie rozpadło się na kawałki. - Podniósł siwą głowę i spojrzał uważnie na Andrew. - Tessa Haviland nie daje ci usnąć?

Andrew nie odpowiedział.

- Przydałaby ci się kobieta wychowana w barze, w którym można zjeść najlepszy chowder w całym Bostonie i gdzie nikt nie robi różnicy między studencikiem i robotem. Joanna na pewno chciałaby, żeby właśnie ktoś taki wychowywał Dolly. Bała się, że sama jest za słaba, za mało pewna siebie, za mało samodzielna, by być dobrą matką. Zwierzała mi się nie raz ze swoich lęków. - Przeciągnął się, zmęczony tak długą przemową. - Była nieszczęśliwym człowiekiem, a ty przy niej.

- Nie żeniłem się z nią po to, żeby mnie uszczęśliwiła.

- Na tym właśnie polega twój problem, jeśli idzie o kobiety, chociaż nie twierdzę, żebym był ekspertem w tej materii.

- I bardzo dobrze.

Harl naprawdę się rozgadał, rzecz u niego niebywała.

- Byłeś zbyt niezależny jak dla Joanny. Jej potrzebny był ktoś, kogo mogłaby bardziej kontrolować. Była bystrą i cholernie dobrą kobietą, ale wbiła sobie w głowę, że łatwiej jej przyjdzie opanować górskie szczyty niż męża. Tessa jest przyzwyczajona do niezależnych facetów, da sobie z tobą radę.

Andrew spojrzał uważnie na kuzyna.

- Gruntownie przemyślałeś zagadnienie.

- Na zdrowie, Thorne. Skoro masz zapędy autodestrukcyjne, zaproponuj Tessie, żeby wracała do Bostonu. Dalej, na co czekasz.

- Jej znajomość z Utiem...

- Może to była prawdziwa przyjaźń. Dce nie miał przyjaciół. Miał za to mnóstwo energii, optymizmu, miał charyzmę i na tyle arogancji, by uważać, że nikogo nie potrzebuje. Ludzie karmili się tą jego energią, ale nie dawali mu nic w zamian.

Andrew zapatrzył się w nocne niebo.

- Ciekawe, czy Dce przeczuwał, że to właśnie Tessa go znajdzie - powiedział Harl.

- I dlatego dał jej wozownię? To do niego niepodobne. Dce nie miał żadnych przeczuć.

- Może miał. Przyjaźnił się z Tessą, mógł jednak przeczuwać, że jeśli przydarzy mu się coś złego, to Tessa, ze swoją osobowością buldoga, nie spocznie, dopóki nie dokopie się prawdy. - Harl pokiwał głową, wyraźnie usatysfakcjonowany własną teorią. - Myślałem o Jedidiahu. Kto wie, co zaszło w wozowni tamtego fatalnego dnia? Pewnie nigdy się już nie dowiemy.

- Jedidiah miał dużo czasu, żeby opowiedzieć swoją wersję.

- Może honor mu nie pozwalał. Wiesz, honor to było coś, co jeszcze obowiązywało w dziewiętnastym wieku. Dopiero dzisiaj ludzie zapomnieli, co znaczy to słowo.

- Może honor mu nie pozwalał... - powtórzył Andrew w zamyśleniu.

- A może pieprzę coś bez sensu. Muszę się przespać, jeśli jutro mam wytrzymać kilka godzin ze smarkaczami. - Harl wstał ciężko. - Zapomnij, co mówiłem. Za bardzo się rozgadałem. To pewnie robota duchów.

Harl zniknął w swojej pracowni, Andrew został w ogrodzie, zasłuchany w szum oceanu. Zgadzał się ze wszystkim, co Harl powiedział o Joannie, JJce'u, Tessie, Jedidiahu. I duchach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tessa pomyślała, że będzie zręczniejsza, jeśli wstanie później niż domownicy. Zejdzie na dół, zrobi sobie kawę, usiądzie na ganku i zastanowi się, jak zaplanować dzień. Na pewno powinna pojechać do Bostonu i dokończyć przeglądanie e-maili. Przeczytała już wszystkie listy od Dce'a, pozostały jej jeszcze te, które ona wysyłała do niego.

Wiedziała, że nie usiądzie nad projektami. Już miała spore opóźnienia, ale nie była w stanie skupić się na pracy. Jeszcze trochę, a zacznie tracić klientów.

Była dobrym grafikiem, ale nie mogła sobie pozwolić na niedotrzymywanie terminów. Co kogo może obchodzić, że zamiast siedzieć nad zleceniami, znajduje szkielety w piwnicach starych wozowni?

Westchnęła z rezygnacją i wlepiła wzrok w sufit. Z łazienki dochodził wesoly głos Dolly, podśpiewującej jakąś własnego pomysłu piosenkę o kotach.

Policjanci z Beaconbythe-Sea zlekceważyli sprawę szkieletu. Niby szukali Dce'a, ale opieszale, bez specjalnego przekonania. Może powinna zrobić coś, żeby zmobilizować ich do bardziej energicznych działań?

Susanna, która zna się na rzeczy, mówiła, że policja nie lubi zaginionych ciał, bo to często jest szukanie igły w stogu siana. Alvarezowi na pewno wygodniej było założyć, że Tessa coś sobie ubrała.

- Ale się narobiło - mruknęła pod nosem. Spojrzała na zegarek: dopiero kwadrans po siódmej.

O której Andrew i Dolly wyjdą z domu?

Ledwie Tessa zdążyła o niej pomyśleć, mała wpadła do pokoju.

- Koty otworzyły oczy! - zawołała.

- Naprawdę? - Tessie udało się wykrzesać z siebie stosowną dozę entuzjazmu.

- Dolly - doszedł z korytarza głos Andrew. - Powinnaś zawsze pukać, jak wchodzisz do czyjegoś pokoju. Tessa mogła jeszcze spać.

Akurat, pomyślała z przekąsem. Dolly była zbyt przejęta, by tracić czas na jakieś tam przepraszenie.

- Chcesz je zobaczyć? Są takie śliczne! Andrew miał dość wycucia, by nie pokazać się w progu pokoju gościnnego. Tessa nie wiedziała, jak by się zachowała na jego widok. Już i tak czuła się nieswojo. Usiadła w pościeli.

- Tylko się ubiorę i zaraz przyjdę do pokoju kredensowego.

Dolly wybiegła w podskokach, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Andrew je zamknął.

Tessa szybko wciągnęła dżinsy i włożyła bawełnianą koszulkę.

W kuchni czekał już na nią kubek kawy, przygotowany przez Andrew. Dolly wychyliła głowę z kredensowego i przynagliła Tessę energicznymi gestami.

Rzeczywiście cała czwórka kociaków otworzyła już oczy, a ich futerka zrobiły się bardziej puszyste. Nawet Łatka sprawiała wrażenie bardziej zadowolonej z dzieci niż dotąd.

- Tata mówi, że mogę wziąć jednego na ręce, ale bardzo ostrożnie - szepnęła Dolly.

Wyjęła z pudełka szarą kotkę, Mieszarkę, i przytuliła ją do policzka.

- Jaka ona mięciutka! - westchnęła z zachwytem. W kuchni pojawił się Harl. On też musiał obejrzeć kociaki. Mruknął coś pod nosem, co w zupełności wystarczyło Dolly. Uszczęśliwiona pobięła pakować się do szkoły. Koniecznie chciała zabrać czarodziejską różdżkę, którą dostała od Lauren Montague, ale Andrew i Harl wytłumaczyli jej, że panna Perez nie byłaby zachwycona tym nowym rekwizytem.

Tessa nie wtrącała się do rozmowy. Dolly nie potrzebowała wsparcia, a obaj mężczyźni doskonale wiedzieli, jak daleko

mogą posunąć się w swoich pedagogicznych wysiłkach, nie stosując przymusu.

- Jeszcze kiepsko sobie radzę jako wolontariusz. Pomożesz mi?

Dolly przytaknęła skwapliwie.

- Pomogę ci, ale nie chcę, żebyś codziennie przychodził do szkoły, dobrze?

- Wiem. Czasami musicie porzucać w siebie selerem, a taki staruch jak ja tylko wam przeszkadza.

Andrew miał najwyraźniej inną opinię na ten temat, ale milczał, pozostawiając kwestię wolontariatu Harlowi i Dolly.

- Jadę do Bostonu - oznajmiła Tessa. - Muszę zajrzeć do biura, ale po południu będę z powrotem.

Nie wspomniała o e-mailach, bo ich lektura nie wniosła, przynajmniej do tej pory, nic nowego. Czymś jednak musiała się zająć, stąd wizyta w archiwum fundacji i przeglądanie korespondencji z Ikiem. Co innego mogła robić? Dalej szorować podłogi w wozowni? Siedzieć na posterunku policji i czekać, aż Alvarez i OToole zajmą się sprawą szkieletu?

- Zadzwoń z Bostonu, daj znać, kiedy wracasz - poprosił Andrew.

- Nazwałam już wszystkie kociaki - oznajmiła z dumą Dolly. - Mieszarka Do Cementu, Śnieżka, Nocka i Puchatek.

- Puchatek? - zdziwiła się Tessa. Dolly zachichotała.

- Wiem, Puchatek jest misiem, ale tata mówi, że to nie szkodzi.

- Dolly, wiesz, że nie możemy zatrzymać kotów? - powtórzył Andrew po raz setny.

Dolly przewróciła tylko oczami.

Tessa wyszła, uśmiechając się pod nosem.

Na autostradzie dwa razy utknęła w korku. Raz z powodu wypadku, potem robót drogowych. Kiedy dotarła na Beacon Street, wbiegła do biura na trzecim piętrze, przeskakując po dwa stopnie i nie wiedząc na dobrą sprawę, dlaczego tak się spieszy.

Susanna Galway posłała jej lodowate spojrzenie.

- Od kilku godzin tkwię przy komputerze, usiłując zarobić na chleb, a ty wpadasz tutaj z takim impetem, jakbyś chciała mi obwieścić, że znalazłaś kolejny szkielet. Dzwonił do ciebie kilka razy jakiś dziennikarz. Próbowałam go spławić, ale nie wiem, czy skutecznie. Jeśli jest dobry w swoim fachu, nie da ci żyć, dopóki z nim nie pogadasz.

Susanna wyglądała, jak zwykle, wspaniale. No i od kilku godzin zarabiała na chleb. Tessa opadła bez tchu na fotel.

- Dlaczego musiałam dostać od Ike'a tę cholerną wozownię? I mieć za sąsiadów sześćioletnią półsierotę, gliniarza na emeryturze i architekta?

- Widać Ike wiedział, co robi.

- Myślisz, że to o nich chodziło?

- Teraz na to wpadłaś?

- Nie. Wpadłam na to, tkwiąc w korkach - mruknęła Tessa poirytowanym tonem.

Susanna wzruszyła ramionami, niewiele sobie robiąc z humorów przyjaciółki.

- Dce pewnie myślał nie tylko o Jedidiahu Thornie, ale i o innych duchach.

Tessa też już na to wpadła. Widziała, o czym mówi Susanna. - O mojej matce.

Stwierdzenie nie wymagało komentarza i Susanna wróciła do pracy. Tessa odsłuchiwała wiadomości nagrane na sekretarce automatycznej. Na szczęście wszystkie sprawy, oprócz jednej, mogły poczekać do następnego dnia. Zajrzała do folderu, w którym przechowywała stare e-maile.

Znalazła kopie czterdziestu dziewięciu listów, które swego czasu wysłała do Dce'a.

Ostami napisała w dniu, kiedy nie doszło do ich spotkania. Otworzyła go.

Trzecia po południu bardzo mi odpowiada. Nie przejmuj się, jeśli się spóźnię, ale taki już mój wdzięk. Pożegnaj się z

wozownią bo kiedy zrobię tam remont, nie wiem, czy cię wpuszczę! Może zresztą sam nie będziesz chciał składać mi wizyt. Tak zupełnie bez związku, czy mówiłam ci już, że lubię perkale? Nie wdaj się, broń Boże, w pojedynkę ze swoim przyszłym szwagrem. Tradycja tradycją, ale jeden duch w wozowni całkiem mi wystarczy.

Zapomniała zupełnie, że tego dnia był umówiony z Richardem Montague'em. Wymieniła tyle nic nie-znaczących listów z Ikiem, że nie przywiązywała najmniejszej wagi do tego, co zaplanował na tamten ranek. Niby z jakiego powodu? W końcu nie był jeszcze wtedy osobą zaginioną.

Myślała tak o nim zaledwie od kilku dni.

Może tamtego dnia nie pojawił się w ogóle w wozowni. Może wyjechał z Beaconbythe-Sea jeszcze przed spotkaniem z Richardem.

Tessa przeczytała jeszcze dziesięć e-maili, starając się nie wyciągać pochopnych wniosków.

Ale wnioski same się nasuwały.

Dce był zakochany w Joannie Thorne. Uważał, że Richard Montague, jego przyszły szwagier, jest po części odpowiedzialny za stan psychiczny Joanny. Pracowała u niego, i jak wszyscy podwładni Richarda, doskonale wiedziała, jak bardzo szefowi zależy na stanowisku w Waszyngtonie.

Tessa dopiero teraz zaczęła kojarzyć poszczególne fakty. Wcześniej nie знаła osób, między którymi toczyła się gra. Pochłonięta własnymi problemami nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół Dce'a.

Wzmiankę o tym, że Joanna pracowała u Richarda, znalazła w kopii swojej odpowiedzi na list Dce'a. Oryginału nie zachowała.

Przeglądając pełną kpin i żartów korespondencję, uświadamiała sobie, że w jej kontaktach z Dciem, czy był tylko klientem, czy już przyjacielem, było coś z zakazanej przyjemności. Czytała jego listy i zaśmiewała się z ciętych, zjadliwych uwag na temat zupełnie obcych jej ludzi.

Czuła się teraz trochę jak konspirator, ale nie żałowała, że znała Dce'a. On ze swej strony nie oczekiwał od ludzi, że będą traktowali go poważnie. Zachowywał się jak niedojrzały chłopiec, który jest przekonany, że wszyscy będą mu wybaczać jego ekscesy, w gruncie rzeczy mając go za dobrego człowieka. Tessa akceptowała go takim, jakim był.

Wiedziała też, jak serdecznie nie znosił Richarda Montague'a.

Zamknęła folder ze starą korespondencją.

- Wczoraj Richard Montague powiedział mi, że od lat nie był w wozowni - zwróciła się do Susanny. Mówiła spokojnym tonem, ale w jej głosie słycać było napięcie. - Kłamał w żywe oczy. Miał tam spotkać się z Ikiem na kilka godzin przed naszym spotkaniem, na które Jke nie przyszedł.

- Mógł nie przyjść z zupełnie niewinnego powodu.

Susanna niby to zbagatelizowała sprawę, ale Tessa wiedziała, że przyjaciółka myśli o tym samym co ona i ma te same obawy.

- A jeśli Richard Montague był ostatnią osobą, która widziała Dce'a żywego? Czy nie powinien powiedzieć o tym policji, szczególnie teraz?

- Może Dce na to spotkanie też nie przyszedł? Tessa poczuła nieprzyjemną suchość w gardle.

- Może jednak przyszedł. Susanna zwięzła oczy.

- Jasna cholera! Spotkali się, zaczęli kłócić o Lauren, o Joannę...

- I Dce wyładował w piwnicy. Trup Dce'a. - Tessa nerwowo zerknęła na przyjaciółkę. - Wyciągam pochopne wnioski?

- Bardzo pochopne - przytaknęła Susanna. - I co z tego? Masz do tego prawo, nie jesteś przecież gliną. Pogadaj z tymi facetami z posterunku w Beaconbythe-Sea, zmusz ich, żeby przesłuchali Richarda Montague. Nie, do diabła, to jakaś paranoja. Za bardzo się nakręcamy. Jeszcze trochę i sama byłabym gotowa zakopać Dce'a Granthama w piwnicy. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Cholera, przecież człowiek nie powinien mordować.

W tym rzecz, pomyślała Tessa. Człowiek nie powinien mordować.

Wydrukowała e-maile, które wzbudziły jej niepokój, i wybiegła z biura, przyrzekając Susannie, że zadzwoni później.

- Nie mów nic babci i broń Boże nie chlapnij czegoś w barze. Mogę się mylić. Już i tak narobiłam dość zamieszania.

Susanna skinęła głową i uśmiechnęła się ponuro.

- Musiałabys zwiewać na antypody. Gdyby się okazało, że oskarżyłaś niewinnego człowieka na podstawie informacji, które znalazłaś w starym e-mailu, Davey i reszta towarzystwa nie daliby ci żyć.

- Myślisz, że się wygłupiłam?

- Jedź na policję. Niech pogadają z Montague'em. Przekonamy się, co facet ma do powiedzenia.

- Może potrafi wyjaśnić, co się stało tamtego dnia. Ciągle mam nadzieję, że mi się tylko przywidziało.

Susanna nic nie powiedziała. Obie wiedziały, że Tessie nic się nie przywidziało. Ike Grantham nie żył.

Andrew znalazł Lauren w herbarium w towarzystwie rozhasanych pudli. Psy biegały jak szalone, a ich pani stała na wąskiej żwirowej ścieżce.

Dopiero tutaj, w rozległym ogrodzie ogromnej rezydencji, uświadamiał sobie, jak bogatą kobietą była Lauren Grantham Montague. Łatwo było o tym zapomnieć, bo Lauren robiła wszystko, żeby nie podkreślać swojego statusu.

Nie miała szofera, strażników przy bramie, nawet stałej służby, chociaż miała duże pieniądze. Ogromne pieniądze.

Gdyby chciała zniknąć, jak Dce, bądź sprawić, by zniknął ktoś inny, mogłaby osiągnąć swój cel bez najmniejszego wysiłku.

- Powinieneś przywieźć kiedyś Dolly - powiedziała, nie odrywając wzroku od pudli. - Mogłaby pobawić się z psami.

- Zamęczyłaby je śmierć. Uwielbia zwierzęta. Lauren spojrziała wreszcie na Andrew. Miała zaczerwienione oczy, jakby nie spała od wielu dni.

- Jak każda królowa - powiedziała i uśmiechnęła się z przymusem.

Zirytowała go ta uwaga. Lauren żyła w kompletnie innym świecie i nie miała pojęcia, co naprawdę myśli i czuje Dolly. Nie dlatego, że była bogata, to byłoby zbyt łatwe wyjaśnienie. Miała po prostu własne pojęcie o tym, kto jakim jest człowiekiem. Wierzyła w to, w co chciała wierzyć, bo tak było jej wygodnie.

Na podstawie pojedynczych faktów tworzyła sobie cały wizerunek osoby, nie odróżniała prawdy od fantazji, nakładała na rzeczywistość własne projekcje. Nawet kiedy przywoziła jakiś mebel Harlowi do renowacji, potrafiła osnuć wokół zwykłego fotela czy komody niezwykłą opowieść.

Miała skłonność do oceniania ludzi wyłącznie podług własnego widzimisię.

Andrew podejrzewał, czy raczej był pewny, że i jego nie ominął podobny los.

- Tessa Haviland naprawdę widziała szkielet w swojej piwnicy - oznajmił bez wstępów.

Lauren nie okazała zdziwienia i powiedziała:

- Jej się wydaje, że to Dce, jednak policja nawet nie chce o tym słyszeć. Ciągłe mają nadzieję, że Dce się znajdzie.

- A ty co myślisz? Lauren wzruszyła ramionami.

- To byłoby straszne, gdyby okazało się, że Tessa naprawdę znalazła szkielet Dce'a. Straszne dla mnie osobiście, ale ucierpieliby wszyscy: mój mąż, ty. Mianowanie Richarda już stoi pod znakiem zapytania. Ludzie, którzy go popierają, mogą się wycofać w każdej chwili. A ty? Mieszkasz tuż obok. Wiesz, co się będzie działo, jeśli się okaże, że Ike Grantham został zamordowany w wozowni Thorne'a?

- Mówisz jak dziennikarz, który czyta najnowsze wiadomości. To przecież twój brat.

Lauren potrząsnęła głową pełnym irytacji ruchem.

- Wiem, kim jest Dce.

- Wiesz więcej, niż chcesz przyznać.

- Tak sądzisz? - zapytała, spoglądając na Andrew spod przymkniętych powiek.

- Sądzę, że tak, i że z tego, co wiesz, wyciągasz całkowicie fałszywe wnioski.

Wzięła na ręce pudła, który był najbliżej, i podrapała go pod brodą.

- Bardziej chyba lubię psy niż ludzi. - Przytuliła policzek do psiego łba, łzy napłynęły jej do oczu. - Nie szanujesz mnie, Andrew. Nigdy mnie nie szanowałeś. Nigdy nie potrafiłeś docenić tego, co dla ciebie robię. Co robię dla innych ludzi. Tak wygląda twoja niezależność sądów.

Andrew nie zareagował na jej słowa. Postawiła psa na ziemi i przeszła kilka kroków.

- Mój brat nie dał znaku życia od marca zeszłego roku. Tego dnia, kiedy zniknął, miał spotkać się z Tessą i omówić projekt nowej strony internetowej fundacji. Często umawiali się tutaj, w Beaconie, ale akurat tamtego dnia wyznaczili sobie spotkanie w Bostonie.

Psy ruszyły za Lauren, po czym wpadły między zioła. Przepędziła je z grządki rozmarynu.

- Nie rozrabiajcie, bo zaraz pójdziecie do domu. - Nachyliła się i zasypała jamę, którą zaczął kopać jeden z pudli. - Miał zajrzeć po drodze do wozowni. Powiedział mi o tym przy śniadaniu. Pokłóciliśmy się.

- O wozownię?

Pokręciła głową i otrzepała dłonie z ziemi.

- Nie. O styl życia Dce'a.

Nie musiała więcej wyjaśniać. Ekscentryczny styl życia Dce'a był stałym tematem plotek w miasteczku.

Kiedy przyjeżdżał do Beaconu, czy to na kilka dni, czy na dłuższy czas, mieszkał w rodzinnej rezydencji Granthamów. Pierwszemu mężowi Lauren nigdy to nie przeszkadzało. Często wyjeżdżali, mieli drugi dom na Cape Cod. Po rozwodzie Lauren została w rezydencji sama i tym bardziej cieszyła się z wizyt brata.

Sytuacja musiała się zmienić, kiedy Lauren postanowiła ponownie wyjść za mąż.

- Jak rozumiem, Richard nie chciał, żeby Dce tu przyjeżdżał - domyślił się.

- Proponował, żebym spłaciła Dce'a, odliczając wszystkie wydatki na utrzymanie domu, które ponosiłam przez lata, i podatki, które płaciłam. Gdyby nie ja, fiskus dawno przejąłby dom. Dce nigdy nie dał mi grosza, ale wpadł w furję, kiedy usłyszał o propozycji Richarda. Wiesz, jaki on był... jest - poprawiła się bez przekonania i na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Nie oczekiwała, by Andrew uwierzył, że nie dopuszcza do siebie myśli o śmierci Dce'a. - Takie detale jak strzyżenie trawników czy płacenie podatków zostawiał innym. On był ponad podobne trywialności. Usiłowałam mu powiedzieć, że skoro tak podchodzi do sprawy, powinien wynająć kogoś, kto go wyręczy w tych nudnych obowiązkach.

- Znam was od lat i nie przypominam sobie, żebyście kiedykolwiek się kłócili.

- Bo też nie kłóciliśmy się. Dopiero Richard uświadomił mi, że Ike mnie wykorzystuje. Ze zawsze mnie wykorzystywał.

Andrew doskonale rozumiał Dce'a. Wiadomość, że ma rozstać się z piękną rezydencją, musiała być dla niego szokiem. Czuł się tutaj u siebie, miał prawo do tego domu, rodzinnej siedziby Granthamów.

Wrócił do głównego tematu:

- Po co Dce wybierał się tamtego dnia do wozowni?

- Och, zachowywał się bezsensownie. Zaczął opowiadać, że nie powinien był dawać wozowni Tessie, tylko zatrzymać ją dla

siebie, wyremontować i mieszkać tam podczas przyjazdów do Beaconu.

- Wozowni w żaden sposób nie da się porównać z waszą rezydencją...

Lauren machnęła ręką ze złością.

- Dce plótl bzdury. Nie zrezygnowałby z praw do naszego domu bez walki. Zrobiłby wszystko, żebym poczuła się jak wyrodna siostra, która zadaje mu cios w plecy. Walczyłby ze mną do upadłego i pewnie by wygrał. Zapewniał mu to testament rodziców, o czym Richard nie wiedział.

- Co mówi testament? Że albo będziecie współwłaścicielami domu, albo stracie do niego prawa?

Skinęła głową, niemal zażenowana.

- Mniej więcej. Rodzice wiedzieli, że Ike nie będzie wywiązywał się ze swoich obowiązków. Ja miałam wziąć na siebie wszystko, jak oni to robili za życia. - Lauren odwróciła się i ruszyła w stronę trawnika. - Oczywiście finansowo mogłam z łatwością poddać tym obciążeniom, o czym Richard też nie wiedział i nie chciałam, żeby wiedział.

- Co zrobiłaś, kiedy się pokłóciliście?

- Pojechałam do biura. Dce'owi fundacja dawała duży prestiż, ale cała praca spadała na mnie. Robił to, na co miał ochotę, dopóki go to bawiło. Byłam wściekła, że godzę się z taką sytuacją. Richard wreszcie zdjął mi klapki z oczu i muszę powiedzieć, że byłam mu za to wdzięczna, ale czułam się okropnie ze świadomością, że przez całe życie mój własny brat traktował mnie jak wycieraczkę, a na domiar złego rodzice oczekiwali, że tak będzie zawsze.

Andrew szedł obok Lauren, psy pobiegły przodem i zmęczone padły w cieniu drzewa.

- Musiałaś go nienawidzić w tamtej chwili.

- Nie, właśnie że nie. - Po policzkach Lauren spływały łzy, ale mówiła opanowanym głosem, jakby nie zdawała sobie sprawy, że płacze. - Bardzo kochałam Ike'a, i nie tylko dlatego, że był

moja jedyną rodziną. Przyjmowałam go takim, jakim był, ze wszystkimi jego wadami, i chciałam tego samego od niego. Żeby akceptował moje złe strony i doceniał dobre. Tak po prostu.

- A więc siedzisz w swoim biurze, jeszcze poirytowana, aż w końcu dochodzisz do wniosku, że niech to diabli, ale musisz pogodzić się z Dciem oraz wytłumaczyć Richardowi, że to jednak twój brat. I żyć dalej. - Andrew zerknął na nią. - Nie czekasz, wsiadasz do samochodu i jedziesz do wozowni.

- Tak. - Lauren patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie, jakby nagle cofnęła się w czasie do tamtego marcowego poranka. - Było bardzo zimno. Pamiętam, że niecierpliwie wyglądałam nadejścia wiosny. Marzec to miesiąc, którego nie znoszę, ale w zeszłym roku był wyjątkowo paskudny. Nie wsiadłam do samochodu, lecz pomimo zimna poszłam pieszo. Chciałam ochłonąć po drodze.

- Która mogła być godzina?

- Nie wiem dokładnie. Przed lunchem. Około jedenastej. - Lauren zaczęła drżeć.

- I co?

- Przed wozownią nie zobaczyłam jego samochodu, ale wiedziałam, że Ike musi być w środku. Widocznie też przyszedł piechotą. Zawsze lubił ruch, świeże powietrze. - Skrzyżowała ręce na piersi. Ta rozmowa sta

wała się prawie ponad jej siły. - Stałam na stopniach prowadzących do drzwi kuchennych.

Zatrzymała się, twarz jej poszarzała. Lauren zaczęła drżeć jeszcze bardziej.

- Wszedłeś do środka?

- Nie.

- Zobaczyłeś coś - bardziej stwierdził niż zapytał. Spojrzała mu w oczy, milczała przez chwilę.

- Ciebie.

- Jesteś pewna?

- Przechodziłeś między bzami. Miałeś na sobie starą kurtkę dzinsową, którą często nosisz. Zawołałam cię, ale nie zareagowałeś.

- Widziałas mnie czy moją kurtkę, Lauren?

- Widziałam ciebie.

Nie chciał się z nią kłócić, chociaż miał szczerą ochotę powiedzieć jej coś do słuchu.

- Co zrobiłaś, kiedy nie odpowiedziałem?

- Weszłam do środka.

- Weszłaś do wozowni - uściślił.

Skinęła głową. Łzy obeschły, miała teraz puste, martwe spojrzenie.

- Zobaczyłam wodę. Strasznie śmierdziało, wapnem, krwią. Myślałam, że to imaginacja...

- Pomyślałaś, że to sprawka ducha.

- Tak. Pomyślałam o duchu, ale wiedziałam. -Utkwiła wzrok w twarzy Andrew. - Już wiedziałam.

- Lauren...

- Wiedziałam, że zabiłeś mojego brata. Za to, co stało się z Joanną. Nie winałam cię. I ké powinien był zostawić ją w spokoju.

Andrew nie zareagował. Chciał dokładnie się dowiedzieć, co Lauren zapamiętała z tamtego marcowego, strasznego dnia.

- Widziałas Dce'a?

- Nie. - Pokręciła głową. - Klapa prowadząca do piwnicy była wilgotna, zasuwka... otwarta. Zasunęłam ją i wyszłam. Już tam nie wróciłam.

- Wróciłaś. W ostatnią sobotę - powiedział Andrew cicho.

- Tak, wróciłam, kiedy pojawiła się Tessa. Wcześniej nie byłam w stanie. Źle zrobiłam, że nie poczekałam jeszcze kilku godzin, ale Richard... - Przerwała, przelknęła z wysiłkiem ślinę. Oddychała płytko, szybko, ale jej głos brzmiał dziwnie spokojnie. - Richard coś by zauważył i zaczął zadawać pytania.

Nie chciałam, żebyś wiedział, że ja wiem. Chciałam tylko ci pomóc, zając się Dciem ze względu na ciebie.

Chryste, pomyślał przerażony, ale usilnie starał się panować nad sobą.

- Zabrałaś jego szczątki z piwnicy.

- Żebyś ty nie musiał tego robić.

- Gdzie są teraz?

Lauren odgarnęła włosy. Andrew zobaczył w jej oczach smutek, ale i odrobinę dumy. W końcu wiele ryzykowała, by mu pomóc.

- Pokażę ci. Musimy zdecydować, co z nimi teraz zrobić.

„My musimy”. Andrew zacisnął zęby. Czy ktoś próbował obciążyć go zbrodnią? A może Lauren tylko wydawało się, że widzi właśnie jego? Mignęła jej dżinsowa kurtka i uznała, że to Andrew Thorne, człowiek, który miał prawo nienawidzić jej brata.

- Dce zawsze chciał spocząć na dnie morza. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Chyba możemy zrobić mu taki pogrzeb, jak myślisz?

Andrew uznał, że najwyższa już pora, by wreszcie coś powiedział.

- Ja go nie zabiłem, Lauren.

Zdawała się nie słyszeć jego słów. Zagwizdała na pudle, które leniwie podniosły się i podeszły do niej z ociąganiem.

- Idziesz ze mną? - zapytała, kierując się w stronę podjazdu.

- Oczywiście. - Andrew zamrugał gwałtownie, kiedy podeszła do samochodu i otworzyła bagażnik. - Cholera - zaklął pod nosem.

- Nie! - krzyknęła. Bagażnik był pusty.

Ta kobieta przez trzy dni woziła w bagażniku szczątki swojego brata, pewna, że to Andrew go zabił. Odwróciła się gwałtownie do niego.

- To ma być jakiś żart? Był w czarnym plastikowym worku. Sama go tam włożyłam. Każdą kosteczkę.

Nie mogłam pozwolić, żeby policja coś znalazła. Sam rozumiesz, badanie DNA pozwala zidentyfikować człowieka na podstawie najmniejszego drobiazgu. - Lauren wyrzucała z siebie pospiesznie słowa, nie panowała już nad sobą. - Boże drogi, kto kradnie worek kości z czyjegoś bagażnika?

Należałoby najpierw spytać, kto wozi w bagażniku ludzkie kości... Andrew najchętniej wsiadłby do samochodu i czym prędzej stąd odjechał.

- Musimy zadzwonić na policję, Lauren.
- Słucham?
- Nie zabiłem Dce'a. Nie musisz mnie chronić.
- Ale ja... przecież cię widziałam.
- To nie byłem ja.

Zamrugała gwałtownie i spojrzała na Andrew nieprzytomnym wzrokiem.

- Co takiego?
- Gdzie jest twój mąż?
- Richard? W pracy. Andrew bardzo w to wątpił.

Richard był niższy od niego i szerszy w ramionach, ale mógł z łatwością zdjąć dżinsową kurtkę z wieszaka na ganku od strony ogrodu, gdzie zawsze wisiała, i włożyć ją na wypadek, gdyby ktoś go zobaczył koło wozowni i odkrył ciało Dce'a.

Ta prosta, wręcz prymitywna maskarada okazała się niezwykle skuteczna.

- Czy mówiłaś Richardowi tamtego dnia, w marcu zeszłego roku, że wybierasz się do wozowni porozmawiać z Dciem?

- Tak. Rozmawiałam z nim zaraz po przyjściu do biura. Dlaczego pytasz?

Skoro Richard wiedział, ułożył wszystko tak, by Lauren uwierzyła, że to Andrew zabił Dce'a. Przewidział, jak zareaguje jego przyszła żona, był przecież ekspertem, śledził zachowania ludzi, którzy znaleźli się w skrajnych sytuacjach. To oznaczało, że zamordował z zimną krwią.

- Musimy zawiadomić policję i znaleźć twojego męża -
powiedział Andrew.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Richard potrzebował mordercy.

Zaparkował na podjeździe wozowni. Miał już plan, śmiały plan, bo tylko taki mógł się powieść. Nie próbował ukrywać samochodu, bo to mogłoby wzbudzić niepotrzebne podejrzenia.

Był niewinny i powinien zachowywać się jak człowiek niewinny.

Wyjął ze schowka pod deską rozdzielczą waltera 9 mm. Lauren nie znosiła broni i nigdy nie wspomniał jej, że trzyma pistolet w szufladzie biurka w swoim gabinecie w instytucie. Pracownikom nie wolno było mieć broni, ale jakoś udało mu się przemycić swojego waltera.

Zatknął go za pasek i wyjął kości Dce'a z bagażnika.

Jeszcze czuł tamten zapach sprzed roku. Zapach krwi. Dce, spadając ze schodów, zawadził o wystający gwóźdź. Krew i wapno. Richard musiał przyspieszyć rozkład ciała.

Drogie ubranie Dce'a spalił. Spopielone resztki wrzucił do morza, usunął wszystkie ślady w wozowni. Nie martwił się tym, że ktoś znajdzie szczątki Dce'a

w piwnicy, nie przewidział jednak, że Lauren je stamtąd wyniesie. Był pewien, że bez trudu poradzi sobie, gdyby śmierć szwagra została ujawniona. Ot, tragedia rodzinna i tyle. Lecz gdyby okazało się, że jego żona jest zamieszana w sprawę, wybuchłby poważny skandal. Tego Jeremy Carver, ten zadufany w sobie sukinsyn, nie zniósłby.

Nie, Richard nie mógł wrzucić po prostu kości Ike'a do oceanu. Richard Montague potrzebował mordercy. Musiał mieć w garści odpowiednie zakończenie tej ponurej afery. Nie mógł ryzykować, nie mógł sobie pozwolić na to, by śmierć Dce'a Granthama rzuciła choćby najmniejszy cień na jego osobę. To, co robił, było zbyt ważne.

Gdy przeciskał się między gęstymi krzewami bzu, torba zahaczyła o gałąź i wydobył się z niej obrzydliwy zapach wilgotnej ziemi i stęchlizny. Poczuł, że robi mu się niedobrze.

Słyszał śpiew dziewczynki dochodzący z domku na drzewie. Przemknął cicho przez trawnik w stronę pracowni Harleya Becketta. Stał w otwartych drzwiach i wycelował waltera w pierś Harla, który wyciągnął rękę po kij baseballowy.

- Nie próbowałbym - wycedził.

- Pewnie że nie. Przecież masz pistolet. Po co ci kij baseballowy?

Ręka Harla zawisła w powietrzu. Zamarł w pół ruchu i patrzył, jak Richard kładzie worek na podłodze.

- Po tym jak Tessa Haviland złożyła doniesienie na policję, doszedłem do wniosku, że musisz być zamieszany w sprawę. Mieszkasz po drugiej stronie żywopłotu. Jesteś życiowym bankrutem. Nie przepadałeś za moim szwagrem. Zanim pójde na policję z oskarżeniem, muszę sprawdzić, czy mam rację. Z pistoletem, ma się rozumieć.

- Zostaw dziecko w spokoju. Dotkniesz jej, a mój duch będzie cię straszył do końca twoich dni. Nic przyjemnego.

Richard uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Niepoprawny romantyk. - Wskazał pistoletem drzwi. - Mogę cię prosić na przechadzkę? Przejdziemy się do wozowni.

- Schowaj broń. Nie chcę, żeby Dolly ją zobaczyła. Pójde z tobą, ale schowaj tę spluwę.

- Ruszaj się. I módl.

Kiedy przeciskali się przez żywopłot, w dalszym ciągu towarzyszył im śpiew Dolly. Harl odetchnął, gdy znaleźli się po drugiej stronie żywopłotu. Tu już nie mogła ich zobaczyć. Spojrzał na Richarda, jakby już wszystko wiedział.

- Nie wyjde z tego żywy?

- Niestety, nie wyjdiesz. Osobiście nie mam nic do ciebie, ale z latami zrozumiałem, że życie wymaga niekiedy poświęceń w imię wyższego dobra.

- I tym wyższym dobrem jest dla ciebie ratowanie własnej dupy.

- Świat mnie potrzebuje.

- Tak? Wiesz, co ci powiem? Pieprzę świat. Richard uśmiechnął się kwaśno.

- Tak mówią ci wszyscy, którzy się skończyli. Wejźmy do środka, dobrze?

Harl ruszył do drzwi kuchennych.

- Jesteś dzielnym człowiekiem - ciągnął Richard. - Prości, nie wy kształceni, dzielni ludzie z wyrobionym poczuciem obowiązku też mają swoją rolę do odegrania w życiu.

- To się nazywa mięso armatnie.

- Naszedł nas wisielczy humor? Beckett nie odpowiedział.

Kiedy już znaleźli się w środku, Richard kazał mu podnieść kłapę prowadzącą do piwnicy.

- Wiem, że będziesz próbował jakichś sztuczek. Liczę na to.

Tego, co Beckett zrobił, Richard jednak nie zdołał przewidzieć.

- Pierdol się - powiedział i rzucił się głową do przodu w piwniczny otwór, jakby skakał do oceanu.

Richard wypalił i zdążył postrzelić go w biodro, zanim Harl zniknął. Usłyszał głucho huknięcie uderzającego o ziemię ciała, ale żadnego krzyku, jęku, nawet westchnienia.

Stanął nad ciemnym otworem. Może Harl skreślił sobie kark? Skok do piwnicy głową w dół był ryzykowny - i zupełnie niespodziewany. Gdyby jednak

Harl skoczył na nogi, Richard zyskałby cenne ułamki sekundy i wsadziłby mu kulę w łeb.

Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo Richard w każdej sytuacji mógł wiarygodnie utrzymywać, że działał w obronie koniecznej.

Komu uwierzy policja i sąd? Beckettowi czy jemu?

Jeśli Beckett przeżył upadek, nie należało schodzić do niego po drabinie. Richard uznał, że bezpieczniej będzie obejść dom i dostać się do piwnicy schodami prowadzącymi z zewnątrz.

Zatknął waltera za pasek i wyszedł na podjazd.

Między krzewami bzu pojawiła się głowa małej.

- Widział pan mojego kota?

Tessa zatrzymała się przed domem Andrew i wyskoczyła z samochodu. Nie zastała go w biurze. Lauren Montague też nie pojawiła się w biurach fundacji. Tessa chciała porozmawiać z obojgiem o swojej wizycie na policji.

Owszem, szukali Dce'a Granthama, ale bez widocznych rezultatów. Byli coraz bardziej skłonni uwierzyć, że jednak w piątkową noc zobaczyła w piwnicy prawdziwy szkielet.

- Wielka szkoda, że nie zadzwoniła pani do nas od razu - powiedział Alvarez.

- Ja też żałuję.

Frontowe drzwi były zamknięte. Nacisnęła dzwonek kilka razy, ale nikt nie otwierał. Pobieгла do wejścia od strony ogrodu, nawołując po drodze Andrew i Harla.

Drzwi do pracowni Harla stały otworem, więc pobiegła tam. Z daleka zobaczyła czarny worek. Już wiedziała, ale dla pewności rozchyliła rozdarcie i zajrzała do środka.

Kości.

Dce.

O tej porze Dolly powinna już wrócić ze szkoły. Harl musiał ją przyprowadzić do domu, tymczasem nie było obojga. Poszli gdzieś razem?

- Dilly!

Tessa wybiegła z pracowni i wspięła się do domku na drzewie. Pluszowe zwierzaki, zastawa do herbaty dla lalek, talerz z ciastkami, ale ani śladu Dolly.

- Dolly!

Tessa czuła, jak ogarnia ją panika. Z ostatnich szczebli sznurowej drabinki nie próbowała nawet schodzić, tylko

zeskoczyła na ziemię. Powinna natychmiast zadzwonić do Andrew, ale zostawiła telefon komórkowy w samochodzie.

Łatka wysunęła się z rododendronów tak niespodziewanie, że Tessie serce stanęło na moment, ale powstrzymała krzyk.

Ktoś podrzucił worek do pracowni Harla.

Jeśli Łatka wyszła z pudła i zostawiła dzieci, Dolly pewnie wyprawiała się na poszukiwanie uciekinierki.

Znajdź ją, powiedziała sobie Tessa. Potem zadzwoń na policję.

Może najpierw powinna zadzwonić na policję?

Ale już przeciskała się przez żywopłot.

Na swoim podjeździe zobaczyła czarne bmw. Richard. Tessa cofnęła się o krok. Teraz była już pewna, że powinna natychmiast zadzwonić na policję. W tej samej chwili usłyszała głos Dolly.

- Nazywam się królewna Dolly. Zamarła.

Wielki Boże.

Miała tę przewagę, że jeszcze jej nie zauważyli. Musi wrócić do domu Andrew, zadzwonić do niego i zawiadomić policję. Nie może ryzykować. Chodziło o Dolly, o jej bezpieczeństwo.

- Nie zejść do piwnicy!

Mała była przy bzach, zanim Tessa zdążyła się ruszyć. Zatchnęła się zdumiona na widok Tessy.

- Tesso! Powiedz temu panu, że nie muszę robić tego, co mi każe. Widziałaś gdzie Łatkę Ogonatkę? Nie wiem, gdzie jest Harl - wyrzuciła z siebie pospiesznie, gotowa zaraz się rozplakać. - Poszukamy razem Łatki i Harla?

Za plecami Dolly stanął Richard Montague.

- Witam, panno Haviland.

Tessa chwyciła Dolly i pchnęła ją w stronę domu.

- Biegnij, Dolly! Zawiadom tatę. Nie oglądaj się, biegnij! Pospiesz się!

- Ale dlaczego...

- Biegnij! Zawiadom tatę. Zadzwoń pod 911. Powiedz im, że Richard Montague...

Oczy Dolly zrobiły się wielkie z przerażenia.

- On napada na banki?

- Tak! - Tessa panowała nad sobą resztkami sił. Bała się obejrzeć za siebie, ale wiedziała, że Dolly biegnie w stronę domu. - Pokaż, jaka potrafisz być szybka!

- Na miłość boską. Musisz być w zmowie z Harlem. - Richard wymierzył pistolet w Tessę.

Tessa udawała absolutne zaskoczenie, jakby Richard nie słyszał poleceń, które wydała Dolly.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Harl jest z panem? Nie mogę uwierzyć, że zostawił Dolly bez opieki.

- Proszę tu podejść, panno Haviland.

Nie miała wyboru. Nie była wprawdzie pewna, czy Richard strzeli, bo niby jak miały to wyjaśnić policji, ale wyglądało na to, że był bardzo zdeterminowany.

- Dobrze. Wyjaśnijmy sobie, co się tutaj dzieje. I proszę opuścić pistolet. Bardzo nie lubię, jak ktoś do mnie celuje.

Kiedy stanęła na podjeździe, Richard Montague cofnął się o kilka kroków. Miał zmęczoną, poszarzałą twarz, ale był spokojny. Wyzywająco spokojny.

- Zwykle nie popełniam tego błędu, ale chyba nie doceniłem Harleya Becketta - powiedział.

- Harl? Harl zajmuje się odnawianiem mebli i opiekuje się sześćioletnią kuzynką.

- Pani też nie doceniłem - dokończył, jakby nie słyszał słów Tessy.

- Mnie? To normalne. Ludzie zwykle mnie nie doceniają. Widocznie mam już w sobie coś takiego. Kiedy człowiek zajmuje się projektowaniem graficznym, artyści nie uważają go za prawdziwego artystę i nie chcą przyjąć do swojego kręgu. A inni myślą, że projektant to artysta, więc nie należy do ich świata. - Westchnęła. Działała odruchowo, bez zastanowienia,

nie czekając na przyzwolenie rozumu. - Proszę opuścić ten pistolet. Nie jestem w żadnej zmowie z Harleyem Beckettem.

- Zwiódł wszystkich, łącznie z moją żoną. Poczciwy, stary dziwak... a to on zabił Ike'a. Znalazłem szczątki tego nieszczęśnika w bagażniku samochodu Lauren. Przywiozłem je tutaj. Przyznaję, że byłem wściekły i nie wiedziałem, co robię.

Tessa wątpiła mocno, by Richardowi Montague'owi zdarzyło się kiedykolwiek, by nie wiedział, co robi.

- Powiedział mu pan, że go pan przejrzał? Richard skinął głową.

- Powiniennem był zawiadomić policję.

- Jednak pan nie zawiadomił. Co się stało?

- Beckett powiedział, że chce wszystko wyznać. Przyszliśmy tutaj, ale okazało się, że to jeszcze jeden jego sprytny manewr. Rzucił się na mnie, pistolet wypalił i...

- Boże. - Tessa poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. Nie mogła oddychać. - Któryś z was został ranny?

- Ja nie.

- Doktorze Montague...

- Dobrze ci szło, Tesso, ale teraz... - Z rezygnacją wzruszył ramionami i znowu podniósł pistolet. - Wejdzimy do środka?

Richard jej nie kochał. Nigdy jej nie kochał. Kochał swoje wyobrażenie o niej. Jej ogromne pieniądze. Jej stare nazwisko rodowe. Wspaniały dom nad oceanem. Ike poznał się na nim od razu.

Powinna była mu zaufać. Zawierzyć swój los jego przenikliwej mądrości. Jak nikt inny potrafił dostrzec wady każdego, z kim miał do czynienia.

Lauren przeszła pod zwieszającą się nisko gałęzią i opadła na swoją ulubioną ławkę z tekowego drewna, stojącą w pergoli obrosniętej pnącymi różami. Zakwitną dopiero około połowy czerwca. Nie wiedziała, czy doczeka tego momentu.

Jak policja potraktuje kobietę, która usiłowała kryć mordercę własnego brata, nawet jeśli ten nie był prawdziwym mordercą?

Czy aresztują ją, obrzucają błotem, a potem osądzą, skazają i wtrącają do więzienia?

Gdyby złożyła zeznania obciążające Andrew, mógłby podzielić los Jedidiaha i dostać wyrok za zbrodnię, której nie popełnił.

Andrew nigdy nie straciłby do tego stopnia panowania nad sobą. Nie ten charakter. Powinna była o tym pomyśleć wcześniej.

Dwa pudła ułożyły się jej na kolanach, trzeci u stóp. Zamknęła oczy, odchyliła głowę i czekała, aż pojawi się policja, żeby ją zabrać.

Policja była już w drodze.

Andrew mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Jechał drogą nad oceanem. Zbliżał się przyływ, wiał rześki wiatr. Szyby w kabinie furgonetki były opuszczone. Pęd powietrza i zapachy niesione wiatrem od oceanu działały uspokajająco.

Zaraz będzie w domu. Znajdzie Harla i Dolly.

Harl nie podnosił słuchawki, ale to akurat robił nagminnie. Taki miał zwyczaj.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj powinien przecież odebrać telefon.

Andrew ponownie nacisnął redial w swoim telefonie komórkowym. Jeszcze tylko kilka minut i dotrze do domu.

Dolly.

Nacisnął na hamulec, zanim umysł zdążył w pełni zarejestrować obraz, i wyskoczył z furgonetki. Poboczem drogi biegła jak szalona jego córka.

Chwycił ją w ramiona. Miała rozpaloną buzię, wypieki, spływała potem i nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

- Już dobrze, maleńka. Już dobrze. Jestem z tobą.

- Bandyta - wyrzuciła z siebie. - Bandyta, taki, co napada na banki.

- Wiem, wiem.

- Tessa.

Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że nie stało się nic złego, ale nie mógł. Zaniósł córkę do furgonetki, posadził ją sobie na kolanach, zatrzasnął drzwiczki.

- Są w wozowni? - zapytał łagodnie, nie chcąc, żeby Dolly wyczuła jego przerażenie.

Skinęła głową i przywarła do ojca całym ciałem.

Zatem w domu jest bezpiecznie.

Zadzwoił na policję i powiedział, że Richard Montague jest w wozowni i najprawdopodobniej ma dwoje zakładników.

Furgonetka pędziła w stronę posiadłości. Koszula Andrew przesiąkała potem Dolly. I jego własnym. Mała zaczęła płakać.

- Tatusiu, Łatka znowu uciekła.

- Na pewno wróci, kochanie. Przecież nie zostawi swoich dzieci.

Echem zabrzmiały mu ostatnie słowa Joanny i serce mu się ścisnęło.

„Wróć, Dolly, na pewno wróć. Nie zostawiłabym mojej małej córeczki”.

Och, Joanno, pomyślał. Umarłaś tak młodo. Zawsze będziesz tego żałować.

Zatrzymał się przed domem. Musi ratować Tessę. Nie może jej stracić.

Przed maską samochodu wyrósł słaniający się na nogach Harl, z kijem baseballowym w dłoni, brudny, z twarzą wymazaną ziemią.

Ziemią i krwią.

Miał skrwawione ręce, ciemne plamy na dzinsach i na koszulce POW-MIA.

Ledwie Andrew odtworzył drzwiczki furgonetki, Harl chwycił Dolly.

- Idź - wychrypiał. - Udało mi się wyczołgać z piwnicy. Montague tam jest. Idź, zanim ten skurwysyn... - Dolly wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami i Harl

odruchowo zmienił ton. - Zabiorę cię do domu, maleńka. - Spojrzał na Andrew. - Idź tam. Pospiesz się.

Andrew wziął kij baseballowy i ruszył do wozowni.

- Chyba kotka chce z powrotem przenieść tu swoje małe - zauważyła Tessa rzeczowym tonem, próbując walczyć z paniką i usiłując nie patrzeć na pistolet. Kiedy oznajmiła, że nie zna się na broni, Richard powiedział jej, że to walter 9 mm.

- Zepchnąłeś Harla na dół, tak samo jak zepchnąłeś Dce'a?

Richard przestał już bawić się w zdjętego zgrozą demaskatora zbrodni Harla. Myślał. Układał sobie strategię. Tessa wiedziała, że zabije ją dopiero potem. Kłapa w podłodze stała otworem.

- Chyba powinienesz najpierw się upewnić, czy Harl nie żyje.

Za wszelką cenę starała się grać na zwłokę. Jeśli Harl żyje... modliła się, żeby tak było... może coś zrobi, aby ich uratować. Lecz jeśli leży na dole martwy, na pewno nie chciałby, żeby Richardowi Montague'owi uszło kolejne morderstwo.

Jeśli nie żyje, będą straszyć w wozowni we troje: ona, Harl i Jedidiah.

Nie trać głowy! Skoncentruj się!

- Tessa! Montague! - Z podjazdu doszedł przyprawiający o ciarki ryk Andrew. - Zaraz będzie tu policja. Nie szalej, Montague, oddaj się w ich ręce. Harl żyje.

Wystarczył jeden ułamek sekundy, kiedy do pewnego siebie Richarda Montague'a nagle dotarło, że przegrał. Tessa wykorzystała ten moment. Przecież cały czas czekała na ulotne zawahanie, chwilę dekoncentracji, nieznaczne drgnienie mięśni. Dostrzegła je nieomylnie.

Kopnęła go z całych sił w jądra, jak uczył ją Davey Ahearn.

Pistolet poleciał do piwnicy, a Richard osunął się na kolana. Tessa znowu kopnęła. Doktor Montague stracił równowagę, przewrócił się i stoczył do ciemnego otworu. Chwycił się drabiny, klnąc na cały głos i zapluwając z wściekłości. Tessa z całej siły nadepnęła mu na rękę.

Ojciec chrzestny zawsze jej powtarzał: „W walce nie ma litości, ale pamiętaj, walczysz tylko po to, żeby ratować się z opresji. Kropka”.

Z hukiem zatrzęsnęła klapę, zaryglowała ją i wybiegła z kuchni.

Na podjeździe pojawiły się wozy policyjne, migały koguty, wyły syreny.

Tessa padła w ramiona Andrew.

- Idealne wycucie czasu - powiedziała, odzyskując głos.

Andrew uśmiechnął się.

- Jak zawsze.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tego wieczoru Jim Haviland serwował w swoim barze chowder.

Davey siedział na stołku przy końcu baru. Red Soksi rozgrywali mecz wyjazdowy w składzie niegodnym dobrego imienia drużyny. Tessa nie знаła nawet graczy. Zajęta była pochłanianiem zupy i kłótnią z ojcem.

- Wozownia figuruje w krajowym katalogu zabytków - upierała się. - Nie mogę w niej zrobić łazienki z ogromną wanną. Poza tym to denne.

- Denne jest to, że omal nie zginęłaś nagłą śmiercią. Od tamtego dnia minął miesiąc. Cztery wiosenne tygodnie bez szkieletów, za to spędzone z Andrew i Dolly. Musieli się upewnić, czy małej nie pozostał uraz. Rita Perez okazała im wiele pomocy, a Harl, jak ćwierkały ptaszki, ponoć zakochał się w byleż zakonniczy.

Nie wolna od tragicznych przeżyć przeszłość Tessy bardzo jej się teraz przydała. Pamiętała traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa i mogła rozmawiać z Dolly w sposób zrozumiały dla sześciolatniej dziewczynki.

Dolly szybko wracała do równowagi. Jak zawsze twórcza i pełna pomysłów, zrezygnowała z monarchicznych pretensji na rzecz oceanografii. W domu pojawiły się stada pluszowych pingwinów, wielorybów, delfinów i wydr morskich, ale koty nadal były jej ukochanymi zwierzakami.

Tak długo męczyła ojca i Harla, że wreszcie, co zresztą można było przewidzieć, ulegli i pozwolili jej zatrzymać jedno z dzieci Łatki Ogonatki, szarą Mieszarkę Do Cementu. Łatka wreszcie się ustatkowała i nie zniknęła z domu na czas bliżej nieokreślony.

Tessa też się zadomowiła, jeśli nie w posiadłości Thorne'ów, to na pewno w życiu Andrew, co ją zarazem przerażało, jak i przyprawiało o dreszcz zachwyty. Chodzili na spacer po plaży,

pili wino na ganku od strony ogrodu, wspólnie gotowali kolacje, razem pracowali w ogrodzie i razem obmyślali, jakich zmian dokonać w wozowni.

Nocowała w pokoju gościnnym albo w Bostonie, nigdy w pokoju Andrew. Tak było aż do dnia, kiedy Rita Perez zabrała Dolly do siebie na noc, a Harl w Gloucesterze z całą rodziną Thorne'ów świętował swoje wyjście ze szpitala.

Zapamiętała każdy gest, każdy pocałunek, każde dotknięcie Andrew, a przede wszystkim to, jak zatraciła się w nim bez reszty. Wołała jednak nie myśleć o takich rzeczach w ojcowskim barze, bo mogłaby tylko napytać sobie kłopotów.

- Gdyby nie Davey, pewnie skończyłabym w ciemnej piwnicy - powiedziała z dumą.

Ojciec pokręcił głową.

- Niech to diabli. Nigdy nie spodziewałem się usłyszeć od rodzonej córki czegoś takiego. A więc żyjesz tylko dzięki temu, że Davey Ahearn, kiedy miałaś dwanaście lat, nauczył cię kopać facetów w jaja?

- Najlepszy okres na naukę - wtrącił Davey.

Jim Haviland, nie czekając, aż poprosi, napełnił ponownie jej pusty talerz. Upiekł też ulubiony tort czekoladowy Tessy, z bitą śmietaną, bo wiedział, że dzisiaj przyjedzie.

Zrozumiała ten gest. Ojciec w ten sposób świętował to, że wyszła z opresji cało.

Przeżyła.

Richard Montague czekał na proces, a prawnicy Lauren robili wszystko, by umniejszyć jej współudział w ukrywaniu zbrodni.

Tessa pewnego dnia znalazła na swoim biurku dużą kopertę, a w niej zeszyt w pożółkłej oprawie. Pamiętnik Adelaide Morse. Do przesyłki nie załączono żadnego listu, ale Tessa wiedziała, że to Lauren musiała być nadawczynią. Przeczytała pamiętnik jednym tchem. Jedidiah Thorne okazał się niewinny. Nie zabił Benjaminą Morse'a, a jednak zrezygnował z obrony w czasie procesu. Czy dlatego, że wszystkie dowody świadczyły

przeciwko niemu i nie przekonałby sądu bez zeznań Adelaide?
A może tak kazał mu postąpić

honor Thorne'ów, który Tessa zdążyła już poznać? Dała pamiętnik Andrew. Mógł teraz oczyścić imię prapradziada. Albo nie. Decyzja należała do niego.

- Nie rozumiem, po co chcesz zatrzymać tę przeklętą trupią budę - sarknął ojciec. - Ja zrównałbym ją z ziemią.

- Nie mogę. Figuruje w katalogu zabytków. Davey wydał z siebie głuche mruknięcie.

- I tyle tylko jest warta.

- Wy tego nie zrozumiecie. - Tessa zabrała się za nową porcję gęstej, okraszonej masłem zupy. - Ja sama do końca nie rozumiem, ale coś się wydarzyło... -Westchnęła. - Tydzień po aresztowaniu Montague'a pojechałam do szpitala odwiedzić Harla. Próbował stamtąd uciec, ale Rita Perez go pilnowała. W każdym razie w drodze powrotnej zajrzałam do wozowni.

- Sama? - zapytał ojciec. Skinęła głową.

- Montague był już w więzieniu.

- Gdyby to ode mnie zależało, nie wypuszczałbym cię samej z domu na krok - mknął ojciec. - I co dalej?

- Stałam w dużym pokoju i próbowałam sobie wyobrazić, jak Dce spada do piwnicy, jak Montague strzela do Harla nurkującego w ciemnym otworze, jak wreszcie sama walczę z Richardem. Miałam przed oczami Dolly biegnącą w panice przez ogród. I poczułam, że jeszcze chwila, a również mnie chwyci atak paniki.

- Nie wierzę w żadne ataki paniki - oznajmił Davey autorytatywnie. - To brednie. Gadanie domorośłych terapeutów.

Tessa posłała mu wyraziste spojrzenie pod tytułem: „ucisz się”.

- Mów dalej - domagał się ojciec.

- I wtedy... Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak właśnie było... Poczułam wokół siebie ciepło i błogi, niezwykle spokoj.

Wiedziałam, że to Jedidiah, Jke... i mama. Byli tam wszyscy troje, jakby chcieli mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Przez moment Davey i ojciec milczeli, i Tessa już miała nadzieję, że choć raz w życiu ci dwaj obrzydliwi realiści docenią niezwykle i wprost bezcenne możliwości jej twórczej wyobraźni.

Ale Davey prychnął.

- Cholera, szkoda, że dzisiaj nie objawiły mi się żadne dobre duchy i nie powiedziały, że wszystko będzie dobrze. A potem otworzyłyby właz do kanału i zdmuchnęły te pieprzone korzenie wierzby. Uch! Narobiłem się jak jak głupi i połamałem na nich sprężynę.

- Chciałam zlikwidować klapę do piwnicy, ale się rozmyśliłam - stwierdziła Tessa. - Niech zostanie. Przez wzgląd na ciebie, Davey. Jak mi za bardzo dojesz, dam ci porządnego kopa w jądra...

- W jaja - poprawił ją. - Jądra brzmią zbyt medycznie. W ogóle nie zamierzam do ciebie przyjeżdżać. Jak zechcesz mnie zobaczyć, szoruj tutaj, na stare śmieci.

- Chowder, mecz Red Soksów, dyskusja na temat duchów i intymnych narządów męskich. - Andrew z szerokim uśmiechem usadowił się na stołku obok Tessy. - To rozumiem, to jest bar.

Tessa poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła i zerknęła na Daveya, czy coś zauważył, ale ojciec chrzestny przestał zwracać na nią uwagę.

- Jak długo tu jesteś? - zapytała Andrew, odwzajemniając uśmiech.

- Od godziny.

- Od godziny?! - Posłała ojcu mordercze spojrzenie. - Wiedziałeś? I znowu mi nie powiedziałeś? To jakiś męski spisek. Musicie z tym skończyć.

Jim wzruszył ramionami.

- Masz oczy tak samo jak ja. Rozglądaj się, to będziesz wiedziała, kto siedzi w barze.

- Byłam zajęta.

- Tak, fantazjowaniem, jak zmienisz nawiedzoną wozownię w studio projektowania graficznego - dopowiedział Davey. - Chryste, Thorne, dobrze żeś się pojawił, bo myślałem, że usnę z nudów. Jesteś architektem, to lubisz takie rzeczy. Niech ta mała teraz ciebie zadręcza swoimi pomysłami.

Tessa nie odrywała wzroku od Andrew.

- Susanna przygotowuje mi pięcioletni biznesplan. Dla mnie to jedna męka, ale ona jest w swoim żywiole.

- Myślisz, że możesz sobie podarować tort czekoladowy? - zapytał Andrew niskim, głębokim i bardzo seksownym głosem.

- Jeśli nie dla niecnych powodów...

- Jezu Chryste - jęknął Davey. - Mam ci przypomnieć, dla jakich?

Tessa omal się nie udławiła, a Jim wyjął spod kontuaru pluszowego zwierzaka i rzucił go Andrew.

- Dla Dolly. Powiedz jej, że to pingwin błękitny. Kupiłem go któregoś dnia w akwarium.

Tessa zrobiła wielkie oczy.

- Od kiedy chodzisz do New England Aquarium?

- Od kiedy mam stałą kartę członkowską. Jeszcze nie wiesz o mnie wszystkiego. - Zwrócił się do Andrew. - Pingwiny błękitne to te małe.

- Dziękuję. Dolly się ucieszy. - Ujął Tessę pod ramię. - Idziesz, czy mam urządzić burdę?

Dotarli do mieszkania na Beacon Hill, ale do sypialni już nie doszli. Gdy tylko Tessa powiedziała, że przygotowuje drinki, nagle wyładowali na kanapie pomiędzy stertami prania.

Tessa poczuła, jak otaczają ją mocne, muskularne i cholernie nęcące ramiona, a Andrew pomyślał, że nigdy nie będzie miał jej dość. Nigdy.

Ich ciała, umysły i dusze łączyły się w jedno, rozdzielały i znów stapiały ze sobą, aż do gwałtownego, oślepiającego spełnienia.

Potem powoli wrócił spokój.

Tessa położyła dłoń na piersi Andrew.

- Czuję bicie twojego serca - powiedziała cicho, jakby się bała, że cały Boston usłyszy. - Myślę, że to Jedidiah natchnął Lee'a pomysłem, żeby mi dał wozownię. Porządny duch powinien się domyślić, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Bo jesteśmy, czy nie tak?

- Absolutnie. Ty, ja, Dolly. I Harl. Zaproponowałam mu, żeby przeniósł swoją pracownię do wozowni. Miałby więcej miejsca. Dla nas obojga tak byłoby lepiej.

Andrew uśmiechnął się do niej. Była silną kobietą. Jej umysł ustawicznie pracował.

- Zostawmy sprawy lokalowe i porozmawiajmy o tym, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Wiesz, że jesteśmy. Myślę, że instynktownie czułam to od samego początku, przez cały miniony rok, i dlatego tak długo zwlekałam z przyjazdem do wozowni. Wiedziałam, że będę musiała przejść przez piekło, zanim zdobędę kogoś takiego jak ty. - Przesunęła dłońmi po jego ramionach i spojrzała mu prosto w oczy. - Bardzo cię kocham, jeśli właśnie o to masz zamiar zapytać.

- Nie pytałem, tylko próbowałem powiedzieć ci to samo. - Pocałował ją lekko. - Kocham cię i chcę być z tobą zawsze i wszędzie, gdzie rzuci cię życie.

Odezwał się telefon komórkowy Andrew, co oznaczało, że dzwoni Dolly. Odnalazł go dopiero po chwili na podłodze.

- Cześć, skarbie, co u ciebie?

- Skarbie? - mruknął Harl. - Nikt tak mnie nie nazywał od chwili, kiedy skończyłem sześć miesięcy. Dolly się porzygała. Nie ma gorączki, czuje się dobrze. Chciałem tylko, żebyś wiedział.

- Mam wracać?

- Nie. To jakieś mechaniczne podrażnienie.

- Co jej dałeś jeść?

W tle Andrew usłyszał Ritę Perez, domagającą się, żeby Harl powiedział o sardynkach.

- Chciała spróbować sardynek - przyznał się Harl z westchnieniem. - Nie smakowały jej, to zagryzła chipsami i innym świństwem. Wiesz. Dzieciaki.

- Wracam rano. Daj jej trochę piwa imbirowego. Gdyby się poczuła gorzej, dzwoń.

Harl zaklął pod nosem.

- Lepiej przyjeżdżaj. Znowu haftuje. A tłumaczyłem jak komu dobremu, że ta cholerna chińszczyzna ją wykończy.

Połączenie się urwało.

Andrew spojrzął na roześmianą Tessę. Dobrze było widzieć, że całe napięcie związane z odkryciem szczątków Dce'a Granthama już z niej opadło.

- Musimy jechać do Beaconu. Harl nie ma pojęcia, jak opiekować się chorym dzieckiem.

Tessa zanosila się głośnym śmiechem. Udał oburzenie.

- Co w tym śmiesznego?

- Ty, ja, DoUy, Harl. I Rita Perez. Tata i Davey.

- Stoczyła się z westchnieniem z kanapy i wybrała ze sterty prania świeże ubranie. - Trudno o lepsze życie.

- Mogę powiedzieć to samo - zawtórował jej Andrew.

Kiedy wyszli w ciepłą bostońską noc, poczuł to. Zupełnie to samo, co Tessa przeżyła w wozowni. I już wiedział.

Wszystkie duchy zagnały spokoju.